

DZIECI LWOWA



254-68. bydrio

HELENA ZAKRZEWSKA

DZIECI LWOWA

ILUSTROWAŁ
KAMIL MACKIEWICZ

WYDANIE TRZECIE

**Kolekcja
Emila Kornasia**

E. WENDE I SKA: WARSZAWA,
FISZER I MAJEWSKI: POZNAŃ,
L. FISZER: ŁÓDŹ, H. ALTENBERG: LWÓW,
TOWARZ. KSIĘGARNI KRESOWYCH: TORUŃ.



CM KEK

328096

Druk: Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., ul. Warszawska 61.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. D1 nr 100 / 2014 / CM

PANI MARYI PIŁSUDSKIEJ
*która losy dzieci Lwowa dzieliła sercem, pełnem
najgorętszego współczucia i miłości, tę książkę,
osnutą na tle prawdziwych wydarzeń, poświęcam.*



KILKA SŁÓW O LWOWIE

Podróżny, który przybywał do Lwowa przed wojną i zwiedzał to miasto, musiał przedewszystkiem zwrócić uwagę na jego rozległość i precudne, malownicze położenie. W rojnym, ćwierćmiljonowym, wielkomiejskiem środowisku trudno było natrafić odrazu na rozrzucone zabytki, które coś o przeszłości powiedziećby mogły. Trzeba było dopiero przebiec miasto wszerz i wzdłuż, żeby odnaleźć mnóstwo pomników historycznych, a odnalazłszy, poznać je i pokochać. Już samo godło Lwowa, które przedewszystkiem obcemu rzuca się w oczy, budzi mimowolny podziw i szacunek. Dwa lwy kamienne trzymają w potężnych swych pazurach tarczę, na której wyryte są litery: S. P. Q. L. (Senatus Populusque Leopoliensis, to znaczy: senat i lud lwowski). Do Rzymian, z epoki najwyższego rozkwitu ich sławy, przyrównywali się śmiało obywatele Lwowa. I dorównali im zaiste, zarówno odwagą, jak miłością ojczyzny, mogącą służyć za wzór wszystkim narodom świata. Nie wiedział wcale ruski książę Lew, nadając swoje imię ukrytej wśród lasów osadzie, że

VIII

sam skazany zostanie na niepamięć w zapiskach i sercach, a imię miasta czas w coraz to nowe wawrzyny stroić będzie, mieniać je słusznie w przeszłości i w chwili obecnej grodem lwów.

Założony był gród Lwa na odwiecznie polskiej, kresowej ziemi, którą książę kijowski z normańskiego plemienia zdobył na „Lachach“ w roku 981. Od tego czasu ziemia ta przechodziła z rąk do rąk. W XII i XIII wieku panowali na niej kniaziowie ruscy; pierwsza wzmianka o Lwowie pochodzi z 1259 roku.

Polski Lwów zawdzięcza swój początek Kazimierzowi Wielkiemu. Jako następca po Jerzym Bolesławie, ostatnim księciu halickim, obsadził on Ruś Czerwoną i przyłączył na stałe do Polski. Natychmiast też rozpoczął odnowę zniszczonego kraju, budując nowe miasta, obdarzając hojnie już istniejące i zapełniając polską ludnością bogate, odlegiem leżące pustkowia. Mimo ustawicznych walk o utrzymanie Czerwonej Rusi, ziemi jej, zagospodarowane przez możnowładców, zmieniły się rychło w krainę mlekiem i miodem płynącą. Lwów, położony w środku tej ludnej i bogatej krainy, obdarzony prawem magdeburskiem i różnemi przywilejami, leżący na drodze karawan kupieckich, zaczął zakwitać bujnie i rychło osiągnął najwyższy szczyt swego powodzenia i potęgi.

Mieszczanstwo lwowskie składało się z bardzo wielu żywiołów. Polacy i Rusini, Niemcy, Ormianie, Żydzi i Saraceni stanowili barwny i ruchliwy świat, prowadzący ożywiony handel ze Wschodem. Miasto dzieliło się na dzielnice, zamieszkałe przez odrębne narodowości, które wspólnych wybierały radnych i wspólne prowadziły interesa. Z biegiem czasu bogate rody mieszczan lwowskich przyjmowały charak-

ter polski bez względu na swe pochodzenie i odznaczyły się niejednokrotnie gorącym przywiązaniem do spraw ojczyстых.

W wieku XIV i XV przeciągali przez Lwów Genuńczycy, którzy, mając na Wschodzie bogate kolonie handlowe, nawiązali z nim liczne stosunki, na czem Lwów znakomicie wyszedł. Gdy bowiem rozwój potęgi tureckiej zniszczył handel genueński, Lwowianie nie dali wyrwać sobie z rąk zadzierżgniętych już nici i mimo wielu niebezpieczeństw wysyłali nadal liczne karawany kupieckie, niosąc na daleki Wschód światło zachodniej kultury, a przywożąc w zamian bezcenne jego skarby. Wyrosła na tem fortuna lwowskich rodów patrycyuszowskich, które do niemałego w kraju i zagranicą doszły znaczenia.

Kultura Lwowa w owych czasach stała już bardzo wysoko. Mimo, że miasto nie posiadało akademji, Lwowianie garnęli się do wiedzy, ogromne ich rzesze ciągnęły na studia zagranicę, zdobywając sobie na uniwersytetach włoskich dyplomy doktorskie. Światli mieszczenie gromadzili cenne biblioteki, inni zbierali dzieła sztuki, tworząc ze swego grodu niepospolite, jak na owe czasy, środowisko kulturalne. Mając bardzo rozległe stosunki handlowe w krajach zachodu i wschodu stał się Lwów potężnym czynnikiem politycznym, a mieszkańcy jego tak wysoko cenili swoje przywileje i prawa obywatelskie, że o wiele przenosili je ponad klejnoty szlacheckie.

Potęga Rzeczypospolitej zaczęła upadać. Pod Lwowem pojawiły się wojska nieprzyjacielskie. W r. 1648 po haniebnej klęsce pilawieckiej, obległ miasto Chmielnicki. Panowie polscy, którzy w kościele Bernardynów naradzali się nad położeniem, na wiadomość o zbli-

zaniu się hord kozackich opuścili zagrożone miasto, przenosząc się do Zbaraża i uwożąc z sobą hojne dary, złożone na obronę miasta przez jego obywateli. Ci jednak mimo to nie upadli na duchu, mianowali komendantem swym Krzysztofa Grodzickiego i odparli bohatersko wszystkie szturmy wroga. Kozacy i Tatarzy spustoszyli przedmieścia, zniszczyli ruską katedrę św. Jura, ale Lwowa nie zdobyli. Chmielnicki, zadowolniejszy się okupem, wynoszącym 700 tysięcy złotych, odciągnął pod Zamość. To pierwsze oblężenie trwało dwa tygodnie. Nastąpiły po niem inne, cięższe i dłuższe.

W roku 1655 Kozacy z Moskalami, którym się niedawno poddali, pociągnęli w 60 tysięcy wojska na zdobycie Lwowa. Był to moment, w którym cała niemal Polska była już zalana przez Szwedów. Resztki wojska polskiego uległy pod Gródkiem straszniemu pogromowi. I teraz jednak nie ulękli się dzielni mieszczanie lwowscy. Wezwani przez Chmielnickiego do układów trzej przedstawiciele miasta: Kuszewicz, Zachnowicz i Laurysiewicz oświadczyli, że choć przewidują smutny koniec swego oporu, przecież carowi nigdy przysięgi nie złożą, wierności poprzysiężonej królowi Janowi Kazimierzowi dochowają i miasta nie poddadzą. Oświadczenie to wywarło tak wielkie wrażenie nawet na Kozakach, że pułkownik Paweł Tetera szepnął jednemu z posłów do ucha:

— Wytrwajcie w waszej szlachetności.

Po kilkunastu szturmach Chmielnicki odciągnął od Lwowa, a wierne miasto stało się główną ostoją nieszczęśliwego króla Jana Kazimierza.

Waliły się na Polskę napady. W dwa lata po Chmielnickim zapuściły się na Ruś Czerwoną zagony Rakoczego, wiarołomnego Madziara, który najechał

na Polskę, korzystając z jej ciężkiego położenia. Kementy, wódz siedmiogrodzki stanął pod Lwowem, żądając kluczków miasta i nie szczędząc pogroźek na wypadek oporu. Znów jednak nieugiętą była postawa mieszczan. „Tak wysoko cenimy piękną sławę naszej wierności i stałości przy N. Królu Panu Naszym Najmiłościwszym i przy Rzeczypospolitej, że — okrom Boga i ojców naszych wiary, — nie mamy nic droższego” — odpowiedzieli radni na podstępne propozycje Rakoczego. Nie kusił się też najeźdźca o zdobywanie miasta i odszedł precz z niczem.

Po Kozakach i Siedmiogrodzianach przyszli Turcy. Oblegali oni Lwów dwa razy, w r. 1672 i 1676, za czasów Jana Sobieskiego. Przy pierwszym oblężeniu czerń, złożona z 50 tysięcy Turków i z olbrzymiej chmary Tatarów, nie mogła dać rady garści kresowych lwów, broniących się zaciękle pod wodzą pułkownika Eliasza Łackiego. W cztery lata potem świetne zwycięstwo Sobieskiego rozślawiło imię Lwowa, uwalniając bohaterskie miasto z pod nowego, ciężkiego oblężenia. Na Wysokim Zamku, na miejscu, z którego umiłowany król osobiście obroną dowodził, leży dziś kamień pamiątkowy, jeden z tych, przed którymi z czcią pochyla się głowę.

Początek wieku XVIII, przynosi ze sobą upadek potęgi Rzeczypospolitej, a wraz z nim i upadek świetnego miasta. Król szwedzki, Karol XII niespodzianie i prawie bez walki staje się panem Lwowa. Hordy zdziczałych żołnierzy rabują i pustoszą miasto bez litości. Pożary i zaraza morowa dopełniają miary spustoszenia. Miasto nie może już podźwignąć się z upadku, nie umie bronić się, tak jak dawniej i w ponurem odrętwieniu znosi po latach niedoli wtargnięcie nowego wroga, Moskali.

W r. 1782 dostaje się Lwów w ręce Austrii, jako stolica nowoutworzonego kraju, ochrzczonego barbarzyńską nazwą „Galicji“. Długie rządy austriackie ciężkiem brzemieniem zwały się na zboląłą duszę nieszczęśliwego miasta. Galicja jęczy pod wrogiem jarzmem, zalana całą hordą austriackich urzędników, szpiegów i żandarmów. Rząd dąży bezwzględnie do jaknajrychlejszego zniemczenia kraju i nie żałuje na to środków. Szkoła, uniwersytet, teatr nawet są niemieckie. Urzędnicy, bądźto Niemcy, bądźto zniemczeni Czesi, gnębią ludność w najwyszukańszy sposób, starając się tylko o wyciśnięcie z niej jaknajwiększej sumy podatków i jaknajliczniejszych zastępów rekruta. Lwów roi się od umundurowanych katów i tajnych szpiegów, którzy na każdym kroku tamują życie miasta. Mimo to jednak gdzie tylko hasło wolności płomieniem z popiołów wytryśnie, tam przedewszystkiem spieszy młodź lwowska, mająca już we krwi umiłowanie sprawy ojczystej. We wszystkich dziedzinach życia umysłowego i kulturalnego, czy to w nauce, czy na polu literatury i sztuki, w przemyśle czy kupiectwie, wszędzie Lwowianie wybitnie zdobywają sobie miejsca.

Konstytucja z 1867 r. zmienia stosunki na naszą korzyść. Sejm, obradujący we Lwowie, staje się ośrodkiem pracy narodowej, a posłowie, zjeżdżający się nań z całego kraju, wnoszą do miasta ruch i życie, które daje początek erze nowego rozkwitu. Niemczyzna znika zupełnie, szkoły wychowują młodzież w podniosłym duchu narodowym. Uniwersytet, założony w r. 1661 przez Króla Jana Kazimierza, wskrzeszony po rozbiorach przez cesarzy austriackich Józefa i Franciszka dla celów germanizatorskich, po konstytucji zmienia się w żywy źródło wiedzy,

ale i gorącej miłości Ojczyzny, wyciskając niezatarte piętno na całym obywatelstwie lwowskim. Ruch przemysłowy wskutek świetnego rozwoju kopalń nafty napelnia miasto nowym tętnem, podnosi się upadły handel, miasto wzrasta w ludność i w niedługim czasie staje się istotną stolicą zabranej przez Austrię części Polski, zarówno na polu kultury, jak przemysłu i handlu. I choć przedostatnie stulecie przyniosło ze sobą zagładę większej części zabytków przeszłości, świadczących o dawnej chwale miasta, to przecież ducha tradycji zabić nie zdołało. Gród Lwów został, jak był, ostoją polskości, honoru i męstwa.

Aż wypełniły się czasy.

Wielka wojna światowa zaraz w początkach swego trwania, bo w pierwszych dniach września 1914 roku, zaznaczyła się dla Lwowa wstrząsającymi przejściami. Armia austriacka, rozbita gwałtownym natarciem silniejszych liczebnie i znakomicie przygotowanych wojsk rosyjskich, wycofała się na zachód przed nadciągającym nieprzyjacielem. Ci, co pozostali, zdawali sobie dokładnie sprawę z tego, jak wielkie nad Lwowem zawisło niebezpieczeństwo. Nie materialne, gdyż Rosjanie z miodem na ustach wkraczali do miasta, mając to przekonanie, że uwalniają kraj rosyjski z pod niewoli austriackiej i polskiej. Niebezpieczeństwo było natury moralnej i nie dało na siebie długo czekać. Kiedy olbrzymie mrowie wojska rosyjskiego przepłynęło przez miasto na zachód, kiedy huk dział ucichł w oddaleniu, spadła na Lwów szarańcza urzędników i popów, którzy energicznie wzięli się do „odpolszczania” miasta.

Zamknięto szkoły, o otwarciu uniwersytetu nie było nawet mowy, w kołach urzędowych rosyjskich słyszało się wciąż projekty przyłączenia Galicji aż

po San, jako „rdzennie“ rosyjskiego kraju, do Rosji. Lwów oczywiście musiałby wziąć na siebie szatę rosyjską, językiem państwowym stałby się język rosyjski, szkoły, urzędy, teatr, napisy na ulicach i szyldy sklepowe byłyby rosyjskie i tak dalej. Jako przygotowanie do tego celu, wprowadzono do paru szkół, otwartych w styczniu na skutek nalegań rodziców, obowiązkową, codzienną naukę języka rosyjskiego, począwszy od najniższych klas ludowych. Na godziny te przybywali wciąż ugalowani oficerowie rosyjscy, przysłuchując się odpowiedziom dzieci i zachęcając je do „gorliwej“ nauki. Małeństwa polskie ze łzami w oczach uczyły się narzuconej im mowy i wtłaczały sobie w pamięć różne „patriotyczne“ wierszyki, wysławiające cara i „matuszkę Rosję“.

Lwów zmienił się zewnętrznie tak, że niktby go poznać nie mógł. Ulice zalegały tysiączne rzesze przybyszów ze wschodu. Brodaci kupcy w czerwonych koszulach, popi, okryci włosem aż po kolana, krzykliwe „siostryce“ szpitalne, cuchnący smołą kozacy, strojni Czerkiesi, niezliczeni urzędnicy wszelkiej kategorii, zrobili z pięknego, kulturalnego Lwowa jakieś pstre, ruchliwe, brudne obozowisko wschodnie, w którym człowiek Zachodu czuł się dziwnie nieswojo.

Ta troska o polskość Lwowa była przyczyną, że gdy armia austrijacko-niemiecka, przerwawszy front pod Gorlicami, po miesiącu zwycięskich walk dnia 22 czerwca 1915 r. weszła do Lwowa, miasto powitało ją żywiołowym wybuchem radości. Radość ta jednak zapaliła się i zgasła, jak rakietą. Lwowianie, odcięci od świata, żyli wciąż gorącą nadzieją, że tymczasem tam na zachodzie sprawa niepodległości Polski dojrzewa, że zjednoczenie rozdartych ziem polskich

już nastąpiło. Tymczasem pierwsze gazety, które dostały się do rąk obywateli, rozproszyły doszczętnie te złudzenia. Nastaly czasy gorzkiego rozczarowania. Zamiast upragnionej wolności, ciężki but austriacko-niemiecki przygniótł pierś udręczonego miasta. Posyłały się najsurowsze rozporządzenia, konfiskaty żywności, wyroki śmierci, Galicja wschodnia wydana została na łup Prusakom, Czechom i Madziarom, którzy łupili i wywozili, co tylko wywieźć się dało. Wzrastała drożyzna i głód a obiecywanej wciąż wolności doczekać się nie było można.

Wybiła wreszcie godzina Polski. W chwili jednak kiedy Kraków, szalejący z radości, zdobił stare wieżycy swego miasta w zwycięskie orły, kiedy Warszawa, z zachwytem przyglądała się tchórzliwemu odwrotowi Niemców, na Lwów spadło najcięższe z nieszczęść: straszna i niebywała w dzikości swej inwazja ukraińska.

Wiemy wszyscy, jakto podstępem i kłamstwem oficerowie niemieccy i austriaccy wydali przygotowanym już w cichości bandom ukraińskim wszystką broń, amunicję, koszary i urządzenia wojskowe we Lwowie. I oto garść lwiat porwała się do boju. Poszli z gołemi rękami przeciwko armatom i karabinom maszynowym, poszli — i zwyciężyli. Chłopcy dwunastoletni, podrastające dziewczynki, kobiety-obywatelki, panowie z inteligencji i łotrzyki podmiejskie, wszystko, co żyło, czuło i myślało po polsku stanęło w obronie Lwowa i w obronie honoru Ojczyzny. Jedna część miasta zamieniła się w drgający życiem obóz wojskowy, w którym wszystko tworzyło się z niczego, druga tymczasem jęczała pod straszliwym uciskiem rozbestwionych hajdamaków. Męczeńska ofiarność obrońców nie poszła na marne. Wytrwali aż do

nadejścia pomocy i uratowali swe miasto—dla Polski, przyrzucając do wieńca chwały nie liść jeden, ale całą gałąź wawrzynu.

I nie dość było zrzucić z karku okrutną niewolę, nie dość było morzem przelanej niewinnej krwi opłacić odzyskanie wolności. Trzeba było jeszcze potem w piekielnym huku granatów, bez światła i wody, bez żywności i opału przeżyć długie sześć miesięcy, trzeba było dniem każdym dawać nowe dowody przykładnego bohaterstwa, trzeba było z serc wszystkich, od najmniejszych do największych, od najpokorniejszych do najdumniejszych, wysnuć taki wstrząsający przykład ofiarności, zaparcia się siebie i męstwa, że Polska cała zdumione swe oczy zwróciła w stronę gorejącej w łunach pocisków strażnicy kresowej i — uchyliła przed nią czoła.

Jeśli zechcesz usłyszeć bicie serca wskrzeszonej Twej ojczyzny, jeśli zechcesz gorącem jego tętnem duszę, spragnioną otuchy, uradować, pojedź do Lwowa i pierwszemu polskiemu dziecku, jakie napotkasz po drodze, przyłóż dłoń do wychudłej piersi. W każdym uderzeniu tego maleńkiego serduszka ozwie się dzwonem świątecznym ofiarne, płomienne, przeczyste

SERCE POLSKI!

L U L U





I.

Słońce poranne rzuciło więź promieni w zamarzłe okienka Grzegorzowej chałupy, zamigotało tysiącem brylantów na białej od mrozu szybie i bladym snopem rozścieliło się po czarnej, z dawna niemytej podłodze. Świetlista smuga pełzała zwolna po ziemi, aż dosięgła kupki mierzwy, stłoczonej w kącie koło komina. Zaszeleściła słoma, coś w niej grzebało się przez chwilę, aż wreszcie z pośród pomiętych ździebeł i ruszających się pod nimi gałąń, wychyliła się mała, złota—jak ta słoma—głowina sześciolatniego malca. Z pod rozwichrzonej, długiej aż po nosek grzywy wyjrzały oczy błękitne i bystro obiegały izbę dokoła. Nie było w niej nikogo. Cicho, pusto i zimno...

Malec wygrzebał się cały z mierzwy i z powagą zaczął się ubierać. Naciągnął na ramionka coś, co było niegdyś eleganckim paltocikiem, nożyny przystroił w resztę buciąt, rączką przejechał po głowinie, odgarniając z czoła zbyt długie włoski, które mimo zaniedbania świeciły złotem i dla rozgrzewki przytupnał parę razy, uważając, że toaleta skończona. Poważnym krokiem człowieka doświadczonego, który umie sobie radzić, podszedł do półki, na której walały się w nieładzie różne skarby: bochen chleba, puszki z rosyj-

skiem i konserwami, zwój kielbasy i sadła kawał po-
każny. Włożywszy rączki do kieszeni przyglądał się
chwilę temu bogactwu z minką filozoficznej pogardy,
wreszcie wydał pogardliwie usta i rzekł głośno:

— Ho, ho! Szczepan znowu handluje z Moska-
lami. Powiem ja to wszystko tatusiowi, niechno tylko
wróci!

Ponieważ jednak głód poranny nie pozwala dłu-
go oddawać się rozmyślaniam, chłopczyk ruszył do
stołu, wyjął nóż, zdjął z trudem bochen chleba z półki,
położył go na ławie, przycisnął kolankiem i zaczął
mozolnie piłować twardą skórę. Ukroiwszy w ten spo-
sób sporą kromkę, usiadł zadowolony na ławie i roz-
grzany wysiłkiem zaczął się spokojnie posilać, wywija-
jąc nożynami w takt myśli, które śnać ciężkie były;
bo dziecku brewki się zbiegły, a oczy błękitne po-
ciemniały i przygasły.

Miała też nad czem rozmyślać biedna, mała gło-
wina. Przeleciał huragan szalony nad jego dziecinnem
istnieniem, odrywając od niego kolejno wszystkich
bliskich i kochanych. Napróżno usiłował przypomnieć
sobie wszystko, co zaszło. Rzeczy minione ulatują
z wolna z pamięci dziecięcej, a rzeczywistość przytła-
cza, jak ciężki sen.

— Więc mieszkaliśmy we Lwowie—i pokoje by-
ły takie duże i błyszczące—i miałem takie różne za-
bawki—i tatuś tak mnie wciąż pieścił i pieścił, aż się
ciocia gniewała, jak można pieścić takiego dużego
chłopca—i mamusia była ciągle, ciągle ze mną...—za-
czyna malec swoje zwykłe rozmyślanie. Wszystko to
było tak dawno, tak dawno, że tonie jakby w mgle,
z której czasem coś żywiej w pamięci dziecka zabły-
śnie. Więc najpierw beztroskie, spokojne czasy w ra-
dości i szczęściu: promienne ranki, w których wprost

z łóżeczka swego biegł do sypialni rodziców, w koszulce i boso, na „pieszczotki”—potem spacerzy z mamusią do parku, wesołe zabawy w domu z ojcem, „najśliczniejszym” tatusiem, jaki kiedykolwiek był na świecie. I w te ciche, jasne dni wpada niespodzianie grom—nadchodzi wieczór, w którym wszyscy wzburzeni biegają po mieszkaniu i słowo „wojna“ obija się ustawicznie o uszy dziecka. Mamusia płacząc rzewnie pakuje kufry i kosze, tatuś wyjął z szafy mundur oficerski, który dotąd wisiał sobie spokojnie w kąciку i smutnie mu się przygląda, służba krząta się gorączkowo... Lulu nie śpiąc leży w łóżeczku i patrzy wystraszonemi oczętami na ten zamęt niezrozumiały. Nad ranem tatuś, już w wojskowym uniformie, podszedł do łóżeczka synka i wzięwszy go na ręce, pokrywał pocałunkami jego buzię i rączki, mówiąc stłumionym od łez głosem:

— „Wyrośnij na dzielnego chłopca, Lulu, opiekuj się mamusią, bądź jej pociechą, jeśli nie wrócę“...

Mamusia oparta o poręcz łóżeczka zanosła się od płaczu, więc Lulu uderzył także w szloch taki, że nie słyszał już nawet, jak tatuś wyszedł z pokoju i w całym mieszkaniu zapanowała nagle cisza.

Nazajutrz Lulu z mamą wyjechali na wieś do dziadzia, daleko, daleko od Lwowa, bo aż pod Gorlice. Z okresu tego niektóre żywe wspomnienia pozostały dziecku w pamięci. Mamusia wprawdzie wciąż była blada i smutna i tylko wtedy ożywiała się na chwilę, gdy posłaniec z miasteczka list jaki czasem przywiózł. Ale Lulu nie miał wcale czasu nią się opiekować, bo od rana do wieczora hasał po ogrodzie, jeździł z ekonomem w pole, gospodarował zawzięcie na folwarku, aż go dziadzio „panem rządcą“ zaczął nazywać. Ten cudny miesiąc beztroski i swobody

skończył się nagle katastrofą. Jak piorun spadły złe wieści. Nieprzeliczone masy wojsk zaczęły maszerować bez przerwy — najpierw wozy i konie, potem armaty i jaszczyki, potem pułki piechoty, jeden za drugim. Listy od tatusia przestały przychodzić, za to w gazetach musiały być smutne wieści, bo mamusia przerzucała je gorączkowo, a potem chodziła po pokoju łamiąc ręce w rozpacz. Pewnego dnia dziadzio dostał ataku paralitycznego i leżał bezwładny w łóżku, podczas gdy w całym dworze panował zamęt nie do opisania. Tymczasem odległy zrazu huk armat stawał się coraz głośniejszy, wzmagał się i przybliżał z dnia na dzień. Lulu już nie śmiał odbiegać od domu, wystraszony tem nieustannem, groźnem, przerażającym dudnieniem.

Pewnego dnia nadjechał pędem automobil. Siedzący w nim oficerowie, nie wysiadając wcale, poprosili o wodę i przekąskę, porozmawiali chwilę z mamusią, która pod wpływem ich słów pobladła tak, że Lulu z przerażeniem chwycił ją za rękę, w czasie rozmowy pokazywali jej wciąż rękami na linję lasów, widniejących w oddali, na wieś w parowie i na dwór, stojący na wzgórzu, poczem odjechali pośpiesznie. Mamusia rozkazawszy Lulowi, żeby się od niej nie oddalał ani na krok, zawołała fernali i żywo krzątała się po dworze. Kazała służbie naładować wóz zapasami ze spiżarni, na drugi wóz wyniosła materace i poduszki i poleciła ostrożnie złożyć na nich dziadzia, zabrała wreszcie trochę rzeczy i umieściwszy je na wozie poleciła jechać wolniutko do chaty Grzegorza pod lasem, a sama szła przy wozie, prowadząc Lulę za rączkę i drżąc tak mocno, że chłopiec słyszał, jak zębki jej białe uderzały o siebie.

— Nie bój się, mamusiu, nie bój się, ja cię obro-

nię! — powtarzał jej ciągle, hamując się całą siłą od płaczu, pierwszy raz przejęty myślą, że musi oto zaopiekować się tą biedaczką, ginącą z przerażenia.

Nie doszli jeszcze do końca wsi, gdy naraz łomot straszliwy wstrząsnął powietrzem. Z drugiego końca wsi buchnął ku niebu snop płomieni. Dzwon na wieży kościelnej zatargał się nagle krótkim, urywanym dźwiękiem. Gruchnął grom drugi i trzeci. Lulu z trwogą spojrzał na niebo. Było błękitne i pogodne, słońce falą radosnego światła oblewało świat cały... Więc to nie burza! Furman zaciął konie, wóz z jęczącym dziaduniem szybko potoczył się po kamienistej drodze, mamusia biedz zaczęła, ciągnąc synka za sobą i szepcząc zbiełałemi ustami:

— Boże, Boże, Boże...

Jeszcze jeden huk ogłuszający, trzask walących się murów, żałosny jęk dzwonu z wierzy... Lulu, biegnąc zadyszany przy matce, obejrzał się za siebie. W oddali, na wzgórzu, tam gdzie stał piękny, biały dwór dziadzia, czerniała teraz kupa gruzów, z której wznosiły się ku niebu ponure kłęby dymu.

W największym pośpiechu dopadli do chaty Grzegorza, stojącej na uboczu, pod samą ścianą gęstego boru. Zaciszenie tu było i bezpiecznie. Parobcy przemieśli jęczącego dziadka do izby, mamusia z pocziwą Grzegorzową zakrzętnęły się żywo dokoła niego, a Lulu, przytulony noskiem do szyby małego okienka, patrzył ciekawie w dal na kłęby dymu, rozwijające się ku niebu czarnemi, fantastycznie powyginanemi smugami. Dziadzio stękał dziwnie na łóżku Grzegorzowej, mamusia okładała mu głowę zimną wodą, a Grzegorzowa jęczała raz po raz i przy każdym huku szeptała:

— O, rany Boskie! o, Matko Przenajświętsza! o, święci Janieli! zmiłujcie się nad nami!

To był początek wielkiej bitwy. Jak długo trwała, tego Lulu już sobie jasno przypomnieć nie może. Pamięta tylko, jak przez mgłę, wąską, białą skrzynię, którą wynoszono z izby, zajmowanej przez dziada.— Potem mamusia płacząc wzięła Lulę na kolana i powiedziała mu, że dziadzio poszedł do Boga, prosić Go, aby tatuś prędko i zdrowo powrócił. Grzegorzowa, która niegdyś służyła we dworze, pieściła Lulę serdecznie, i starała się mamę pocieszyć. Mąż jej Grzegorz był leśnikiem w majątku dziadzia i zaufanym, długoletnim sługą rodziny, ale teraz, oddawna już — tak jak tatuś — wojował gdzieś w świecie. W chałupie mieszkała tylko Grzegorzowa i dzieci jej, dorastający Szczepan i trzynastoletnia Małgosia. Grzegorzowa była zaradną, pracowitą, wesołą kobieciną i nawet głęboki smutek mamusi rozpraszał się zwolna pod wpływem jej serdecznych, rozsądnych perswazyj.

We wsi zamiast dawnych, siwych mundurów, widać było teraz szare szynele rosyjskich żołnierzy i wysokie ich czapy, nadające dobrodusznym nawet twarzom groźny wyraz. Armaty czasem tylko jeszcze słyhać było gdzieś, w dalekiej dali. Mamusia mówiła wciąż o powrocie do Lwowa i opowiadała Grzegorzowej, jak tam oboje z Lulem się urządzają, dopóki wojna się nie skończy i tatuś do domu nie wróci...

I nagle stało się coś strasznego, coś, z czego Lulu do dziś sprawy sobie zdać nie może. Pewnej nocy przyszli do wsi kozacy, „dzika sotnia“, jak mówiono później we wsi. Byli pijani, gdyż zrabowali po drodze gorzelnię i upili się spirytusem do nieprzytomności. Rozbijali się po wsi z dzikim wrzaskiem, a kiedy ludność przerażona usiłowała stawić im opór,

zaczęli rabować, niszczyć i palić co się dało. Zanim Grzegorzowa i mamusia zdały sobie sprawę z tego, co znaczy ten piekielny hałas we wsi, już kilku dzi-
kich, rozszalałych drabów wpadło do izby i odtrą-
ciwszy Grzegorzową, która broniła do niej wstępu,
wdarło się do wnętrza przemocą. W mgnieniu oka
rozwalili skrzynię, która zawierała całe bogactwo bie-
dnych ludzi i zaczęli wyrzucać na środek wszystko,
co w niej było. Inni rzucili się do rabowania zapasów
żywności, złożonych w przyległym alkierzu.

Lulu na widok tych strasznych, kudłatych po-
staci, zaczął krzyczeć tak przeraźliwie, że Małgosia
chwyciła go na ręce i bocznemi drzwiczkami wy-
mknęła się z nim do stodółki. Tam zagrzebali się
w sianie i przytuleni do siebie, drżący i nawpół przy-
tomni ze strachu przesiedzieli noc całą. Nad ranem
uspokoiła się wrzawa we wsi. Napastnicy, gwiżdżąc
i wyjąc ochryplemi głosami, pociągnęli całą watahą
dalej. Nastąpiła głucha cisza. Dzieci, zmęczone śmier-
telnie, zapadły w sen głęboki. Dzień był jasny, kie-
dy Małgosia odważyła się wychylić ze stodółki. Już
na podwórku uderzył ją obraz zniszczenia. Drzwi od
obórki były wyważone, krasuli z cielątkiem ani śladu,
dwa prosiątka znikły z ciepłego chlewku przy stajni.
Nie było też koni przy żłobie, ani sań pod szopą.
Wszystko zabrali kozacy!

Wnętrze izby przedstawiało straszny widok pustki
i zniszczenia. Łóżko, obdarte z pościeli, z wyrzuc-
nym na podłogę siennikiem, rozwalona skrzynia, w któ-
rej mieścił się cały dobytek Grzegorzowej, porozbi-
jane garnki, połamane ławy... i nic, ani żywego ducha.

— Mamo! mamó! — zaczęła wołać niespokojnie
Małgosia.

— Mamusiu! — wtórował jej słaby, żaloszny głosik Lula.

Daremnie obiegli całą chatę dokoła, daremnie przeszukali strych i piwnicę — w całym obejściu nie było nikogo. Małgosia zabrała się do roboty, uporządkowała jako tako izbę, powyrzucała połamane sprzęty i skorupy naczyń, roznieciła ogień na kominię i poszła po wodę. O kilkanaście kroków od domu, nieopodal strumienia widniał na śniegu jakiś ciemny, duży przedmiot. Małgosia ostrożnie posunęła się ku niemu, rozkazując Lulowi, żeby nie szedł dalej za nią, dopóki go nie zawoła. Chłopczyk widział, jak podchodziła ostrożnie, ostrożnie, potem podbiegła pędem, przyklękła, pochyliła się nad tem czemś, co przypominało zdaleka czarne futerko mamusi i nagle z głośnym wrzaskiem porwała się z miejsca, zapominając o konewkach, które zostały porzucone na polu, wróciła pędem do chłopca, porwała go na ręce i poniosła do chałupy płacząc głośno.

Niedługo potem dały się słyszeć kroki na podwórku. To najbliżsi sąsiedzi przyszli ze wsi dowiedzieć się, co u Grzegorzowej słyhać, ponieważ w tej stronie najbardziej hulała wataha kozacka. Na widok spłakanych dzieci zakrzętnęli się żywo po odejściu, zaprowadzili jaki taki ład dokoła i rozbiegli się na poszukiwanie obu matek. Po niedługim czasie wrócili ponuro, dźwigając ciało Grzegorzowej, która dawała jeszcze słabe oznaki życia, złożyli ją na słomie, wyrzuconej z rozbitego łóżka i wyszli raz jeszcze. Lula widział przez okienko, jak wnieśli do stodółki jakiś długi, czarny przedmiot, tak bardzo podobny do futerka mamusi. Potem wrócili do izby, w której Małgośka usiłowała matkę ocucić z omdlenia. Jeden z go-

spodarzy pobiegł na wieś po sąsiadki, drugi wziął Lula na ręce i pogłaskał go litośnie po twarzy:

— Oj, biednyś ty, biedny!—pokiwał nad nim głową.

Grzegorzowa ocknęła się na chwilę, przywołała Lula do siebie i wyjąkała, płacząc rzewnie:

— Ty, robaczku mój, ty, sierotko biedna, oj, co z tobą będzie! Mamusia twoja poszła do Boga, prosić za tatusiem, niech się Bóg zlituje nad tobą i Panna Przenajświętsza! Małgoś, pilnuj dziecka... to ci przykazuję... pilnuj dziecka...

Odwróciła głowę do ściany i leżała, jęcząc z cicha. Lulu szlochał długo, wdrapawszy się na ławę. Wreszcie usnął w kąciku, zwinięty w kłębek, jak małe, biedne psiątko. Gdy się obudził, Grzegorzowej nie było już w izbie, tylko na słomie leżało coś pod prześcieradłem. Małgośka zawodziła, siedząc na podłodze, a izba pełna była bab, szepcących półgłosem pacierze.

Potem wspomnienia Lula stają się bardziej mgliste, jak mglistą jest każda przewlekła niedola. Zrazu Małgosia gospodarowała jak mogła i umiała, opiekując się dzieckiem dość troskliwie. Ale gdy po paru tygodniach powrócił do domu Szczepan, którego owej nocy zabrano z podwodą za ciągnącą armją rosyjską, życie zmieniło się zupełnie. Chłopiec wrócił ponury, rozleniwiony i opryskliwy, że odezwać się do niego nie było można. Nic koło domu nie robił, nawet o konie swoje nie dbał, włóczył się po wsi z żołdatami i powoli wysprzedawał cały ojcowski dobytek. Małgosia nie mogła mu tego darować, z początku napominała go i prosiła, gdy wreszcie zniecierpliwiony zbił ją tak, że ledwie z życiem uszła, uciekła do ciotki na drugi koniec wsi i tylko wówczas wpadała ukrad-

kiem do chałupy, gdy Szczepana nie było w domu. Wtedy myła i czesała chłopca, gotowała mu obiad, uściśnęła i na pierwszy ruch za drzwiami umykała przez alkierzyk do ciotki. Dzieciak, pozostawiony sam sobie, dziczał w samotności i uczył się radzić sobie własnym pomysłem. Szczepan, nawet tak zły, jak stał się teraz, nie śmiał go krzywdzić, pamiętając o odwiecznej zażyłości starego leśnika z dworem.

Tak stały sprawy Lula w chwili, gdy siedząc na ławie biedził się nad uporządkowaniem w zmęczonej głowinie tych wszystkich poplątanych z sobą wspomnień. Zamyślił się tak, że rączka z chlebem opadła mu na kolanka, oczęta pociemniały smutkiem a usta wygięły się w podkówkę.

— Dziadzio poszedł do Boga prosić za tatusiem i mamusia poszła do Boga prosić za tatusiem i nie wrócili już do mnie, a ja choćbym chciał, to sam nie trafię! Dlaczego mamusia nie wzięła mnie z sobą? — wybuchnął w nim po raz setny żal okropny — jak mogła pójść na tak długo i mnie samego zostawić? Brzydka, niedobra mamusia! Tatuś nigdy tego nie zrobił... O, tatusiu, wróć do mnie, tatusiu!

Sznur łez gorących potoczył się strugą po twarzy, wymywając w pokrywającym ją brudzie różne ścieżki i zygzaki.

Naraz tupot wielu nóg rozległ się w sionce. Do izby wszedł Szczepan, a za nim kilku żołnierzy w kozuchach i filcowych butach. Spierali się o jakiś owies, długo i zawzięcie łamanym, polsko-rosyjskim językiem. Wreszcie, ubiwszy interes, rozsiedli się na ławach i poczęli gwarzyć.

Lulu od owej nocy straszliwej, w której mamusia odeszła od niego bez pożegnania, umierał z trwogi

na widok Moskali, to też wtulony w kącik ławy skurczył się tak, że prawie widać go nie było i tylko oczy ogromne, rozszerzone lękiem, jarzyły się w mrocznym kącie.

Naprzeciw niego rozsiadł się chłop olbrzymi, z szeroką, dobroduszną twarzą, zarosłą lnianą brodą aż po niebieskie oczy. Narzekał na coś długo, wzdychając ciężko od czasu do czasu, a towarzysze ponuro kiwali głowami, potakując głośno:

— Skuczno, och! skuczno, Siemion Nikiticz!

Naraz oczy Siemiona zatrzymały się na skulonej postaci chłopczyny i wpatrzyły się w nią z litosnem zajęciem.

— Eto wasz brat? — zapytał Szczepana.

Ten potrząsnął głową przecząco i coś mu zaczął opowiadać zniżonym głosem, z czego Lulu, zagłuszony głośnem biciem strwożonego serduszka, nie usłyszał ani słowa. Żołnierze patrzyli teraz wszyscy na dziecko z widocznem poczuciem, a Siemion powstał, usiadł obok niego na ławie i ująwszy pod brodę pobladłą twarzyczkę, długo jej się badawczo przyglądał. Rysy jego przybrały miękki, rzewny wyraz — zwrócił się do Szczepana i żywo jął mu coś przekładać. Gdy zaś chłopak niechętnie się wzbraniał, Siemion wyjął z za cholewy garść banknotów, wygładził je na swej olbrzymiej dłoni i podsunął chłopcu przed oczy.

Szczepan drapał się w głowę i krzywił zniecierpliwiony, nie wiedząc co począć. Naraz skrzypnęły drzwi od sieni i do izby wpadła Małgosia — ale na widok brata cofnęła się żywo do ucieczki.

— Małgośka! — krzyknął Szczepan.

Dziewczyna stanęła trwożnie na progu, wodząc nieufnym wzrokiem po zebranem w izbie towarzystwie.

— Dać go, czy go nie dać?—zapytał znapła Szczepan, wskazując palcem na mrące ze strachu dziecko.

Małgośka spojrzała na dziecko. Widok brudnej, obdartej i zmizerowanej istotki sprawił jej głęboką przykrość. Uciekając z domu do ciotki, pamiętna na ostatnie słowa matki, chciała koniecznie chłopca zabrać ze sobą, ale Lulu uparł się, że tutaj będzie czekał na mamusię, bo gdyby przeniósł się gdzieindziej, to na pewno nie odnalazłaby go, gdy wróci. Żadne namowy nie mogły przełamać jego uporu. Przytem ciotka, uboga i schorowana kobieta, nie miała dostatecznych środków do wyżywienia malca. W chałupie Szczepana zawsze było jadła poddostatkiem i pod tym względem przynajmniej dziecko żadnego nie cierpiało braku. A jednak osamotnienie i poniewierka w odludnej, pustej chacie, zmieniły w ciągu paru tygodni śliczne i rozpieszczone paniątko w małego nędzarza. Małgosia martwiła się ciężko, myśląc o przyszłości chłopca, ale nie umiała znaleźć na to rady, a we wsi leżącej na samej prawie linii bojowej, każdy myślał tylko o sobie, nie troszcząc się o innych.

Teraz, patrząc na szeroką, dobroduszną twarz „Rusa”, który pieszczotliwie i z ciepłym współczuciem głaskał głowinę wystraszonego chłopca, mówiła sobie, że przecież dziecku przydałaby się taka czuła opieka. Widok rostej, dostatnio przyodzianej postaci żołnierza napełnił ją mimowolnie zaufaniem. Nie myśląc o przyszłości i zapominając o tem, że dziecko ma jeszcze

przecież ojca, który się kiedyś zechce o nie upomnieć, zdecydowała się nagle i rzekła krótko:

— A dyc daj go, może mu tam lepiej będzie!
Potem powoli wyszła z izby.

Tedy Siemion pieniądze rzucił na stół, podniósł się z ławy, wziął na ręce drżącą kruszynę ludzką, przyglądał dziecku zmierzwiłone włosy i jał je powoli, starannie w szynel swój owijać. Potem kiwnął głową Szczepanowi, stojącemu na środku izby z opuszczoną głową i wyszedł na podwórko. Za nim ruszyli ku dwiom inni. Ten handel dzieckiem padł wszystkim na piersi dziwnym jakimś ciężarem. W głębokim milczeniu przeszli żołnierze przez dziedziniec ku saniom, stojącym przed wrotami odejścia.

Z za węgła domu wyjrzała trwożna głowa Małgośki. Na widok Moskała z dzieckiem na ręku zadrzała, żal nagły chwycił ją za gardło. Dopadła do stojącego w izbie brata, chwyciła go za ramię i zaczęła trząść nim, wołając:

— Szczepan, dyc to nasze polskie dziecko, jakże go Moskałom dawać! Może to ci sami naszą i jego matkę zamordowali... O, Jezu! Jezu! Szczepan, leć, odbierz! Co też ojciec powiedzą, kiej wrocą! O, Jezu! Jezu!

I szlochając wypadła z powrotem na podwórze.

Ale Siemion dawno już ze swym towarem ułokował się na saniach, rzucił lejce jednemu z żołnierzy, konie pomknęły w dal, ku siwiejącym w dolinie lasom. Dzwonek długo, rozgłośnie dźwięczał między chałupami.

A Lulu, zwinięty w kłębek, z zaciśniętymi piąstkami i zębami, wił się w bezsilnym płaczu, powta-

rzając zbielełemi usteczkami to najsmutniejsze, bo daremne wołanie!

— Mamusiu... mamusiu... mamusiu...





II.

Noc już zapadła, gdy żołnierze stanęli w obozie. Podczas, gdy jeden z nich zdawał przywiezione zapasy oficerowi, ten zauważył, że Siemion dźwiga coś pod kożuchem.

— Co tam masz? — spytał groźnie.

— Według rozkazu, wasza wysokość, sobaczkę sobie ze wsi przywiozłem, pan generał pozwolił nam trzymać dla zabawy w rowach strzeleckich — czy wolno mi ją zachować?

— No, można... można... — machnął ręką oficer. A że był wielkim amatorem psów, odwrócił się raz jeszcze i rzekł:

— A pokażno tego pieska, czy ładny?

Siemion zakłopotany spojrzał bezradnie na prawo, na lewo, wreszcie powoli jął rozwijać kożuch.

— No, prędzej! — krzyknął oficer.

Siemion rozwinął szynel i naraz z pośród kudłów baranich wychyliła się strzecha złotych włosów, duże oczy błękitne, pełne lęku i gniewu i skrzywiona, zamazana od płaczu twarzyczka. Śmiech szalony gruchnął naokoło.

— Cóż ty, głupcze? — huknął oficer.

— Proszę waszej wysokości... to polskie dziecko, szlacheckie... na ruskiego człowieka wychowam... po-

zwólcie! U mnie w domu taki sam maleńki został... jąkał Siemion, rzucając złowrogie spojrzenie na śmiejących się towarzyszy.

Śmiech ustał. Siemion lubiany był bardzo w obozie, koledzy cenili jego dobroć i podziwiali olbrzymią siłę, z którą zadzierać nie było można, a przełożeni wyróżniali go za rzetelność i odwagę. To też po krótkim namyśle oficer machnął ręką po raz wtóry.

— No niech cię tam! byle z malcem kłopotu nie było! — rzekł krótko i odszedł.

I Lulu znalazł się znów w głębi ogromnego kożucha, gdzie wyczerpany płaczem zasnął głęboko. Gdy się obudził, leżał w pobliżu czerwonego ogniska, w mrocznem, ponurem podziemiu. Naokoło ogniska siedzieli żołnierze rosyjscy, grzejąc przy ogniu ręce, skostniałe od mrozu. Co chwila jedni wstawali i wychodzili, biorąc karabiny, oparte o ścianę przy wejściu, a inni zajmowali ich miejsca. Kilku chrapało, leżąc pokotem na ziemi.

Te niewyraźne, czerwonym blaskiem oświetlone postacie, wzbudziły w chłopcu gwałtowne przerażenie. Olbrzymie, fantastyczne cienie, pełzające po czarnych ścianach i sklepieniu jamy, dopełniały wrażenia grozy. Gdy Lulu podniósł główkę, siedzący przy ognisku żołnierze zaczęli śmiać się i żartować głośno, przyczem znany Lulowi wyraz „sobaczka“ ustawicznie się powtarzał.

Naraz ogromny cień przesłonił ognisko, nad chłopcem pochylił się Siemion, wziął go na kolana i dał mu do rączki kawałek chleba ze słoniną. Potem sięgnął po menażkę, pełną gorącej zupy, wyjął łyżkę z za cholewy i starannie, uważnie zaczął dziecko karmić, uśmiechając się do niego życzliwie. Ale Lulu nie

miał ochoty do jedzenia. Straszliwa trwoga ścisnęła mu wciąż serduszek aż do bólu.

Siemion widząc, że nie przełamie uporu dziecka, odstawił zupę, przytulił Lulę do siebie i gładząc mu twarzyczkę zaczął przemawiać do niego czule,ieszczotliwie, starając się grubemu swemu głosowi nadać jak najmniejsze brzmienie. Wielka rzewność objęła serca żołnierzy. Wielu z nich zostawiło w domu takie dziecięta jasnowłose—czy też zobaczą je jeszcze kiedy? Któryś zaczął nucić z cicha, podjęli melodie inni, i oto z piersi tych brodatych, współdzikich ludzi, popłynęła pieśń żałosna, rozżękniona, o domu dalekim i opuszczonej rodzinie, o szerokiej, spienionej Wołdze, o stepach bezkresnych i utraconej swobodzie... Lulu słuchał, uspokajał się powoli, jakieś miękkie rozżalenie zajęło miejsce poprzedniego lęku. Zaczął drzemać na nowo.

Naraz jakiś ruch żywszy Siemiona i mrukliwy, tym razem gniewny bas jego głosu obudził chłopca. Spojrzał przed siebie i drgnął przerażony. Po drugiej stronie ogniska siedział Tatar, z okrutną, złośliwą twarzą, śmiał się szyderczo, patrząc płonącymi nienawiścią oczami na Siemiona, który szkarłatny z gniewu, hamował się ze względu na dziecko i tylko groźnym błyskiem oczu piorunował zuchwalca. Nie trudno było odgadnąć, że to dwaj śmiertelni wrogowie patrzą sobie w oczy. Między żołnierzami wszczął się szmer niespokojny,—jedni usiłowali Tatara zmusić do milczenia, inni skupili się koło Siemiona łagodząc spór dobroduszną perswazją.

Lulu wpatrzył się w okropną twarz Tatara, nie śmiąc oddychać z przerażenia. Ten dostrzegł to spojrzenie, zauważył przestrach dziecka, szerokie jego

wargi wykrzywił uśmiech okrutnej uciechy, wyjął nóż z za cholewy i starannie, pilnie zaczął ostrzyć go na niej.

— Naco to robisz? zapytali z niepokojem towarzysze.

A Tatar wbił złośliwe swoje oczy w nieruchome od lęku źrenice dziecka i rzekł powoli z okrutnym uśmiechem:

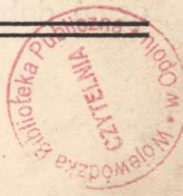
— Ja sobaczku zarięzu!

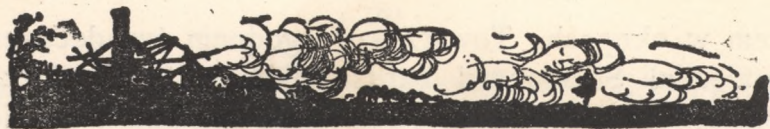
I wykonał równocześnie łatwo zrozumiały gest palcem po gardle. Żołnierze — prócz Siemiona — zaśmieli się z grubego żartu. Ale dziecko uwieżyło po gróźnie. Żałosny, dziki krzyk, krzyk zabijanego zwierzątka wydarł mu się z piersi. Wtedy rozwścieczony Siemion zsunął chłopca z kolan, jednym skokiem, przesadził ognisko i chwycił Tatara pod gardło. Zaczęła się bójka — nóż błyszczał krwawo w szamocących się dłoniach, aż dostał się do olbrzymiej garści Siemiona. Jeden zwinny ruch — i śliskie żelazo wbiło się aż po trzonek pod żebro Tatara. Czerwona struga plusnęła na ognisko.

Wtedy umęczone serduszko Lula stanęło naraz, jak staje pęknięta sprężynka w upuszczonym na ziemię zegarku, głuchy jęk wybiegł z pośród zaciśniętych ząbków i małe ciało sztywno wyprężyło się na ziemi.

Co było potem, tego Lulu nigdy później przypomnąć sobie wyraźnie nie mógł. Dnie i noce pełne strasznych widziadeł, nieustanna męka taka, że na jej wspomnienie długo jeszcze Lulu wzdrygał się cały. Pośród widziadeł jedna twarz powracała ustawicznie, twarz szeroka, brodata, z dobrymi, zatroskanymi oczami, twarz wielkiego Siemiona. Jak najczulsza matka opiekował się dzieckiem przez cały czas ciężkiej jego choroby, najpierw w więzieniu, w którym zamknięto go dla przeprowadzenia śledztwa, a potem z powro-

tem w okopach. Towarzysze zgodnem świadectwem wyjednali Siemionowi bardzo lekką karę za ciężkie zranienie znienawidzonego powszechnie Tatara. A Siemion o niczem nie myślał, tylko o ocaleniu swojej biednej „sobaczki“. Wszystkie wolne chwile spędzał przy nim, tulił go i poił, on też był pierwszym, na kim spoczęło mętne ale przytomne już spojrzenie dziecka po przejściu już maligny. Radosny, dobroduszny uśmiech, jaki opromienił jego ponure rysy, napełnił otuchą duszę malca. A gdy słabiuchne rączyny w nagłej potrzebie czułości wyciągnęły się ufnie ku niemu, Siemion pochylił szybko swój łeb kudłaty, żeby towarzysze nie dojrzel i nie wyśmieli tej łyzy rozrzewnienia, która na rzęsy mu wybiegła. Dojrzał ją natomiast i zrozumiał Lulu. I oto milcząca ale trwała przyjaźń zawarła się między rosyjskim żołnierzem, a małym polskim dzieckiem, sprzedanem obcemu za garść marnych banknotów.





III.

Wiosna pachnąca i uśmiechnięta napełniła zielenią i blaskiem las cały. Kwiaty zakwitły bujnie na łąkach, soczystą, jasną zielenią pyszniła się ziemia cała naokół. Nie ujrzałbyś na niej w tym roku równo krajanych zagonów, gęstych runi ozimin, ani długich grząd jarzyn. Nie padło złote ziarno w rolę nieuprawioną, na której perz jeno i chwasty królestwo swe mocne rozpostarły. Darmobyś też nadśłuchiwał śpiewu słowików w olszynie, albo radosnego ćwierkania skowronków wysoko, pod niebem błękitnem, jak to zwykle o tej porze bywało.

Zato ponad łąką, pełną kwiecica, nad zielonem od łopianów polem brzęczały, niby złe muchy, kulki stalowe, a suchy, niespokojny łomot karabinowych strzałów jedyną dziś na polach stanowił muzykę. Nie grały ptasząt chóry w lesie, ciche i zadumane stały drzewa, zato od pagórków wylatywał czasem dudniący pomruk ukrytych w okopach armat i przelatywał gromem głuchym nad zadziwionym światem, od gór sinych aż hen, w nieskończoną dal... Jak okiem zasięgnąć, nie widać było śladu życia na polach, a jednak w ciągu wielu miesięcy żyli ludzie na całym tym pasie ziemi, rozmową kul pozdrawiając się na dzień dobry i na dobranoc. Był to czas wojny pozy-

cyjnej, od lesistych Karpat, wskroś całej Polski, aż po morze na dalekiej północy szumiące.

Dziwne to było życie! Setkami kilometrów snuły się w dal ciemne pasy rowów, osłoniętych zadrutowanymi gęsto okopami, w których żołnierze roili się, jak robactwo w norach. Z jednej strony siwe, z drugiej zielone mundury jednakowo ciężkie i smutne przeżywały miesiące. Gdzieś tam w innych stronach wrzały zaciekle, krwawe walki, ludzie tysiącami padali, walcząc zażarcie o każdą piędź ziemi, o każde wzgórze, o każdy mostek.... Tu, prócz jednostajnie powtarzającej się wymiany strzałów, nie było żadnych wydarzeń — ludzie ginęli jedynie od chorób, z zimna lub tęsknoty. We dnie świąteczne ustawała strzelanina. Żołnierze obu walczących z sobą linii zabawiali się, jak mogli, w podziemnych swych norach — odzywały się z nich często dźwięki harmonji, piszczałek, albo śpiew chóralny, którego obie strony z jednakowem słuchały zainteresowaniem.

Dla rozrywki i zabicia czasu wolno było żołnierzom trzymać w rowach różne oswojone zwierzęta. Tutaj kot wielki i wypasiony mrużył zielone ślepia pod tkliwą pieszczotą szorstkich rąk żołnierskich, tam pies przechodził całą akademię różnych sztuczek i umiejętności, gdzieindziej koziółek brodaty i rogaty napełniał figlami swojemi całą szczupłą przestrzeń ziemnego okopu, ówdzie znów kogut, zabłąkany niebacznie z pobliskiej wioski, obnosił z dumą swój krwisty grzebień po zakamarkach podziemia i puszył się, niczem generał na parady.

W jednym z rosyjskich okopów, przerzynających zbocze lesistego wzgórza, rolę takiego uciesznego zwierzątka sprawował mały chłopaczek, z bledziutką jak opłatek twarzyczką, wyzierającą lękliwie z gęstwi-

ny złotych loków. Cichy, potulny, zbiedzony jak małe psiątko, dreptał ustawicznie za swym opiekunem, olbrzymim Siemionem i dzielił z nim wszystkie trudy wojennego życia.

Pod troskliwą i czułą opieką tego mrukliwego niedźwiedzia pędził Lulu życie znośne, nie odczuwając żadnych braków. Czysto umyty, nakarmiony do syta, odziany w zgrabnie skrojone ubranie żołnierza rosyjskiego z czapką i odznakami pułku, przy którym służył jego opiekun, Lulu zapomniał o przeszłości i zdawał się nie wiedzieć, że może istnieć jakieś inne życie poza życiem w okopach. Wszakże uśmiech nie zajaśniał nigdy na jego twarzyczce, nie zapłonęły nigdy żywym blaskiem jego głębokie, błękitne oczy, nie zadźwięczał srebrnym śmiechem dziecięcy głosik pośród wilgotnych ścian rowów strzeleckich. Cicho i poważnie przesuwiał się między żołnierzami, którzy polubili go niezmiernie za jego zwinność, spryt i odwagę. Chłopiec na kule, brzęczące naokół, nie zwracał żadnej uwagi i nieraz w czasie największej wymiany strzałów przebiegał do sąsiednich okopów, przenosząc z rowu do rowu pozdrowienia, papierosy, urywki gazet lub inne drobiazgi, będące jedynym urozmaicheniem monotonnego życia żołnierskiego. To też gdzie tylko pokazała się jego złota główka, szerokie, dzikie twarze rozjaśniały się uśmiechem, a nieprzywykłe do pieszczot ręce obejmowały szorstkim uściskiem delikatne ramionka chłopca.

W dniach, przeznaczonych na odpoczynek, przenosił się Siemion z malcem do obozu, leżącego głęboko w lesie. Tam Lulu, mając więcej swobody, zajmował się zbieraniem szyszek i kamyków, albo też z patyków budował zasieki i bombardował je niemiłosiernie,

odtwarzając z zapalem sceny opowiadań, zasłyszanych podczas wieczornych gawęd.

Pamięć rzeczy minionych zatarła się w nim niemal zupełnie. Czasami jednak, kiedy Siemion zasnął lub stał na warcie, Lulu przemykał się, jak leśne zwierzątko, między krzakami na skraj lasu, skąd widać było odległą, szeroką równinę. Tam w dali wznosiły się ku niebu czerwone szczątki wieży kościelnej, tam stał kiedyś dwór dziadzia — Siemion mu raz o tem powiedział — tam była chatka Grzegorzowej, a w niej Szczepan, niedobry, niegodziwy Szczepan. Teraz jednak Lulu już tam wrócić nie mógł, bo w czasie jego choroby przyszli „Austryjcy“ — tak mówił Siemion — wygnali precz rosyjskich żołnierzy i dokoła wsi wykopali szance, z których teraz często huczały karabiny.

— Tam nie można pójść, zachowaj Boże — mówił Siemion — Austryjcy zjadają dzieci, gdyby cię tylko pochwycili, obdarliby cię ze skóry i upiekli na ogniu jak barana.

Chłopiec wzdrygał się z przerażenia i biedną głowiną swoją pracował jak mógł, by zrozumieć różne rzeczy. Niejasne wspomnienie matki dręczyło go czasem. Może ona wróciła już od Pana Boga — co też biedna robi, nie zastawszy synka w Grzegorzowej chałupie? Tak płacze pewnie... tak płacze...

Tatusia zato pamiętał doskonale. Rozmawiał o nim często w swoich długich, poważnych gawędach z Siemionem. Wiedział że tatuś jest też na wojnie, bo wszyscy mężczyźni są na wojnie i będą tak długo wojowali aż jedni drugich pozabijają i wtedy dopiero będzie spokój — tak mówili żołnierze w okopach.

— Ale mojego tatusia nie zabijają? — pytał trwożnie Siemiona, patrząc mu w oczy.

— Nie, twojego tatusia nie zabijają! — odpowiadał

Siemion głosem, wyrażającym jak najgłębszą pewność, ażeby nie udręczać tej i tak już nad miarę udręczonej, dziecięcej duszy.

Wtedy Lulu tulił się do swego opiekuna z sercem pełnem wdzięczności i otuchy, a Siemion patrzył wdał ponuro i myślał o twardej doli żołnierskiej i o bezlitosnem pędzie kul, niosących śmierć...

Tak snuły się ciche, wiosenne dni, niby pasmo szarych nici.

Naraz pewnego dnia zatrzęsła się ziemia od niespodzianego, ogłuszającego huku armat. Bitwa rozpoczęła się gdzieś wpobliżu od południowej strony. W podziemiach odezwał się rechot telefonów polowych, szalony ruch wszczął się w okopach — zaroilo się od żołnierzy, przygotowujących gorączkowo karabiny i amunicję. Oficerowie przebiegali od rowu do rowu, wydając rozkazy — przeraźliwy gwizd sygnałów wiercił w uszach aż do bólu. Lulu, ukryty w głębi podziemnej kazamaty, z drżeniem serca przysłuchiwał się ponurym szeptom żołnierzy. Na chwilę przybiegł do niego Siemion, chwycił na ręce, ucałował trzykrotnie — po rosyjsku — i przykazał ostro, żeby nie śmiał wychodzić z ukrycia, choćby niewiadomo co się działo. Twarz miał pobladłą, oczy pełne smutku i rozpacz. Przytulił chłopca mocno do piersi, postawił na ziemi i wybiegł.

W tej chwili ogłuszający łoskot wstrząsnął powietrzem. Ziemia jęknęła i zadrżała. Grudki gliny posypały się na głowę i ramiona dziecka. Palba karabinowa ostrym grzechotem zabrzęczała naokoło. Odpowiedział jej podobny, choć cichszy odgłos od strony szanćów nieprzyjacielskich. Nowy, przeciągły grzmot i nowy jęk rozdzieranej granatem ziemi. Ryk armat rósł i potężniał, zlewał się w potężny chór, od

którego wszystkie nerwy drgać poczynąły w ciele. Ryk ten po pewnym czasie zmienił się w nieustający, rozszalały orkan, zagłuszający wszystkie inne odgłosy bitwy. Ziemia dudniła i stękała głucho, karabiny z rozpaczliwą skrzętnością wypluwały setki świszczących kul, małe armatki polowe odszczekiwały z zawziętością kundli wiejskich basowym, głębokim postękom moździerzy. Wrzask ludzi, obłąkanych zgrozą, przeraźliwy gwizd komendy, dopełniały piekielnego chaosu.

Nagle gwałtowny wstrząs rzucił malca o ziemię. Dym, kurz i duszący zapach gazów wypełniły jamę. Część plecionego sklepienia zapadła się z łoskotem. U wejścia do podziemia rozległ się wrzask przeraźliwy:
— Austryjcy idut!

Ciało czyjeś zważyło się bezwładnie na ziemię, zamykając przejście. Lulu, nieprzytomny ze strachu, schował się pod stos płaszców, zamknął oczy i przywarł tak bez ruchu, nie śmiać oddychać głośno.

— Siemion mnie nie da, Siemion mnie obroni! — powtarzał raz po raz, pragnąc dodać sobie odwagi.

Ryk armat ustał, zato strzelanina karabinowa huczała wściekle na wszystkie strony. Hałas piekielny jak przez sen już tylko dolatywał uszu dziecka, oddalał się, cichł!... Wreszcie nastąpiła głucha, śmiertelna cisza.

Lulu ocknął się z odrętwienia. Jak mały królik wysunął trwożliwie główkę z pod stosu płaszców i rozejrzał się wkoło. Nic... pusto i cicho... Zaduch w jamie panował nie do wytrzymania. Chłopak chwiejnym krokiem podszedł ku wyjściu i poślizgnął się w jakiejś czerwonej, gęstej, cuchnącej kałuży, która rozlewała się dokoła ciała, zagrządzającego przejście. Wzdrygnął się więc i cofnął, ale okropność położenia dodała mu odwagi. Rów cały zawałony był ziemią

i ciałami, rozrzuconemi w różnych pozycjach. W pobliżu twarz jakaś brodata szklistem i oczami patrzała w niebo. To był Siemion. Lulu przyklęknął przy tym jedynym swym od tyłu miesięcy przyjacielu i dotknął paluszkami jego twarzy. Była zimna i nieruchoma, życie dawno już z niej uleciało.

Placz mimowolny chwycił malca za gardło. Szlochając wy dostał się z rowu i pobiegł do sąsiednich szańców. Gdzie spojrzał jednak, wszędzie to samo spustoszenie: potrzaskane drzewa, rozwalone okopy i pełno, pełno ciał naokoło... Gnany strachem i rozpaczą biegł przed siebie z głośnym już krzykiem, sam jeden, maleńki taki, pośród mnóstwa umarłych...

A tam w oddali, z poza wsi wysuwa się ruchoma, siwa kolumna... Jak fala wezbranej rzeki nieubłagane prze naprzód, błyszczą w słońcu pochylone bagnety, dudnią dalekie, ciężkie kroki... To Austrijcy! to ci, co zjadają dzieci... i niema nawet Siemiona...

Jak spłoszony zając pomknął Lulu szalonym pędem w stronę lasu. Biegł na oślep przed siebie, gnany obłąkanym strachem i rozpaczą, uderzał o drzewa, potykał się o korzenie, ale mknął niestrudzenie w dal, dopóki siły nie opuściły go zupełnie. Jak długo pędził, z tego sobie sprawy zdać nie umiał. Widocznie jednak odbiegł daleko od pola bitwy, bo naokoło niego szumiał tylko gęsty, poważny bór, do którego gromy bitwy przedrzeć się już nie mogły. Lulu spojrzał naokoło i zrozumiał, że umknął niebezpieczeństwu. Zziębnięty padł na ziemię w gąszczu młodej świerczyny i przyciskając rączkami serce, które niemal rozsadało mu piersi, dyszał długo głośnym, rżącym oddechem, aż utuliła go dobra cisza leśna...

Lulu podniósł główkę, wsparł się na łokciu i słucha... Nic, cisza... głęboko, basowo szumi bór, ptaki

ćwierkają gdzieś w górze, po wysmukłym pniu jodły przemyka się mała, ruda wiewiórka i przekrzywiając łebek przygląda się chłopcu ciekawie... Cisza! Las szumi, śpiewa cudną, kojącą pieśń:

— Nie bój się, Lulu, maleńki Lulu! nie bój się, nie bój się...

Obłąkane strachem oczy dziecka zachodzą zwolna mgłą rozżalenia, usteczka drgają, sznury perlistych łez sypią się zwolna na murawę. Wiewiórka przystała w swych harcach swawolnych tuż nad główką dziecka, zwiesza się z gałęzi, przechyla łebek i długo, uważnie patrzy na to małe, szlochające na ziemi stworzonko. Słońce przez zieloną gęstwinę kładzie ciepłe pocałunki na pomierzwioną głowinę dziecka, a las śpiewa, kołysze, tuli miękką, pieszczoną śpiewką:

— Maleńki Lulu... maleńki... nasz... nie bój się...

Dwa motylki tęczowe wyfrunęły z gęstwiny i gonią się i płasają wesoło w smudze słonecznych promieni. Świeżo rozkwitłe pierwiosnki dzwonią mu do uszka nieznane, a słodkie słowa pociechy. Na skraju polanki stanęła sarna. Dużemi, czarnemi oczami patrzy badawczo na Lulę i znika bez szelestu, ale za chwilę pojawia się znowu w towarzystwie dwojga sarniątek, które, przytulone do matki, tak śmiesznie chwieją się na swych wysokich, niezgrabnych jeszcze nóżkach i próbują za jej przykładem chwytać w bezzębne wargi zieloną, soczystą trawkę.

A tam oto wychylił się z norki zajęczek. Dał susa w górę, mignął w powietrzu białym ogonkiem i już go niema. Nie, wraca znowu. Przysiadł na tylnych nóżkach, uszka długie postawił w słup i rusza żywo wąsami... rusza, rusza, jakby się śmiał dobrodusznie.

Lulu już nie płacze. Patrzy sennemi oczkami, dziwi się wiewiórcę i sarnie, motylkom i zajęczkowi, dzi-

wi się ciszy leśnej i tej bezsłownej, a tak zrozumiałej pieśni, która dźwięczy w powietrzu — powieki zsuwają mu się na splakane oczy, jeszcze jedno ciężkie, ciężkie westchnienie i sen litośny ujmuje biedne zmęczone ciało w swoje krzepiące objęcia...

Noc zapadła. Mrok gęsty osłonił tajemniczym swym płaszczem góry i lasy, przepaści i wądoły, przycichły drzewa, przysiadły ku ziemi krzaki w trwożnem zasłuchaniu. Oddalony przeciągły huk armat głuchym pomrukiem wdarł się aż do głębi boru i dotarł do małej polanki, na której mimo późnej pory wrzało gorączkowe życie. Mdłe światelka latarek migotały żywo, to przechylając się nad ziemią, to podnosząc w górę — chrzęściły cicho wozy po rozjeżdżonej murawie, szmerzały przytłumione głosy ludzkie. Czasem tylko ponad ten przyciszony gwar wybił się jęk jakiś przeciągły i skonał długim echem pod sklepieniem potężnych konarów. To rosyjski tren ambulansowy Czerwonego Krzyża zatrzymał się w ucieczce w tem bezpiecznem na pozór schronieniu, aby dać wytchnąć koniom i opatrzyć ciężko rannych, uwieczonych w pośpiechu z pola walki.

W głębokiej czerni nocy naokół polanki stały warty, łowiąc niespokojnie uchem odgłosy grzmotów, które docierały w głąb leśnych gąszczów, budząc w ciemnościach niespokojne jakieś, trwożne szelesty. Gromy te huczały jak podczas letniej burzy, to blisko, to daleko — przelewając się głuchą kaskadą, to wybuchając poszczególnemi, mocnemi stukami, to zlewając się w jeden huk przewlekły, to rozsypując w oderwane, krótkie wstrząśnienia. Czasami ponad wierzchołki drzew wytryskała jaskrawa smuga blasku pękającego pocisku, czasem wiatr przygonił chmurkę, całą czerwoną od dalekiej łuny pożaru, czasem zie-

mia zatrzęsała się długim, konwulsyjnym szlochem. Wówczas żołnierze na warcie obracali trwożne oczy ku polance, wyglądając z rosnącą trwogą, rychło padnie rozkaz odjazdu.

W samym lesie był zupełny spokój, żadnego śladu życia, martwą, grobową ciszą tchnęła czern nocy naokół. Naraz jeden z żołnierzy, stojący na wysuniętej głęboko w las placówce, drgnął i nadstawił uszu. Jakiś niewyraźny chrobot gałęzi zwrócił jego uwagę. Wyteżył oczy, ale w ciemności nic nie dojrzał. Szelest powtórzył się, coś szło najwyraźniej wprost ku polance. Kroków nie było słyhać, tylko trzask chrustu i szelest liści, wleczonych za sobą. Żołnierz nastawił bagnet, serce zaczęło mu dudnić w piersiach ze strachu, zęby zadzwoniły.

— Kto idzie? — krzyknął gromko po rosyjsku. — Nic... cisza... potem po długiej chwili szelest i trzask gałęzi już tuż, blisko.

— Kto idzie? — wrzasnął żołnierz po raz drugi — odpowiadaj, bo strzelam!

Cisza... Żołnierzowi serce zamarło z przerażenia. Jeszcze chwila, a wystrzeli, choć mu tego najsurowiej wzbroniono... Naraz bliźutko, w gęstym mroku zaszemrały liście i słaby, omdlewający głosik dziecięcy odezwał się po rosyjsku:

— Nie gniewajcie się, to ja, Lulu...

Ten głosik cienki, jakby przemocą wydobyty z piersi, te słowa po rosyjsku wyrzeczone uspokoiły żołnierza. Wyjął małą, kieszonkową latarkę, poświecił nią w kierunku głosu i zdumiał się. O kilka kroków przed nim stało, a raczej słańiało się na nogach małeństwo z podrapaną i zapuchniętą od płaczu twarzą w strzępach zielonego szynela, tak bezradne i słabe, że mimowolna litość chwyciła żołnierza za serce,

— Czyj ty? — zapytał już mniej groźnie.

Chwila milczenia, długi, staranny namysł. Czy Lulu wiedział, do kogo należy? Biedne, niczyje dziecko...

— Siemionów! — odparł wreszcie.

— A gdzież ten Siemion? — pytał żołnierz.

— Ubity, tam w rowie... — chłopczyk machnął rączką gdzieś za siebie, usta skrzywiły mu się nagłym bólem ale na płacz sił mu już nie stało.

— Tyś sam? — pytał jeszcze żołnierz.

— Sam...

— No to chodź, usiądź sobie tu koło mnie, zaraz będzie zmiana warty, to cię oddam „siostrycom“. Oj, biedny ty, biedny! — dodał, widząc że malec zaledwie nożyny dźwiga z ziemi.

Lulu przysiadł skurczony u nóg żołnierza i czy to obecność ludzkiej istoty dodała mu naraz otuchy, czy też siły opuściły go już zupełnie, pochylił głowę na mech, wilgotny od rosy i natychmiast zasnął.

Po chwili usłyszał w półśnie kroki i głosy, uczuł, że czyjeś silne ręce podejmują go z ziemi, rozmarzyło go ciepło czyjejs piersi, machinalnie zarzucił ramionka na szyję niosącego, jak to niegdyś z Siemionem bywało, potem blask nagły ocucił go na chwilę. Ktoś świecił mu w oczy latarką. Jakiś oficer z czerwonym krzyżem na ramieniu i dwie zakonnice w długich, niebieskich welonach, przyglądały mu się ze współczuciem. Podniósł głowę i ujrzał się pośród małej polanki, zawalonej wozami i końmi. Tuż obok niego stały nosze, a na nich człowiek z głową owiniętą bandażem, obok drugi, z odkrytą, zakrwawioną piersią, i jeszcze inny... wielu, wielu rannych... Jacyś ludzie pochyłali się nad nimi z wiązkami bandaży, z miednicami i gąbkami, żałośnie, ciche jęki rozbrzmiewały naokół, zapach krwi i karbolu dokuczliwie wciskał się

w nozdrza. Lulu chciał coś powiedzieć, o coś zapytać, ale ogarnęła go ciemność straszliwa, zdawało mu się, że leci gdzieś w bezdenną głąb i stracił przytomność.





IV.

Odtąd zaczęła się straszna, bezlitosna poniewierka. Z ambulansu dostał się Lulu do szpitala polowego, gdzie umieściły go siostry Czerwonego Krzyża, sądząc, że jest sierotą po żołnierzu rosyjskim. Nie obchodzono się źle z dzieckiem, owszem, każdy litość i współczucie mu okazywał. Ale straszne otoczenie rannych, widok krwi, nieustający szloch jęków i rozdzierających skarg, ciągle cofanie się z miasta do miasta, to koleją, to automobilami, to wozami konnymi, wywołało w biednej głowinie taki chaos bezmierny, że chłopczyk snuł się jak nieprzytomny pośród tapczanów, nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje.

Dopiero przyjazd do jakiegoś dużego miasta zmienił trochę jego położenie. Przyjechali w nocy na wielki, jaskrawo oświetlony dworzec. Tramwaje elektryczne przewiozły cały transport rannych do pięknego gmachu w ogrodzie, który wydał się Lulowi dobrze znanym.

— Gdzie jesteśmy? — zapytał sanitariusza.

— We Lwowie, chwała Bogu — odparł ten z westchnieniem ulgi. — Tu już może Austrijacy dadzą nam pokój, nie oddamy im Lwowa.

— Nie oddamy im Lwowa — powtórzył machi-

nalnie Lulu i poszedł poszukać sobie kącika do spania.

Zaczęły się dni zupełnie znośne. Szpital, urządzony starannie w ogromnym gmachu politechniki lwowskiej wydał się Lulowi rajem po przebytych udrękach. Budynek otoczony był ogrodem, pełnym kwiatów i zieleni. Spora część ogrodu, zacieniona piękniemi, rozłożystemi drzewami, otoczona była wysoką drucianą siatką, poza którą roiło się od ptactwa domowego wszelkiego rodzaju. To zarząd szpitala wczesną już wiosną założył tu hodowlę drobiu na użytek szpitalnych kuchni. Były tam setki kur, kurczątek wszelkiego wieku i gatunku, były całe stadka żółtych, puszystych kaczątek i krzykliwe czerechy indycząt. W piękne, słoneczne dni swawolił ten drobiazg maleńki od rana do wieczora na obszernych trawnikach, rozgrzebując ciepłą ziemię i napełniając powietrze ustawicznym gwarem. Lulu nie posiadał się z radości. Cały ten barwny, ruchliwy, krzykliwy światek był dla niego jakby najzabawniejszym teatrem, w którym wciąż się coś działo, a w którym beztraska, humor i radość życia tryskała nieprzerwaną falą. Z noskiem przytulonym do siatki przesiadywał dnie całe w kąciku ogrodzenia, wpatrzony w te mieniące się, wesołe, roztrzepotane roje ptactwa. Wkrótce zaczął już rozróżniać poszczególne stadka, wiedział do której matki który drobiazg należy, zaśmiewał się z bójek czupurnych kogucików, dzielił każdy swój posiłek z łakomemi kaczetami, które przez siatkę wyskubywały mu z ręki chleb lub wyjadały z menażki kaszę.

Straszne obrazy niedalekiej przeszłości zaczęły się powoli zacierać w żywym, dziecięcym umyśle. Twarzyczka mu się zaokrągliła, oczy straciły swój błędny wyraz; chorzy, którym chętnie różne drobne

przysługi wypełniał, uśmiechali się serdecznie do niego, siostry szpitalne często jakimś przysmaczkien darzyły. Raz nawet zawołano go do generała, który w licznej świcie zwiedzał szpital i kazano mu salutować po żołniersku, co gdy pięknie podług Siemionowej mustry wykonał, generał po głowie go pogłaskał i rubla srebrnego do rączki mu wsunął.

— Cóż sobie kupisz za tego rubla? — spytała go później jedna z sióstr.

Kupić coś? Lulu nie miał żadnych pragnień. To też zdziwił się wielce, gdy w parę godzin później dwie siostry, wychodzące do miasta, zabrały go z sobą, żeby mu okazji do wydania rubla dostarczyć.

Lulu pierwszy raz wyszedł po za bramę ogrodu. Szedł za siostrami jak senny przez ulice, które mu się dziwnie znajome wydały. Ale gdzie je widział i kiedy, tego sobie przypomnieć nie mógł. Jakiś ogród wielki, pełen starych drzew i krętych alei, potem w dole gmach ogromny, obłany słońcem, z lśniącym w blasku południa asfaltowym placykiem przed frontem. Coś, jakby sen jakiś, że tutaj oto biegał kiedyś z dużą czerwoną piłką... A potem dużo, dużo domów...

Naraz drgnął i zatrzymał się przed bramą, która z obu stron ozdobiona była kamiennymi głowami lwów. Do wnętrza prowadziły schody, wyścielone czerwonym dywanem. Ta brama, te lewki... Serce Lula zaczęło tłuc się w głuchym niepokoju. Kiedy to było? czy to był sen czy jawa? Oto zdaje mu się, że stoi jeszcze przed bramą, nad nim pochyla się wesół, śmiejąca twarz młodego mężczyzny, który ujmując rączkę dziecka, wkłada ją w otwartą, zębatą paszczę i mówi:

— Masz, lewku, zjedz sobie tego chłopca na śniadanie!

Lulu nie boi się wcale, bo wie, że kamienny lewek

nic mu nie robi — wciska więc rączkę głęboko do rozdziawionej gardzieli i powtarza:

— Maś, lewku, żjidź łąkę na śniadanie...

A w tem porywa go ktoś na ręce — jakiś pachnący, jedwabny policzek przytula się do jego buzi, fijołkowe oczy patrzą tak miłośnie w jego rozbłyśłe źrenice, czyjś złoty loczek łaskoce go po nosku, a słodki, dźwięczny głos woła:

-- Nie dam Lula, nie dam mego synka...

Lulu wciska mocno buzię w zwoje wonnego futerka, zarzuca ręce na czyjaś białą, kochaną szyjkę i skacze z radości, kiedy ten ktoś biegnie pędem po schodach, jakby uciekał przed lewkiem, aż mu od pośpiechu serce głośno, mocno stuka... A potem jakieś drzwi, jakiś duży, jasny pokój pełen kwiatów i słońca... i koń na biegunach...

Główka dziecka pochyla się ku ziemi w bolesnem naprężeniu przypomnień. Naraz drgnął... Ktoś mówi obok niego językiem innym, niż żołnierze i chorzy w szpitalu, a przecież tak dziwnie zrozumiałym.

— Patrz, jaki mały Moskal! wszystko ma jak prawdziwy żołdat — i czapę, i szynel, i pas...

— Czego on tu chce? na co on się tak gapi? — odzywa się gniewnie głos drugi. Dwoje dzieci, chłopiec i dziewczynka, które tylko co wyszły z bramy, stoją wpobliżu i przyglądają mu się uważnie. Krwawy rumieniec oblewa policzki malca. Dlaczego mówią o nim: Moskal? co to wszystko znaczy?

Chce się odezwać, chce sobie słowa jakieś, niby zapomniane, a tak dziwnie bliskie przypomnieć, gdy nagle nadbiega rozgniewana siostra, która zauważywszy nieobecność malca spory kawałek za nim wracać musiała i wpośród ostrych napominań uprowadza go z sobą.

Lulu nic sobie w mieście nie kupił. Wrócił zato z główką tak ciężką od myśli, że nawet kurczątka rozerwać go nie mogły. Usiadł w swoim kątku smutny i posępny, biedząc się nad rozwiązaniem zagadki, która dręczącą tajemnicą wdarła się w jego życie, a której rozwiązać nie umiał.

Tak minął jeszcze tydzień. Nagle zamącił się spokój w szpitalu. O świcie znowu zaczęło budzić Lula przytłumione dudnienie armat. Z dniem każdym psuł się porządek, coraz więcej rannych przybywało, coraz większy zamęt i nieład wdzierał się w spokojny tryb szpitalnego życia.

Pewnego dnia ciężki turkot, od którego zadrżała ziemia w ogrodzie, wywabił Lula do bramy. Od kolei ciągnął długi tren artyleryjski, powracający widocznie z boju. Ludzie, czarni od potu i prochu, śmiertelnie znużeni, obdarci, siedzieli skurczeni na zakurzonych jaszczrykach, patrząc tępo przed siebie. Poranione konie z widocznym wysiłkiem ciągnęły armaty, w milczeniu przesuwali się ulicą ponury transport. Lula stanął przy bramie obok grupy rekonwalescentów szpitalnych, którzy korzystając z pięknego dnia, wałęsali się po ogrodzie. Naraz ktoś chwycił go za ramię. Chłopiec obejrzał się i zdrętwiał ze strachu. Nad nim stał Tatar, straszne widmo z okopów. Wyszczerszał żółte swe zęby w okropnym uśmiechu i ścisnął ramię malca aż do bólu. Lulu krzyknął przeraźliwie, szarpnął się, wyrwał i skoczył przez bramę na ulicę, w sam środek trenu, przewinał się pod końmi, wpadł w pierwszą boczną uliczkę i biegł przed siebie, gnany obłąkanym strachem. Zdawało mu się, że Tatar pędzi tuż za nim, widział jeszcze czerwony blask ognia, krwawo odbijający się w śliskiej stali noża, słyszał

okropny charkot padającego ciała... Siemion! Niema, niema Siemiona, żeby wziął go w obronę!

Kiedy wreszcie bezsilny i zziębnięty upadł na ziemię pod jakimś parkanem, spostrzegł, że znajduje się w nieznannej zupełnie części miasta. Rozejrzał się wokoło z uczuciem wielkiej ulgi. Myśl, że umknął swemu prześladowcy, napełniła go radością. Odludna uliczka, zabudowana małymi domkami, wyglądała zacisznie i spokojnie. Usiadł pod jakąś nawpół rozwaloną szopą i oddychał ciężko, wyczerpany szalonym biegiem i przebytym strachem.

Nie zauważył, że tuż za nim, w szparze między belkami, zaświeciła jedna para oczu, potem druga.

— Widzisz go, jaki mały Moskal! — zaszemrał szept ostrożny.

— Co on tu robi? Gonił gdzieś długo, bo taki zmęczony! Ale-ci czapę ma, jak prawdziwy kozak!

— Idź się zapytaj, co za jeden!

— Nie chcę, niech Józka idzie! Ona najstarsza.

Lekkie szamotanie dało się słyszeć za ścianą, potem skrzypnęły gdzieś z boku drzwiczki i z za węgła domu wysunęła się gromadka brudnych, obdartych dzieciaków. Na czele szła dwunastoletnia dziewczynka, chuda i bosa, przeświecając nagiem ciałem przez szczątki starej sukieneczyny. Za nią cisnęło się dwu młodszych chłopców i jeszcze jedno małe, umorusane, krzywonogie dziecko. Cały ten orszak zatrzymał się przed Lulem i zaczął mu się w milczeniu, długo i badawczo przyglądać.

Lulu zmieszał się i zachmurzył. Od tak dawna nie miał już z dziećmi do czynienia, że obecność takich małych a ciekawych istotek wprawiała go w zakłopotanie. Tymczasem Józka, napatrzywszy mu się do

woli, przykucnęła koło niego na ziemi i, odgarniając czarny kosmyk włosów z oczu, spytała:

— Tyś Moskal?

Lulu milczał, tylko znowu niewytłumaczony gniew oblał mu twarzyczkę szkarłatną falą. Dziewczynka zauważyła ten rumieniec i z uśmiechem przyjaznym pytała dalej:

— Rozumiesz po polsku?

Lulu milczał.

— Gdzie twoja mama? — ciągnęła się cierpliwa indagacja.

Usta chłopca drgnęły boleśnie, ale nie wydały głosu.

— A tatka nie masz? — pytała niestrudzenie dziewczynka, widząc, że dziecko ją rozumie.

Milczenie.

— Może zabili go też na wojnie? — wyrwał się starszy z chłopców, rudy, piegowaty, o niespokojnych oczach. — Mojego tatka zabili kozacy pod Przemyślanami. Mój tatko był „firetem“ w 26 pułku! — objaśnił z pewną dumą, zwracając się do Lulu.

— A moja mama umarła w szpitalu, bo jej szrapnel nogi urwał! — rzekła spokojnie dziewczynka.

— A moją mamę i mojego tata ubił granat, jak my ze wsi uciekali... — dorzucił zająkliwym głosem drugi chłopak, mały, krępy i czarny jak cygańczyk. — My jeno dwoje z Franią zostali — dodał, kładąc rękę na głowie krzywonogiego dziecka. Jak-ci nas prasło o ziem, tak my do wieczora leżeli. A ziemi to nam wszędy nasuło, do oczów, do nosa, do gęby, mało-my się nie podusili!

Lulu patrzył na mówiących. Znowu nieokreślone jakieś przypomnienia zaczęły dręczyć mu duszę. Dzieci mówiły do niego innym językiem, niż Siemion

i ludzie w szpitalu, a przecież on ten język rozumiał i czuł, że wiąże się z nim coś, co kiedyś było, a czego Lulu w żaden sposób przypomnieć sobie nie może. Tem wyraźniej stanęła mu w oczach postać Siemiona, który taką serdeczną otaczał go opieką. Żal głuchy wezbrał mu w serduszkach. Chciał powiedzieć swoim nowym towarzyszom, że i on poniósł bolesną stratę. Namyslał się przez chwilę, wreszcie odważył się dobyć głosu.

— I mnie Siemiona ubili Austryjcy! — rzekł cicho, patrząc uważnie w twarzyczki dzieci, żeby się upewnić, czy go rozumieją.

— A kto to był Siemion? krewny twój czy przyjaciel? — zapytała Józka.

— Da, da, przyjaciel! — podchwycił uszczęśliwiony chłopiec.

Zaczęła się rozmowa. Lulu z trudem znajdował wyrazy, plątał się, wtrącał słowa rosyjskie, ale mówił. Z bezładnego jego opowiadania zrozumiały dzieci tylko tyle, że nie jest Moskałem i że uciekł od jakiegoś Tatara, który chciał go zarżnąć nożem.

— Nie bój się, nie damy cię! zostaniesz z nami! — rzekła poważnie Józka, objąwszy go ramieniem. Dzieci usiadły koło swego nowego przyjaciela i opowiadały mu kolejno swoje przygody. Były niczyje. W tych czasach zamętu i rozstroju społecznego nikt się o nie nie troszczył, nikt się nimi nie opiekował. Sypiały w pustej szopie, we dnie zebrały po ulicach lub wałęsały się z kąta w kąt po całym mieście i... żyły. Przypadek zrządził, że spotkały się w pewien słotny wieczór w tej szopce opuszczonej, która im odtąd za schronienie służyła. Sprytna i zaradna Józka stała się niezadługo głową tego niby gospodarstwa — chłopcy słuchali jej chętnie, bo zawsze z każdego kłopotu wyj-

ście znaleźć umiała, a przytem była dobra, sprawiedliwa i zgodna. Szanował ją rudy Felek, najgorszy, najbardziej zepsuty z gromadki, a czarny Staszek przywiązał się do niej gorąco za opiekę nad czteroletnią siostrzyczką, z którą sam sobie rady dać nie mógł.

— Widzisz, wszystko więc będzie dobrze! Było nas czworo, teraz będzie pięcioro. Nie będzie ci może tak wygodnie, jak w szpitalu, ale zato nie spotkasz się już z Tatarem — mówiła Józka. — Szkoda tylko, że nie mamy dziś nic do jedzenia, będziesz głodny! — rzekła ze współczuciem, gładząc długie, jasne włosy chłopca. — Żeby tak mieć za co choć trochę chleba kupić...

— Kupić? — wyrwał się Lulu. — Já mam coś takiego, za co kupuje się różne rzeczy, tak mówiły siostry.

I zaczął przetrząsać kieszonki, aż znalazł swego srebrnego rubla, owiniętego w paperek. Radosny okrzyk dzieci powitał pojawienie się błyszczącego krążka. — Józka wydała Felkowi szczegółowe dyspozycje, chłopak zadudnił bosemi piętami po ziemi i znikł na zakręcie ulicy, żeby za chwilę pojawić się znowu w galopie, wywijając nad głową paczką, pełną wiktuałów. Lulu, syty i zmęczony wrażeniami, nie robił wielkiego uszczerbku w tej niespodzianej uczcie i tylko patrzył ze zdziwieniem, jak cała czwórka, nie wyłączając Józki, rzuciła się na przyniesione jadło z żarłocznością dzikich zwierzątek.

Wieczór nadchodził ciepły i pogodny. Na starym barłogu w szopce znalazło się dość miejsca dla nowego lokatora. Gdy chłopcy i mała Frania usnęli już mocno, Józka przysunęła się do Lulu, który zatopiony w myślach przewracał się z boku na bok, wzdychając czasem ciężko i zapytała miękko:

— Gdzie twoja mama, Lulu? powiedz, przypomnij sobie!

A wtedy na usta chłopca wybiegły słowa, tak płynnie po polsku wyrzeczone, jak gdyby recytował wyuczoną lekcję, słowa, które tak często niegdyś powtarzał sobie dla pociechy:

— Poszła do Boga, prosić Go za tatusiem...

I nagle okienko jakieś otworzyło mu się w mózgu. Cała zapomniana przeszłość zjawiała mu się przed oczami tak żywo, że serce zadrgało mu z lęku i żalu. Straszliwa tęsknota zatopiła w nim bezlitosne swoje pazury. Upadł na słomę i, wtuliwszy twarzyczkę w rączki, zaniósł się rozpaczliwem szlochaniem:

— Mamusiu... mamusiu... mamusiu...

Józka usiadła przy nim i chudą, brudną rączyną zaczęła miękko, pieszczotliwie głaskać go po głowie. Nie pytała o nic, nic nie mówiła. Jej małe serduszko tyle już przeszło, tyle wycierpiało, tyle krzywd widziały już jej oczy! W głębokiem współczującym milczeniu głaskała główkę łkającego chłopca i mokrą od łez twarzyczkę, głaskała pęty, aż ukołysany czułością tego gestu ścichł w płaczu i zapadł w sen głęboki. Wtedy położyła się przy nim, obejmując go opiekuńczem ramieniem, naciągnęła strzępy chustki na swoje nagie nożyny i dużemi, ciemnymi oczami wpatrzyła się w czern nocy.

W oddali głuchym jękiem grały nieprzerwanie armaty...



V.

Od trzech dni Lulu był wolnym obywatelem ulicy. Sypiał w szopie, wałęsał się po mieście z gromadką przyjaciół, tylko żebrać nie chciał za nic w świecie. Z początku bili go chłopcy, ale Józka tak energicznie stanęła w jego obronie, tak gorącą otoczyła go opieką, że musieli dać mu spokój. Nie chcieli utracić tej zaradnej swojej mateczki w strapieniach, które mnożyły się z dnia na dzień. Rozstrój w mieście wzrastał z każdą godziną. Bitwa toczyła się już w bliskiej okolicy. Setki pociągów odjeżdżały długim sznurem na wschód, uwożąc zrabowane w mieście i okolicy rzeczy, towary, żywność i ludzi. Przed każdą kamienicą, zajmowaną przez rosyjskie urzędy, stały ładowne samochody, gotowe do wyruszenia na dany sygnał. Miasto roiło się, huczało, wrzało jakimś gorączkowym choć tłumionym życiem, oczekiwanie wielkich wypadków wywoływało radość jednych, lęk i niepokój drugih. Częste rewizje nocne w polskich domach obywatelskich, uprowadzenie kilkudziesięciu zakładników z pośród najbardziej szanowanych mieszkańców miasta, pogrozki o przymusowym wywiezieniu wszystkich mężczyzn, potęgowały nastrój grozy, podczas gdy coraz bliższe echa walki budziły nadzieję, że kres panowania najeźdźców już bliski.

W nocy rozgorzały na niebie jaskrawe łuny. Co kilkanaście minut ostry huk eksplozji rozdzierał powietrze. To cofająca się armja rosyjska na rozkaz naczelnego wodza wysadzała dynamitem mosty kolejowe, koszary i różne budowle wojskowe na obwodzie i wewnątrz miasta. Palily się koszary za rogatką łyżczakowską, koszary przy ul. Jabłonowskich, magazyny kolejowe na Gródeckim — czarne słupy dymu wyrastały ku górze jak groźne olbrzymy, wyciągające mściwe ramiona ku niebu.

Szeregi żołnierzy czarnych, zziających, zdziczałych w ciągłym odwrocie, przeciągały bezładnie przez miasto. Setki wozów snuły się nieprzerwaną wstęgą ku wschodnim rogatkom. Z głośnym gwizdem przełatywały zakurzone somochody pośród ulic, rojnych bezładnym i zastraszonym tłumem. Huk armat rósł i potężniał.

Gdyby nie opieka Józki, Lulu zginąłby w tem mrowisku ludzkim bez ratunku. Ona jeść mu dawała, ona wodziła go za sobą po mieście i na noc szczęśliwie do przytulnej szopy odprowadzała, ona wpośród szalonego zamętu wydarzeń tłómaczyła mu rzeczy, przechodzące jego pojęcie.

— Widzisz, jak Moskale uciekają! — mówiła. — Do jutra ani śladu z nich nie będzie. Przyjdzie nasze wojsko i zrobi z nimi porządek.

— Jakie to nasze wojsko? — zapytał ciekawie Lulu.

— Nasze wojsko, no wiesz, takie w siwych mundurach. Widziałeś przecież tych jeńców, których prowadzili wczoraj Moskale przez miasto.

— To byli Austrijacy, ci, co zjadają dzieci — rzekł Lulu. — Siemion pokazywał mi ich nieraz. Oni są bardzo niedobrzy, a Siemion był dobry.

— Siemion był dobry dla ciebie, ale mówił nie-

prawdę, bo nie chciał, żebyś wrócił do swoich. Chciał zrobić z ciebie prawdziwego Moskala i zabrać cię z sobą do Rosji — tłumaczyła poważnie dziewczynka. — Austrjacy wcale dzieci nie zjadają, dużo, dużo Polaków służy w ich wojsku. Mój tato i twój tatuś także...

— Mój tatuś? — Lulu zmarszczył brwi gniewnie. Nie chciał sprzeciwiać się Józce, która była taka dobra i taka mądra, ale nie mogło mu się pomieścić w głowie, żeby jego tatuś kochany mógł znajdować się tam, w szeregach zjadaczy dzieci. Trząśł więc swoją złotą czupryną i nic nie mógł zrozumieć.

Następna noc była jeszcze cięższa od poprzedniej. Wojska rosyjskie wyszły już z miasta, została tylko straż tylna, złożona z dzikich kozaków. Mimo surowych rozkazów zaczęły się rabunki i niepokoje. Szczególniej na przedmieściach roz hulali się pijani żołnierze do spółki z bandytami i rzezimieszkami, którzy powyłazili ze swoich nor, napełniając ciszę nocy dzikimi wrzaskami, hukiem wystrzałów karabinowych i łoskotem narzędzi, któremi wyłamywali żaluzje sklepów, rabując, co tylko w ręce im wpadło. Dzieci, przytulone do siebie, zaszyły się w najciemniejszy kącik szopy i tam, drżąc ze strachu, spędziły noc w strasliwym niepokoju. Rozpaczliwe wołania o ratunek, ustawiczne eksplozje, krwawe łuny na niebie przepełniały gróźą ich serca. Ile razy tupot nóg dał się słyszeć na ulicy, Lulu wciskał twarzyczkę w kolana Józki, a ona kładła mu ręce na głowie ruchem obrony, choć sama trzęsła się jak listek z lęku i zdenerwowania. Zdawało się, że noc ta nigdy nie będzie miała końca. Przez dziury w dachu sączył się do wnętrza szopy jaskrawy, czerwony odblask pożaru. Cała ziemia jęczała, płakała, skarżyła się boleśnie.

Szary blask bliskiego świtu jał rozpraszać ciem-

ności nocy, gdy tuż w bliskości zaryczały armaty. To baterje na Zamarstynowie zaczęły wypływać ze swych stalowych gardzieli ołowiane przekleństwa. Huk jeden, drugi, trzeci, potem salwa za salwą... W błękitnem świetle pogodnego poranka zadrżało miasto długim, przeciągłym dreszczem.

I naraz cisza... przytłaczająca, nieruchoma cisza...

Dzieci słuchały ciekawie... Nic! Ustała biegająca, umilkły krzyki, jęki, przebrzmiały gromy, nie słysząc nic prócz bicia niespokojnych serduszek. Minęły długie godziny, zanim Józka odważyła się ruszyć z miejsca.

— Chodźcie—rzekła—tak cicho, Moskale pewnie już wynieśli się z miasta. Pójdziemy zobaczyć, czy chorągwie zdjęte z ratusza. A może bitwę wygrali i Lwów zostanie w ich rękach?

Słońce dość już wysoko stało na niebie, gdy przez straszliwie puste ulice dzieci dotarły do śródmieścia. Bramy domów były zaryglowane, okna pozamykane szczelnie. Nagle odgłos kroków dał się słyszeć w pustej ulicy, ktoś biegł i krzyczał głośno ochryplym z radości i wzruszenia głosem. Stuk otwieranych okien, szum głosów, pytań, urywanych odpowiedzi wstrząsnął powietrzem. Zaroily się ulice. Bez kapeluszy, bez wierzchnich ubrań wybiegali ludzie z domów, pędząc w stronę zachodnich rogatek miasta, skąd raz po raz odzywał się niesłyszany dawno dźwięk austrjackiej trąbki. To patrole odważnego i bohater-skiego pułku Lwowskich Dzieci wkraczały tryumfalnie do miasta. Ze łzami w oczach, z uśmiechem na spieczonych wargach, przebiegali w zwartych oddziałkach ulice, spiesząc do żon, do dzieci, witani szalonym entuzjazmem tłumów.

Józka, sciskając mocno za rączkę Lula, biegła z nim razem od jednej gromadki do drugiej, zaglą-

dając żołnierzom w twarz, szukając swego ojca z sercem ściśniętem z radości i wzruszenia. Tymczasem na ulicach zrobiło się tak gęsto, że dzieci ginęły w tłumie.

— Chodź, Lulu — zawołała Józka — tu nic nie zobaczymy, chodź na ulicę Karola Ludwika, tam będzie przestronniej.

I pociągnęła malca za sobą tak prędko, że za ledwie mógł jej nadążyć.

Na szerokiej ulicy Karola Ludwika zgromadziły się już nieprzeliczone tłumy. Józka, torując sobie drogę głową i łokciami, skierowała się ku pomnikowi Mickiewicza, chcąc na stopniach zdobyć sobie miejsce, gdy nagle uwagę jej zwróciło wołanie:

— Pst! Józka, Józka! chodźcie tutaj, na kasztany!

Na każdym z drzewek, ocieniających plantacje, roilo się od łobuzów miejskich. Pośród nich jaskrawą plamą wybijała się głowa rudego Felka, który psykał, gwizdał i machał rękami na Józkę.

— Chodź tu prędko, jest jeszcze miejsce, stąd pysznie wszystko widać. Drap się! — zawołał gniewnie na Lulę. — Józka podsadziła malca, jak mogła najwyżej w górę. Popychany od dołu, podciągany z góry, znalazł się wreszcie Lulu na gałęzi. Józka, jak kotka, zwinnie i zręcznie wdrapała się za nim. Ulica tymczasem zamieniła się w jedno huczące, rozkołysane morze ludzkie. Stłoczeni głową przy głowie ludzie krzyczeli, śmieli się, płakali...

Naraz środek ulicy zakolysał się gwałtownie, tłumy rozstały się i utworzyły wolne przejście, w które nieustanną strugą lać się zaczęły szeregi zwycięskiego wojska. Samochody, zasypywane kwiatami, oddziały konne, siwe szeregi piechoty, baterje lekkich armat obwieszonych, jak rojem ptactwa, tłumem rozrado-

wanych dzieciaków, przepływały bez końca, fala za falą, witane krzykiem i wiwatami, od których drżało powietrze.

Czasem z pośród żołnierzy odrywał się któryś, przypadał do tłumu z okrzykiem szczęścia — to mąż żonę witał lub brat siostrę, a tłum klaskał, cieszył się, szalał...

I znów oddział ułanów pojawił się pośród tłumu. Zadudniły kopyta końskie, zaszczękały szable.

Naraz przeraźliwy dziecinny krzyk przeszył powietrze:

— Tatus! tatus!...—dźwięczał napół radośnie, napół rozpacznie przenikliwy głosik chłopięcy.

Oficer, jadący na czele kolumny, drgnął i sokole swe oczy zwrócił w stronę, skąd okrzyk doleciał.

Pod kasztanami poruszyła się, zafalowała gromada ludzka. Na ramiona jakiegoś robotnika spadł z drzewa złotowłosey chłopczyzna, krzycząc i rwąc się w silnych ramionach, które go pochwyciły.

— Gdzie tatus? który tatus? — zaczęli cisnąć się ludzie.

— Tam! tam! na koniu! szło chał dziecko. — Tatus! mój tatuśko jedyny!

Robotnik podniósł chłopca w ramionach i krzyknął gromko:

— Podać go dalej!

I tak ponad głowami tłumu odbywał Lulu dziwną swoją wędrówkę, aż znalazł się na karku karego konia, w ramionach, które porwały go ku sobie... Zobaczył nad sobą oczy, rozwarte straszliwym przeraże-

niem, usta najmiłsze, ocienione jasnym wąsem i całą kochaną, piękną twarz tatusia.

Twarz ta robiła się blada, coraz bledsza, dłonie z wzrastającym pomieszaniem jeły dotykać strzepów rosyjskiego szynela, zmierzwionej czuprynki i zamorusanej, pomazanej strugami łez twarzyczki—straszna groza chwyciła za gardło pięknego ułana.

— Lulu! tyżeś to, Lulu! — jękał nieprzytomnie, tuląc do siebie dziecko, które wiło mu się w objęciach w szale radości.

— Tatusiu!...—szlochał chłopiec—wróciłeś, wróciłeś do mnie! Ja zawsze wiedziałem, że ty wrócisz! Dziadzio poszedł do Boga prosić za tobą i mamusia poszła do Boga prosić za tobą... i... i Siemiona ubili... i mnie samego zostawili... i... i... ja nie jestem Moskal... — zanosił się od płaczu, ściskając ojca z całych sił za szyję.

Oficer zadrżał, zachwiał się na koniu, głuchy jęk wyrwał mu się z piersi — zrozumiał...

W tłumie otaczającym zapanowała naraz cisza taka, że słyhać było każde uderzenie podkowy o bruk. Wreszcie zatrzymany na chwilę oddział ruszył dalej. Coś, jakby szloch jakiś, przeleciało nad tłumem...

I znów zahuczały wiwaty, zagrzmiały radośne okrzyki, posypały się pęki róż, zadzwoniły rozgłośnie trąbki...

Jednak ci, co stali najbliżej, długo w milczeniu gonili wzrokiem barczystą postać mężczyzny, który twarz zalaną łzami krył w gęstej, złotej czu-

prynie dziecka, śmiejącego się i płaczącego naprzemian z radości...

Kary koń potrząsał łbem i parskął ochoczo, z okien wonnym deszczem padały kwiaty, muzyka grała...

We Lwowie, w styczniu, 1916 r.



**W OBRONIE
SWEGO GNIAZDA**



I.

Trr... trrrach... trrrach... huknął wystrzał karabinowy raz, drugi i trzeci. Adaś sprężył się cały, wyteżył oczy w czerń nocy i przyłożył karabin do ramienia. Wiatr siekł go z całych sił po twarzy strugami drobnych, kłujących, jak igły, kropli. Adaś zsunął z czoła daszek nazbyt wielkiej czapki wojskowej, która wciąż mu się na nos zsuwała i wpatrzył się badawczo w krzaki żywopłotu, okalającego zachodnią stronę stryjskiego cmentarza. Ktoś tam człapał ciężko po błocie i kłął pod nosem za każdym poślizgnięciem.

— Kto idzie?—wrzasnął chłopak najgroźniej, jak tylko umiał. — Hasło! bo strzelam.

— Te, malec, cicho tam! Do swojego będziesz strzelał, bąku utrapiony? Ciemno, że niech wszyscy djabli...

Głos był młody, niefrasobliwy i Adasiowi dobrze znany. Ale — rozkaz!

— Stój! — wrzasnął — hasło, albo pałę w łeb!

Wybuch śmiechu był jedyną odpowiedzią, ale nie przebrzmiał jeszcze, kiedy huknął strzał i kula ze świstem przeleciała nadchodzącemu tuż koło ucha.

Na ten przekonywujący argument hasło znalazło się w tej chwili.

— Siodło!

— Siedlce! — brzmiał odzew.

— No, masz hasło i siedź cicho, smarkaczu! O mało mnie nie zastrzelił, jak wróbla na płocie. Wam bo tylko karabiny do ręki, mikrusy! — mruzczał głos w ciemnościach.

Jeszcze jeden plusk roztrąconej nogą kałuży i tuż przy Adasiu wynurzyła się wysoka, smukła postać.

— Rozkaz, to rozkaz, obywatelu podporuczniku! — odpowiedział chłopak, zakładając na ramię karabin dłuższy od jego małej zuchowatej postaci. — Mnie nie obchodzi nic, czy głos znajomy, czy nie, do rodzzonego ojcabym strzelił, gdyby nie znał hasła. Może ognia, obywatelu podporuczniku — kręcił się, jak fryga, rad, że ktoś przerwał mu nudę wartowania.

— No, jakże ci tu? — spytał, zapalając papierosa osiemnastoletni podporucznik. — Zimno?

— Ale gdzież-tam, obywatelu podporuczniku! Od tego wichru to się nawet całkiem gorąco robi!

— Gorąco? — drwił podporucznik. — No, no! żebyś mi z tego gorąca nie uświerkł tu do rana! Takiego djablego zimna już dawno nie było. A w dodatku nieprędko cię tu zluzują, bo żołnierze tacy pomęczeni, że śpią po rowach, jak zabici. Same takie mikrusy, jak ty, straż dziś trzymają. Nie daj Boże ruskiego ataku...

— No, to co? — zaperzył się chłopiec. — Pan podporucznik mówi: mikrusy! A te mikrusy więcej wytrzymują, niż ci dorośli z włoskiego i rosyjskiego frontu. Ja już dwa tygodnie w domu nie byłem, a trzecią noc na warcie stoję. Cały dzień nosiliśmy wczoraj amunicję do szkoły kadeckiej, ja i czterech ta-

kich, jeszcze mniejszych ode mnie. Jeden taki lalusz z jasnymi lokami, jak dziewczynka, a jaki zuch, war-to było spojrzeć! Mogą nasi spać spokojnie, kiedy my na straży!

I wielki, trzynastoletni rycerz wyprostował dumnie swoją szczupłą figurkę, w przeświadczeniu o ważności swego w dziele wojennem współudziału.

— Ho, ho, to ci wojak! Koń by się śmiał, jakby takiego zobaczył! — kpił podporucznik, odpoczywając pod starą topolą, która Adasiowi za ochronę służyła. — No, nie gniewaj się, ja tak tylko z żartów. Więcej warci jesteście wy mali od niejednego dekorowanego generała. Dziś każdy zuch, kto Lwowa broni!

— A jak tam z sytuacją? — pytał Adaś. — Nie oddamy im Lwowa, prawda?

— Musieliby nas chyba wyrznać co do jednego — zapewnił z zapalem podporucznik. — Posiłki podobno już niedaleko, za dwa dni najdalej dotrą do miasta, a wtedy skończy się to hajdamackie panowanie. Gdzie następna placówka? — zapytał.

— O tam, za pomnikiem! Tędy obywatel podporucznik przejdzie śmiało. Tylko tu na zakręcie wyrwa od granatu głęboka, trzeba uważać. Cześć, obywatelu podporuczniku!

— Cześć, chłopcze! A pamiętaj patrzeć i słuchać czujnie, nie spać, wytrzymać do rana! Jak zejdiesz z placówki, zameldujesz się u mnie. Cześć!

— Według rozkazu, obywatelu podporuczniku!

Z palcami przy czole stał Adaś chwilę, patrząc za znikającym we mgle młodziutkim oficerem, a potem zdjął karabin z ramienia, opatrzył go starannie, oparł się na nim wygodnie i, przytuliwszy się plecami do omszonego pnia starej topoli, znieruchomiał

w czujnem zapatrzeniu. Wicher tłukł się niespokojnie po gąszczach parku, przelatywał z dzikim świstem wąwozy, szeroką falą mroźnego deszczu siekł bezlistne konary. Co chwila to tu, to tam zagrzemiał wystrzał karabinowy i przeciągłem echem konał w czerni nocy. To placówki, rozsypane gęsto wzdłuż cmentarza, alarmowały się wzajemnie dla podtrzymania czujności i żołnierskiej ochoty.

Adaś skurczył się w swoim nazbyt obszernym, podwiniętym za pasek płaszczu, nacisnął czapkę na uszy aż po szyję i zaczął snuć dalej przerwane nadejściem podporucznika marzenia. Jakto było? Aha... Oto bój się toczy olbrzymi, a on, trzynastoletni Adaś, jest wielkim i potężnym generałem. Na czarnym, rozhukanym koniu, cały w złocie i amarantach, pędzi przed długą linią krzepkich, jak mur, żołnierzy i gorącemi słowy zapala ich do czynu. Zupełnie tak, jak księżę Józef na ulubionym obrazie...

Adaś był jeszcze maleńkim chłopczykiem, kiedy już rozkochał się w świetnym rycerzu, wskazującym w pełnym pędzie rozbieranego rumaka do skłębiomych fal rzeki. Z biegiem lat stał się księżę Józef bożyszczem Adasia. Dwie były w domu pamiątki, z pietyzmem wielkim w rodzinie przechowywane: malutka miniaturka, wyobrażająca księcia Józefa z lat młodości, z własnoręcznym jego podpisem — i reprodukcja obrazu Orłowskiego z lat trzydziestych, ta właśnie, w którą Adaś wpatrywał się godzinami, odkąd patrzeć umiał, przedstawiająca zgon wielkiego rycerza. Bo jego własna pra-prababcia, którą tatuś znał jeszcze jako staruszkę, była za młodych swych lat dobrą znajomą księcia Józefa i wierną jego aż do śmierci wielbicielką. Od kilku lat wszystkie marzenia Adasia oplatały się dokoła tej umiłowanej postaci.

Ach, tak żyć, tak bić się i tak nawet zginąć! Czy mogłoby być większe szczęście?

W ponurą noc listopadową, kryjącą w sobie śmiertelne znużenie wyczerpanych nadludzkim wysiłkiem obrońców Lwowa, snuła się dokoła rozpalonej zapalem głowy chłopca nić marzeń, od których jasno i ciepło robiło mu się w duszy. Po raz setny przeżywał w marzeniu ten moment największego napięcia, kiedy świetny rycerz, oblany krwią, spina konia tuż nad wezbraną, mętną falą rozszalałej rzeki.

— Bóg mi powierzył honor Polaków! — szepcą drgające wzruszeniem usta, a potem skok...

Karabin wysunął się z rąk chłopca na ziemię. Adaś drgnął przerażony, podniósł go szybko i dla przywrócenia sobie równowagi zaczął chodzić pod drzewem tam i zpowrotem, powolnym, ciężkim krokiem obytego z wojną wiarusa.

Godziny płynęły ciężko i leniwie, jedna za drugą, jedna za drugą...

Zaczynało szarzeć, gdy zahuczała znów wściekła muzyka ukraińskich armat i karabinów maszynowych. Zrobił się ruch na linii. Przyszły świeże placówki i złuzowały warty nocne. W szarem półświecie świtu zaczęli się gromadzić żołnierze, z których wielu nie miało jeszcze lat czternastu i gromadką odeszli w stronę swojej komendy. Szrapnele waliły z dziką wściekłością na prawo i na lewo, szkoła kadecka ziała ogniem karabinowym, warczały działa na wszystkie strony. Adaś z przyjacielem swym i kolegą szkolnym Władkiem Zaleskim szli zwolna na końcu oddziałku, walcząc z tem osłabieniem niezdolnym, jakie ogarnia zmęczonego i przeziębłego człowieka nad ranem, gdy nagle zaturkotał wózek na drodze i zatrzymał się tuż przed nimi.

— Chłopcy! — zawołał mały, może dwunastoletni woźnica. — Pojedziemy do magazynu! Ostatnią skrzynkę amunicji rozpoczęli nasi przed chwilą, a Ukraińcy walą hurmą. No, jazda, rozkaz! — krzyknął niecierpliwie, widząc, że chłopcy ociągając się patrzą skrzywieni po sobie.

— Ano, co robić! To i lepiej, bo sen odleci! — westchnął Adaś i pierwszy skoczył na wózek. Za nim wydrapał się Władek, zaturkotały koła i uniosły zmęczonych żołnierzyków wdół, w siwe mgły wschodzącego poranku.

Przed magazynem nie zastali chłopcy nikogo. Właśnie przed chwilą rozbiegli się żołnierze z plecakami pełnymi ładunków na zagrożone pozycje. Mały woźnica musiał zostać przy koniach, które płoszyły się przy każdym głośniejszym huku i nie chciały stać spokojnie. Adaś i Władek dostali od magazyniera dwie żądane paki amunicji i z trudem wytoczyli je przed magazyn. Ale jak je na wóz władować? Słabe rączyny chłopców ani rusz ciężkich pak podźwignąć nie mogły z ziemi, a nie było nikogo, kto by mógł im dopomóc.

— Prędzej, prędzej! — niecierpliwił się woźnica, powstrzymując z całych sił wystraszone i wierzgające konie.

Adaś wybiegł na ulicę i rozejrzał się niespokojnie wokoło. Było już prawie jasno. Naprzeciw niego szedł zwolna wysoki, stary, siwy pan o miłej i poważnej twarzy. Adaś poskoczył naprzeciw niego i, przykładając mu bagnet do piersi, zawołał:

— Obywatelu, rozkaz!

— Jakiż rozkaz? — uśmiechnął się zaczepiony.

— Trzeba te paki załadować na wóz natychmiast! Musimy się śpieszyć, bo naszym na Stryjskiem

amunicji już brakuje! — grzmiał nanowo Adaś. A ci-szej dodał:

— Widzi pan, my nie możemy udźwignąć...

I wskazał ręką na ciężkie paki, na maleńkiego woźnicę, próbującego uspokoić spłoszone konie i na swego współtowarzysza, który dzwoniąc zębami z zim-na dreptał skurczony koło wózka. Obywatel podszedł ku pakom i spróbował je poruszyć.

— Moje dzieci — rzekł — ja wam niewiele po-mogę, jestem za słaby na to.

— Za słaby! taki ogromny i za słaby! — wykrzy-knął Adaś, który zazdrośnie mierzył okiem wzrost i piękną postawę zaczepionego. A potem zrozpaczo-ny tem oświadczeniem powtórzył znowu, prawie za-łośnię:

— Obywatelu, rozkaz!

Stary pan pochylił się ku ziemi, podźwignął z tru-dem jedną pakę i przy pomocy chłopców, sapiąc i stękając, wydźwignął ją na wózek. Właśnie zabie-rał się do drugiej, gdy od strony pobliskiej fabryki zaczęli biec robotnicy, wołając zdaleka:

— Panie dyrektorze, panie dyrektorze! proszę to zostawić, my to zaraz zrobimy!

— Nie, moi kochani! — odkrzyknął im dyrektor — mnie to kazano zrobić. Jak rozkaz, to rozkaz!

I czerwony z wysiłku, zadyszany, spocony, po-dźwignął drugą pakę i włożył ją na wózek. Chłopcy, jak wróble, skoczyli żywo na paki, przedtem jednak Adaś całą siłą swoich gorących, błękitnych oczu, prze-słał wybawicielowi podziękowanie.

Wózek potoczył się w stronę, skąd coraz gęstszy łomot karabinów maszynowych świadczył o zaostreniu się walki. Na szkołę kadecką sypał się prawdziwy

deszcz pocisków. Szrapnele i granaty kasały twarde mury z taką zaciekłością, jakby je w proch rozbić chciały za jednym uderzeniem. Mimo to wszystkie okna ziały nieustannemi salwami ognia, a kiedy przycichał na moment wściekły huk walki, z wnętrza podziurawionego budynku wypadała fala młodzieńczego, wesołego śpiewu i niosła się wdał, ku warczącym armatom, jak tryumfalne wyzwanie:

— Oto, nie zmożecie nas, nie zabijecie w nas wolnego polskiego ducha, nie zdławiać nas żmijowe wasze oploty! Walczymy przeciw zdradzie i przemocy i — zwyciężymy!

Rwała się ku niebu pieśń pełna zapału i odwagi, wtórowały jej różańcowe stuki karabinów maszynowych, chrapliwe basy armat i jęk rozedrganej od wstrząśnień ziemi.

Ledwie dotarli chłopcy do pierwszych placówek, już ogarnął ich i porwał w swój wir zamęt szalejącej bitwy. Żołnierze rzucili się do wozu, rozchwyтали ładunki i kazali chłopcom natychmiast wracać po nowe.

— Może starsi pojedą — rzekł Adaś — my tu za was zostaniemy, paki za ciężkie dla nas, a niezawsze ktoś się znajdzie do pomocy.

Kaprał, pełniący służbę na tym odcinku, wydał odpowiednie rozkazy, wózek z dwoma żołnierzami odjechał, Adaś i Władek zajęli wyznaczone stanowisko i zaczęli strzelać raz po raz w stronę parku, skąd gęsto padały strzały.

— Adaś, głodnyś? — zapytał w przerwie jakiejś Władek.

— Jeszcze jak! — odpowiedział zapytany.

— Ja to już chyba nie wytrzymam, oczy mi się kleją i głód wnętrzości ściska.

— Co nie masz wytrzymać! Powiedz sobie, że to

dla Polski, zęby zatnij i cierp... Wszystko można wytrzymać, jak się mocno chce. Pomyśl tylko, gdyby nie my, co byłoby ze Lwowem? Nie miłszy ci ten trud od wylegiwania się pod ciepłą kołderką? Potośmy szli, na trud, na mękę, na krwawą walkę za honor Lwowa i całej ojczyzny. Pamiętasz, co mówił wczoraj podporucznik?

— Pamiętam! — odrzekł Władek — tylko że takim już słaby... E, co tam! Trzeba się otrząsnąć. Cel, pal!

I rozpoczął na nowo regularną strzelaninę. Bitwa szalała. Naokoło szkoły kadeckiej panowało istne piekło. Granaty wyrzucały słupy ziemi w powietrze, szrapnele dzwoniły gradem kul, karabiny maszynowe zasypywały ołowianym deszczem całą okolicę budynku, zamienionego w bohaterską twierdzę. Na sąsiednich odcinkach linii polskiej leżeli pokotem zziębli, zmęczeni, czarni od trudu i prochu żołnierze, z których każdy był bohaterem, i sztywniejącymi rękami odstrzeliwali się nieprzyjaciołom. Dowódcy w trwodze i naprężeniu śledzili przebieg bitwy. Byle wytrzymać jeszcze dzień, jeszcze dwa, a pomoc obiecywana napewno nadejdzie... Po paru godzinach atak ukraiński osłabł, strzelanina zaczynała cichnąć, bitwa kończyła się zwolna. Zaraz też podjeżdżać zaczęły do linii rowów dymiące kuchnie polowe, żołnierze chciwie połykali gorącą zupę i gdzie który stał, padali na ziemię, z karabinem w zaciśniętej dłoni, żeby się przespać bodaj chwilę.

Adaś i Władek zameldowali się u kaprała i poszli do swego oddziału, zajmującego cmentarz stryjski. Władek silny i odporny z natury, pokonawszy w sobie chwilowe zmęczenie, czuł się już znowu doskonale, przewiesił karabin przez plecy i szedł rażno, trzymając ręce w kieszeniach i gwizdząc wesoło. Za nim

włókł się powoli Adaś. Kiedy minęło przesilenie bitwy, poczuł, że słabnie, mgła przesłoniła mu oczy. Posuwał się machinalnie naprzód, nie widząc nic naokoło, naraz potknął się i upadł głową naprzód.

— Jezus, Marja! może ranny — wrzasnął Władek, obejrzawszy się na odgłos upadku i skoczył na pomoc przyjacielowi. Nadbiegli inni, obejrzelili chłopca uważnie.

— Nic mu nie jest — rzekł jeden ze starszych. — Zemdlął z głodu i niewyspania. Bo też to dziecko jeszcze.

— Ale duch w nim mocny — przyświadczył drugi i wziął chłopca na ręce. Władek podjął z ziemi karabin zemdlonego i tak idąc gromadką dostali się przez gąszcze cmentarza na zwykle swe stanowisko.

Kiedy Adaś otworzył oczy, zobaczył nad sobą twarz podporucznika, pochyloną z wyrazem niepokoju i troski. Zerwał się w mgnieniu oka na nogi i otrząsając z osłabienia przyłożył rękę do skroni.

— Melduję posłusznie, obywatelu podporuczniku!

— Gdzieś się włóczył cały ranek? — huknął podporucznik, robiąc groźną minę.

— Amunicję wozilem dla przednich straży z Władkiem Zaleskim, obywatelu podporuczniku. Z drogi nas wzięli. A potem kazał nam kapral Ostrowski zastąpić na flanku dwóch żołnierzy starszych, którzy pojechali po skrzynie do magazynu. Dopiero po bitwie nas puścił — tłómaczył się Adaś.

Podporucznik spojrzał na chłopca z mimowolnym podziwem. Stał oto malec taki noc całą na warcie, potem dźwigał paki z nabojami, potem bił się kilka godzin, a teraz jeszcze miną nadrabia dla pokrycia ostatecznego już wyczerpania, które sinymi cieniami powlokło drobną twarzyczkę. Zrobiło mu się serdecznie

zał dziecka, pełniącego bohatersko służbę nad siły. Patrzył nań chwilę w milczeniu, potem rzekł krótko:

— Pójdiesz do domu, do matki! Wyśpisz się porządnie i odpoczniesz. Stawisz się tu pojutrze o tej porze.

— Według rozkazu! — odpowiedział chłopiec, zaszalutował i miał już odchodzić, kiedy naraz cień jakiś żaloszny przeleciał mu po twarzy. Zawrócił i stanął z wahaniem.

— Czego tu jeszcze? — sarknął podporucznik.

— Obywatelu podporuczniku... czy muszę? Ja wcale nie jestem zmęczony.

— Rozkaz—zagrmiał oficer i odwrócił się szybko, żeby ukryć dziwne wzruszenie, jakiego doznawał zawsze na widok tego najmniejszego i najdzielniejszego ze swych żołnierzy. Od dwóch tygodni, odkąd Adaś walczył pod jego rozkazami, nie minął dzień jeden, żeby podporucznik nie znalazł chwili na pogawędkę ze swym ulubieńcem. Jego inteligencja i zapał, jego niewzruszona wiara w zwycięstwo i głęboka miłość dla uciemiezonego miasta wlewały w duszę podporucznika zawsze świeży zdroj nadziei i energję wytrwania. A przytem te oczy takie błękitne, rozmarzone, zasnute mgłą zamyślenia lub rozskrzzone zapalem, oczy, w których przeczystą głąb można było patrzeć bez końca...

— No, idź już! — rzekł miękko podporucznik.

Adaś zaszalutował raz jeszcze i odszedł powoli ciężkim, człapiącym krokiem, tak charakterystycznym dla małych żołnierzy, którzy dźwigać musieli za wielkie buty, za długie płaszcze i za ciężkie karabiny.



II.

Adaś, zostawiwszy cały swój rynsztunek wojenny pod opieką Władka Zaleskiego, przekradł się szczęśliwie przez zarośla parku stryjskiego i kołując różnymi zaułkami znalazł się wreszcie po ruskiej stronie, na ulicy Zyblikiewicza, gdzie mieszkała jego matka. Gdyby kto obserwował to drobne, szczupłe, trzynastoletnie dziecko, kiedy szło tak pośród ukraińskich patroli z miną potulną i niewinną, trzymając ręce w kieszonkach kusego paltocika, nie uwierzyłby nigdy, że przed paru godzinami był to jeszcze żołnierz — i nie bylejaki, wesoły, odważny, karny i wytrzymały bez granic.

Matka powracała właśnie ze sklepiku, oglądając smętnie trzymany w ręku przedmiot. Był to niby chleb, a raczej placek czarny, lepki i kleisty, który za drogie pieniądze zdobyć jej się właśnie udało. Adaś, ujrawszy ją, zadrżał z radości, ale nie podbiegł, nie zmienił postawy, tylko gwiżdżąc przez zęby, obojętnie skierował się ku bramie kamienicy, w której mieszkali. Matka na jego niespodziany widok podbiegła parę kroków, natknęła się na placówkę ukraińską, upuściła chleb na ziemię, żeby ukryć gwałtowny rumieniec i podniósłszy go wolno z pod nóg nadchodzących hajdamaków, weszła za chłopcem do bramy, tłumiąc

okrzyk radości, który omal nie wydarł się jej z piersi.

Dopiero w mieszkaniu nastąpiło rzewne powitanie.

— Ty niedobry, okrutny chłopcze! Jak mogłeś mi tak serce zakrwawić! Patrz, posiwiałam przez ciebie przez te dwa tygodnie? Gdzieś był? Coś robił? Boże, jaki on zmizerowany!—biadała matka, trzymając chłopca w objęciach.—Pewnieś głodny? I umyć się musisz, zazaz zagrzeję wody. No, mówże coś!

Adaś tymczasem usiadł na krześle, teraz dopiero poczuł, jak bardzo jest znużony. Oczy utkwiał w ukochanym swoim obrazie, wiszącym od lat nad jego łóżkiem i rzekł poprostu:

— Byłem po naszej stronie, biłem się... i śpiący jestem strasznie!

Próbował uśmiechnąć się do matki, ale już powieki opadły mu na oczy, głowa pochyliła się na piersi, zasnął. Ze łzami w oczach wzięła go matka ostrożnie, delikatnie na ręce i tak, jakby był małym chłopczykiem, a nie mężnym rycerzem, walczącym o wolność swego miasta, zniosła go na białe łóżko, rozebrała i otuliła ciepło, a potem, ukląkłszy obok śpiącego, zaczęła długo i żarliwie modlić się do Boga, aby jej go zachował. On był jedynem jej dzieckiem, najdroższym skarbem, jaki jej z dawnej, lepszej przeszłości pozostał. Przeląła w niego wszystko, co sama po przodkach odziedziczyła: miłość ojczyzny, poczucie honoru i ofiarność bohaterską dla najświętszej sprawy wolności! A teraz drżała z lęku nad jego drogą główką i nadśłuchując trwożnie kroków żołnierskich na ulicy, powtarzała w śmiertelnym niepokoju:

— Boże, ratuj, Boże, ocal mi go! Boże, zmiłuj się nade mną!

Nad wieczorem lekkie pukanie do drzwi ocuciło

panią Kalinowską z rozmyślań przy łóżku syna. Otworzyła drzwi pocichu i wpuściła do pokoju wysmukłą, czternastoletnią dziewczynkę, z warkoczem złotych włosów, przerzuconym przez ramię.

— Cicho się sprawuj, moje dziecko, Adaś wrócił, śpi właśnie! — szepnęła do wchodzącej.

— Adaś wrócił? — ucieszyła się dziewczynka. — Ach, jak to dobrze! A ja właśnie przyszedłam pani powiedzieć, żeby się pani pilnowała, bo Iwańczuk wciąż koło naszego domu się kręci. Niecierpię Iwańczuka! Od czasu, jak Julek zniknął, ciągle do nas łązi i półsłówkami takie rzeczy mówi...

Gorący rumieniec oblał jej twarzyczkę.

— Cóż mówi Iwańczuk? — zapytała niespokojnie pani Kalinowska.

— Mówi, że Julek przystał do Ukraińców, że on po ojcu Rusin i tak mu zrobić należało. Mówi, że i ja jestem Rusinka i że muszę się z nimi połączyć.

— A cóż ty na to, moje dziecko?

— Ja? Dwa razy już wyrzuciłam go za drzwi. Moja droga, moja złota pani! — błagała ze łzami w oczach. — Czy pani w to wierzy, że Julek przeszedł do Ukraińców? Nie słyszałam nigdy w domu, żeby ojciec mój miał być Rusinem. Umarł, kiedy byliśmy jeszcze mali, a mama nasza jest gorącą patriotką polską; pani wie przecież sama! Biedna mama, onaby tego chyba nie przeżyła, gdyby tak się z Julkiem naprawdę stało. Najstarszy syn i taki ukochany... To ten Iwańczuk wszystkiemu winien. Ja dawno już przeczuwałam, że ta przyjaźń źle się skończy. Ale cóż robić, u wujcia miejsca dla Julka nie było, musiał zamieszkać u tych Iwańczuków, zdawało się, że to taka porządna rodzina, w domu zawsze mówili po polsku, a tu masz, okazało się, że to najzaciętsze hajdamaki. Ja nigdy

nie przestanę być Polką, raczej umrę! — zalała się łzami dziewczynka.

— Uspokój się, kochanie! Może to wszystko mylne pogłoski, albo intryga tego niedobrego chłopca, który niewiadomo poco tutaj się kręci. O, Boże! żeby tylko nie zwietrzył powrotu Adasia! Pytał mnie już parę razy o niego z takim jadowitym uśmieszkiem... Bądź ostrożna i ty sama, nie zdradzaj przed nim zanadto twoich uczuć, kto wie jeszcze, jaką krzywdę wyrządzić nam może; łotrostwo z oczu mu patrzy. A teraz czy zechcesz posiedzieć tu trochę przy Adasiu? Ja pójdę do kuchni rozpaścić ogień i przyrządzić mu coś na kolację, pewnie niedługo się obudzi.

— I owszem, droga pani! Ciocia wie, że ja u pani jestem! — odpowiedziała dziewczynka i usiadła przy łóżku, patrząc na zaróżowioną we śnie twarzyczkę swego przyjaciela. Hela i Adaś znali się od lat siedmiu, to znaczy, odkąd Hela zamieszkała we Lwowie. Matka jej, posiadająca mały folwarczek w tarnopolskiem, nie mogąc sobie dać rady z liczną gromadką dzieci, odwiozła dwoje najstarszych, dwunastoletniego Julka i siedmioletnią Helę do brata swego, lekarza, zajmującego pierwsze piętro w tej kamienicy, w której na dole mieszkała wdowa Kalinowska z sześciolatnim synkiem. Dzieci poznały się i zaprzyjaźniły z sobą szybko. Błękitnooki marzyciel i nieśmiała wiejska dziewczynka dziwnie sobie przypadli do serca. Rośli razem, te same książki czytali, te same snuli marzenia i dziś, choć Adaś drobny i wątły, dzieckiem się jeszcze wydawał, a wysoka i silnie zbudowana Hela panną już prawie była napozór, przecież stosunek ich nie zmienił się w niczem, kochali się gorąco i serdecznie, jak brat z siostrą. O swym rodzonym bracie Julku nie mogła Hela tego samego powiedzieć. Od

trzech lat, odkąd do domu wujostwa zawitało śliczne bobo, najmilsza Marysienka, obecność niesfornego i samowolnego chłopca stała się dla ciotki takim ciężarem, że za zgodą matki umieszczono go na stacji, u urzędnika pocztowego Iwańczuka, którego syn był kolegą i — niestety! — przyjacielem Julka.

Własnie nad skutkami tej zgubnej przyjaźni rozmyślała Hela z goryczą, gdy Adaś przeciągnął się, sapnął, wybełkotał niewyraźnie parę słów. Według rozkazu, cześć obywatelu... i nagle usiadł na łóżku.

Mimo zmroku, panującego w pokoju, dostrzegł i poznał Helę i z radosnym okrzykiem pochwycił ją za ręce.

— Jesteś, to dobrze! Tak bardzo wciąż myślałem o tobie! Wiesz, kiedy mi tak kule gwizdały koło uszu, to nawet o mamie tak nie myślałem, jak o tobie! Myślałem, że pewnie chętniebyś była tam ze mną, z karabinem w ręku. Pierwszy raz nie jesteśmy razem w czymś, co nas oboje jednakowo zajmuje. Ach! bić się za Polskę, to taka piękna rzecz!

Był wypoczęty, wyspany, śmiejący. Pani Kalinowska słysząc rozmowę zajrzała do pokoju.

— Mamo, jeść! — krzyknął — bo połknę Helę z głodu!

I zaczął szczerzyć swoje białe zęby z miną straszliwego ludożercy.

— Ach! ty wojaku — zaśmiała się Hela, trzymając go za ręce. — Naturalnie, że to nie jest w porządku, żebyś ty był tam, a ja tu. Wciąż o tem myślę, szczególnie od czasu, jak Julek... — tu urwała i zachmurzyła się posępnie.

— Co Julek? Gdzie Julek? — zaczął pytać chłopiec.

— Mówią, że przystał do Ukraińców! — rzekła z wielkim smutkiem dziewczynka, pochylając nisko

czoło pod ciężarem przygniatającego ją strapienia. Adaś patrzył na nią długo swemi, pięknemi, błękitnemi oczami i rozmyślał nad czemś poważnej nareszcie potrząsnął głową.

— Nie smuć się, Helu. Ty jesteś Polką, to wiesz sama, i w razie potrzeby potrafisz tego dowieść. Jeśli tak jest naprawdę, powiedz sobie, że straciłaś brata i koniec! Masz mnie jeszcze przecie... — zakończył pieszczotliwie, słodko i mocno ścisnął ręce swej przyjaciółki.

— Och, tak! ty jesteś mój najmiłszy, najlepszy przyjaciel, czem byłabym bez ciebie? Ty mi pomożesz, prawda? — rzekła Hela i pochyliwszy się do ucha Adasia zaczęła go szeptem gorąco o coś prosić.

Wejście pani Kalinowskiej przerwało tę poufną pogawędkę. Matka pozasłaniała starannie okna pledami i kocami, zaświeciła światło i przy pomocy Heli przysunęła stolik do łóżka Adasia. Hela zręcznie i szybko pomogła jej stół nakryć i po chwili wszyscy troje zasiedli do wspaniałej uczyty, którą matka na cześć Adasia z resztek najlepszych swych zapasów naprędce przyrządziła, gdy nagle huk ogłuszający zatrzęsł domem, zabrzęczały potłuczone szyby, odłamki muru z trzaskiem posypały się po ścianie i grad kulek niby paciorków zadudnił po szybach.

— O, mój Boże! — krzyknęła Hela — to w nasz dom. A ciocia sama z dzieckiem...

Jednym skokiem wypadła za drzwi. Nie zauważyła w ciemnościach, że omal nie potrafiła krępego, ospowatego chłopca, który stał przyczajony pod drzwiami a teraz nagle przypadł w kąt sieni, żeby go nie dostrzeżono. I nie mogła też zobaczyć wyrazu złośliwej, szatańskiej radości, który wypelźł na usta

chłopca, skoro z za drzwi, zatrzaśniętych nagle, dobiegł go głos Adasia, wołający:

— Hela! Hela! weź płaszczyk! Mamo, ona się zaziębi.

Hela pędem wbiegła na pierwsze piętro i zadzwoniła gwałtownie. Otworzyła jej nawpół żywa ze strachu niańka z przesliczną, trzyletnią dziewczynką na ręku.

— Co się stało? — wykrzyknęła Hela, nie mogąc prawie tchu złapać z pośpiechu.

Dziecko objęło ją rączkami za szyję i przytuliło się do niej mocno, mocno. Hela poczuła, że drżało całym ciałkiem.

— Co się stało? — zapytała po raz wtóry.

— Wiś, Helu — zaczęło szczebiotać maleństwo — te bzidkie Uklaińci ścielili pod Malisine łóżeczko, tak mocno ścielili bum! bum! i dziuła się żłobiła w ścianie...

Hela spojrzała na niańkę.

— Tak, proszę pani — rzekła dziewczyna blada z przerażenia. — Cud Boski, że nikogo w dziecinnyim pokoju nie było. A właśnie miałam dziecko kłaść spać. O, rany Boskie!

— A pani?

— Pani całkiem zesłabła ze strachu. Jest tam w gabinecie u pana.

Hela z maleńką na ręku pobiegła do gabinetu. Na otomanie leżała młoda, wątła kobieta, łkając rozpaczliwie.

— Ciociu! cioteczko droga, proszę się uspokoić! — zaczęła prosić Hela, przyklekając przy otomanie. — Na szczęście nic się nie stało! Marysienka zdrowa i cała...

— Malisia ciala — zapewniła maleńka, głaszcząc zalaną łzami twarz matki. — Malisia nie boi nic, Ma-

lisia wyziuci tych skaladnych Uklaińców i powie im: ićcie sobie pleć, wy bzikie ajdamaki! — i, weźmie wielkiego kija...

Nowy huk gdzieś wpobliżu zatrząsł powietrzem. Marysia zadrżała całem ciałem, chwyciła kurczowo Helę za szyję i, patrząc badawczo w jej twarzyczkę, dla upewnienia się, że to nic strasznego, zaczęła mówić prędko, gorączkowo:

— Malisia nie boi nic i Hela nie boi i niania tyś nie boi. A kicia bawi ze swojemi malemi kotečkami... A Uklaińci tak ścielajom bum, bum, bum! i Malisia polwie kija...

Usteczka jej drżały, ale broniła się od płaczu, tuląc się mocno do Heli.

— Helu, ziaśpiwaj: to się śmuci, niech się śmuci, a ja doubly humol mam...

Kto się smuci, niech się smuci,
A ja dobry humor mam!

zaczęła Hela drżącym głosem.

— Ciociu! cioteczko, proszę tak nie płakać, choćby ze względu na Marysię. Ciociu! Ach, ot i wujcio nadchodzi. Chwała Bogu! — westchnęła z ulgą, słysząc zgrzyt klucza w przedpokoju.

Kto się smuci, niech się smuci,
A ja dobry humor mam!

zaśpiewała już pełnym głosem, kręcąc się wkołko z Marysieńką, a dziecko uradowane, z oczkami jeszcze łez pełnemi zaczęło wykrzykiwać wesoło. Potem objęło Helę za szyję i szepnęło jej cichutko do ucha:

— Malisia nic nie boi i Hela tyś nie boi...

Wujcio wpadł do pokoju, objął jednym rzutem oka znajdujące się w nim osoby i odetchnął z ulgą.

— No, tym razem jeszcze nic, chwała Bogu. Nie miałem odwagi wejść do mieszkania. Uspokój się, Ma-

ryniu, to niedługo potrwa. Wiesz, mówią, że nadchodzą wreszcie znaczne posiłki, słyszano dziś bitwę na zachód od miasta, przyleciał też podobno lotnik na polską stronę i przyniósł pomyślne wieści. No, dajcie jeść! Co tam, niech sobie strzelają, czy to pierwszy raz? Zato może już ostatni. Przypilnuj, Helu, żeby dobrze zasłonięto okna w pokoju od podwórza i zróbcie więcej światła, bo człowiek wścieknie się w tych ciemnościach.

Zrobił się ruch i gwar, służące zaczęły się krzątać, Marysieńka z rąk Heli dostała się na kolana ojca i z żywością wrażliwego, nerwowego dziecka opowiadała mu niewyraźnie długą jakąś historję o „Uklaińciach”, przeplataną wybuchami śmiechu. Z dziecinnego pokoju przeniesiono sprzęty do sypialni, poczem wszyscy przeszli z głębokiem wzruszeniem oglądać blaszane, siatkowe łóżeczko Marysi, podziurawione odłamkami szrapnela. W zewnętrznej ścianie pokoju widniał duży otwór, a przezeń sypał się do wnętrza wilgotny, biały śnieg.

Tego wieczoru Hela nie zobaczyła się już ze swym przyjacielem. Przysunęła do siebie łóżeczko Marysi, która rzucała się niespokojnie, popłakując przez sen i ze współczuciem słuchała stłumionych jęków cioci, cierpiącej na silną migrenę. Huk armat ucichł już, tylko grzechot karabinów maszynowych brzęczał wciąż utrapioną, niezdolną muzyką. Hela leżała patrząc w sufit i rozmyślała z rozpaczą o tem, co się dziś przy kolacji mówiło o Julku.

— Wujciu, czy to prawda, że tatuś był Rusinem? — zapytała Hela nieśmiało. — Ja nigdy o tem w domu nie słyszałam.

— Nie, moje dziecko — odrzekł doktor — ojciec twój był szczerym i gorąco czującym Polakiem, a dziadek

brał żywy udział w powstaniu i nawet nogę stracił. Babka twoja była wprawdzie grecko-katolickiego ob-
rządku, ale to w owych czasach nie grało żadnej roli
i zarówno ojciec wasz, jak i wy wszyscy wychowa-
liście się jako Polacy i rzymsko-katolicy. Nie martw-
się Julkiem — dodał, widząc jej bladą, smutną twa-
rzą — to nie względy narodowe popchnęły go
w objęcia Ukraińców, ale złe skłonności, podsycane
przez niegodziwych kolegów. Widziałem go dziś w do-
rożce, w towarzystwie kilku pijanych hajdamaków.
Ładny mi Ukrainiec, który ani słowa po rusku nie umie.

— W każdym razie jest renegatem i zaprzańcem!
— wybuchnęła gwałtownie Hela i łzy, spływające jej
po twarzy, ukryła w fartuszkę Marysieńki, która ska-
kała właśnie po jej kolanach.

Teraz, leżąc cicho, wsłuchana w nieustający stukot
strzałów, myślała o tem, że płamę z nazwiska zmyć
trzeba i że może to zrobić tylko ona, Hela...

— Adaś mi pomoże! — przemknęła jej znowu
falą cieplej otuchy myśl radosna. Jak to dobrze, jak
to dobrze, że wrócił!

I marząc słodko o upragnionem jutrze, zasnęła
spokojnie.



III.

Adaś także nie spał tak dobrze tej nocy, jak można się było po jego zmęczeniu spodziewać. Umyty i wyświeżony, w czystej bieliźnie, na białem swoim łóżeczku, czuł się dziwnie nieswojo. Tam, w błotnistych rowach, w brudzie i znoju żołnierskiego życia był mężczyzną, był jednym z rycerzy, niosących wysoko sztandar walki za wolność Lwowa, jako symbol „honoru Polaków“. Tutaj schodził znów do roli małego chłopca, matczynego jedynaka. Nazbyt nagły był przeskok od brutalnej jaskrawości twardego, wojennego obowiązku do miękkości i czułości macierzyńskiej opieki. Przewracając się po posłaniu tęsknił za czernią mroźnej nocy, za wichrem i szarugą, za niespokojnem nadsluchiwaniem oddalonych szelestów i za szorstką komendą ulubionego podporucznika. Żał mu także było nagłego odejścia Heli, z którą nawet pogawędzić swobodnie nie mógł.

— To szczęście, że jutro jeszcze cały dzień przedemną! — pocieszał się w duchu.

Nareszcie zasnął. I sen dziwny, męczący, niespokojny, uniósł go daleko... Zdawało mu się, że stoi na warcie pod starą topolą i słyszy naokoło siebie tajemnicze pełzania i szelesty. Nadstawia karabin, serce bije mu głośno... Nagły, wściekły okrzyk: Hug! wstrząsa

powietrzem, z krzaków wypadają groźne, wpół-nagie postacie, z czubami czarnych włosów, zdobnymi w pióra i wstęgi. Na czele ich pędzi ogromny Tygrys Zębaty i wlecze... ach! wlecze Helę za warkocz... Adaś chce krzyczeć, chce rzucić się naprzód, lecz oto świst strzał przeszywa powietrze, a wszystkie godzą prosto w pierś chłopca. Adaś rozkłada ręce i leci, leci, leci gdzieś w bezdenną głąb czarnego nieba.

Obudził się na chwilę i parsknął z irytacji. Jak mogą śnić się poważnemu żołnierzowi takie dziecinne głupstwa?

— To dobre było, kiedy miałem osiem lat i bawiłem się w parku stryjskim w dzikich Indian. Ale dziś?... Hela była wtedy Sarenką Modrooką! — rozczuła się nagle i z uśmiechem zasypia nanowo.

Ale mary nocne nie chcą mu dać spokoju. Oto pędzi znów na karym koniu przez sine, pokryte ciętami pole. Armaty huczą wściekle, koń się płoszy i staje dęba, w oddali widać ciemną, połyskliwą linię nieprzyjacielskiej piechoty, która milcząc sunie do ataku, jak prędko, jak strasznie prędko! Adaś bodzie konia ostrogą w bohaterskim zapale, gdy nagle tuż przed nim rozlewa się morze spienionych, żółtych wód.

— Co czynisz, mości książe! — woła Władek Zaleski i usiłuje wspinającego się rumaka pochwycić za uzdę. Ale Adaś nie zważa na niego, staje w strzemiionach i, wznosząc w górę srebrzystą szablę, mówi głośno, wyraźnie:

— Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu go tylko oddam!

A potem plusk, woda zalewa mu oczy, gardło, jak przez mgłę słyszy jeszcze żałosne wołanie Heli:

— Adasiu!... Adasiu!...

Dwa wystrzały karabinowe huknęły równocześnie

na ulicy, a potem, po małej chwili trzeci, jakgdyby spóźniony. Adaś siada na łóżku rozbudzony już zupełnie, drżący, oblany potem, z biciem serca, które dech mu zapiera.

— Co ci to, synku? — pyta z ciemności łagodny, ciepły głos matki. — Nie możesz zasnąć?

Adaś nie rozumie, co się z nim dzieje. Jakiś smutek bezbrzeżny zalewa mu całą duszę, oczy napęniają się wielkimi łzami. Rozżalonym głosem pieszczotliwego dziecka mówi:

— Sam nie wiem, tak mi czegoś smutno...

Matka zarzuca na siebie szlafroczek, podchodzi do łóżka syna, siada na niem i, przytulając twarz swą do rozpalonego policzka chłopca, zaczyna pocichutku szeptać: Pod Twoją obronę...

I trwają tak długo, długo, aż wreszcie zasypiają przytuleni do siebie, szczęśliwi...

Adaś spał jeszcze, kiedy pani Kalinowska wysunęła się z domu pocichu, żeby zdobyć coś na obiad dla zmizerowanego chłopca. W mieście było ponuro i pusto. Patrole ukraińskie krążyły gęsto po ulicach, gdzieś tam przemykały się popod domami cienie osób, które, korzystając z chwili spokoju, wybiegały na miasto po żywność i nowiny. Od strony poczty dolatywał nieustanny terkot karabinów maszynowych. Tam walczone zaciekle trzeci już tydzień o każdy schód, o każde drzwi wewnątrz budynku.

Koło dziewiątej zbiegła nadół Hela, chcąc się dowiedzieć, czy Adaś śpi jeszcze. W sieni natknęła się na Iwańczuka, który uklonił jej się z szyderczą uniżonością.

— Dzieńdobry, panno Helu! — zaczął słodko. — Cóż tak wcześnie już do miasta? A nie, to chyba do pani Kalinowskiej bo tak bez kapelusza... Ale niema

jej w domu, spotkałem ją przed chwilą na Pańskiej. Nikogo w domu niema! — powtórzył z przyciskiem. — Wszak Adaś podobno znikł gdzieś, jak kamfora. A cóż, namyśliła się panna Hela? Przynoszę pozdrowienie od Julka i rozkaz, tak — rozkaz! proszę nie marszczyć brwi tak groźnie! starszemu bratu przystoi przecież rozkazywać młodszej, niedoświadczonej siostrze. Otóż przynoszę rozkaz, żeby panna Hela porzuciła nierozumny upór i przyszła do brata dziś w południe do Narodnego Domu.

Hela stała blednąc i oblewając się rumieńcem narzeczian.

— Czego pan chce tutaj? — rzekła wreszcie groźnie. — Co pan ma tu wiecznie do roboty w tej kamienicy? Czemu pan się mną tak interesuje? Niedość, że pan już z Julka zrobił... nikczemnika, jeszcze i tu wsuwa pan, jak żmija, swoje jadowite żądło?

— Powoli, ostrożnie, moja panienczko! Nie należy tak z góry traktować najlepszego przyjaciela swego starszego brata. Nikczemnik? Ha, ha, ha, to śmiało, to mi się podoba! Raczej do panny Heli należałoby to zastosować, skoro zapiera się swego pochodzenia.

— Ja się zapieram? — zawołała blada z gniewu dziewczynka. — Ja jestem Polką, tak jak mój ojciec i jak mój dziadek, raczej umrę, niżbym się tego zaprzeć miała! Precz stąd — dodała, tracąc panowanie nad sobą. — Precz! i niech pan się już nigdy nie waży przystępować do mnie!

Taki wstręt, taka wzgarda malowały się na jej wyrazistej twarzyczce, że Iwańczuk nareszcie zrozumiał.

— Ach ty, Laszka proklataja! Zapłacisz ty mi zato prędzej, niż się spodziewasz! — syknął, a twarz

jego ospowata stała się tak straszna, że Hela cofnęła się przerażona. Zmierzył ją wzrokiem pełnym nienawiści i wypadł z bramy.

Hela postąła chwilę, potem wyjrzała na ulicę, a upewniwszy się, że nikogo w pobliżu niema, zapukała do drzwi na parterze. Otworzył jej Adaś uradowany i wypoczęty.

— Co ci jest, Helu? Czemu jesteś taka blada? — przestraszył się, spojrzawszy na nią.

— Chodź, Adasiu, do nas na górę, chodź prędko, tam wszystko ci opowiem! Mama będzie wiedziała, gdzie jesteś — mówiła prędko Hela i porwawszy chłopca za rękę pociągnęła go na pierwsze piętro. W dziecinnym pokoju Marysienka radosnym krzykiem powitała swego ulubieńca.

— Adaś psisied! Adaś psisied! — skakała z uciechą naokoło niego. Adaś popieścił maleńką, usiadł przy niej na dywanie pośród stosu zabawek i spojrzał pytająco na Hele. Dziewczynka spoczęła obok niego na niskim stołeczku, wciąż niespokojna i jakby zmieszana.

— Słuchaj, Adasiu, nie możesz tu zostawać dłużej! — rzekła. — Musisz jak najprędzej z domu odejść, choćby zpowrotem na pozycję. Tu nie jesteś bezpieczny. Spotkałam się znów w sieni z Iwańczukiem, rozgniewałam się mocno na niego i powiedziałam mu parę niepotrzebnych rzeczy... A on taką dziwną groźbę mi rzucił! Mnie przecież nic nie może zrobić, wuja też nie będą śmieli napastować, więc tylko na tobie może się to skrupić, jeśli ten łotr wywęszy, że tu jesteś!

Adaś zamyślił się smętnie.

— Ja chętnie odejdę — odpowiedział. — Być może, że moja obecność tutaj mogłaby was wszystkich na

kłopot narazić. Szkoda, myślałem, że spędzimy cały dzień razem... I mamie będzie przykro, ona tak się mną ucieszyła...

— Mama zrozumie, że to dla twego dobra i będzie nawet wołała, żebyś odszedł. A ja... mnie zabierzesz z sobą! Tak, ja chcę być żołnierzem, jak ty! Cóż to dziwnego? Jestem o wiele większa od ciebie i silniejsza, patrz, jakie moje ręce mocne i duże, a twoje przy nich takie delikatne... Teraz najcięższe chwile przychodzą dla Lwowa, żołnierze nasi już mdleją na linii z wyczerpania, sam mówiłeś... A przecież nie możemy, nie możemy oddać Lwowa! Honor polskiego imienia leży w naszych rękach! Każdy dziś powinien być tam, po drugiej stronie, z bronią w rękę! Przytem... ty wiesz... — Hela spuściła oczy — ty wiesz, że ja tej hańby nie zniosę, muszę coś zrobić, żeby błąd mego brata wynagrodzić! Adasiu, mój złocisty, mój przyjacielu najdroższy! Ty mi pomożesz, ty mi to ułatwisz, prawda?

Adaś zakłopotany kręcił głową.

— Ależ to niemożliwe, Helu! Widzisz—to nie dla dziewcząt robota! Jest ich tam wprawdzie trochę, ale one nic a nic nie są podobne do ciebie... — objął spojrzeniem zgrabną, wytworną postać przyjaciółki. — Tam tak brudno, często godzinami trzeba leżeć w błocie i zaduchu. A przytem... ty nie wiesz, jak żołnierze na wojnie brzydko się wyrażają, jakie ordynarne śpiewają piosenki... Byłoby ci bardzo, bardzo nieprzyjemnie!

-- Więc co z tego? Mogę nie słuchać, a co do błota i brudu, to nawet najwyżsi oficerowie znoszą go, gdy potrzeba... — upierała się Hela, patrząc błagalnie na swego przyjaciela.

— Nie, nie, to szaleństwo! Nie mogę do tego do-

puścić! — bronił się Adaś. — Wojna nie jest dla dziewczynek. Ja ci nie pomogę, daremnie mnie prosisz, to robota mężczyzn, nie myśl o tem!

— A ty czy nie myślałeś sam, że dobrzeby było, gdybyśmy tam byli razem? Przebrałabym się w stary Julkowy mundurek, nie wiedziałby nikt, że jestem dziewczyną. Mówisz: bić się za Polskę to taka piękna rzecz! Czemu chcesz mnie odsunąć teraz od tego, co jest dla ciebie najpiękniejszym? Czy nie obiecywałeś mi tysiąc razy, że dzielić będziemy z sobą każdą myśl, każde uczucie, każde zdarzenie? A teraz, jak egoista, chcesz sam iść do chwały i zwycięstwa, a mnie zostawić daleko za sobą, dlatego tylko, że jestem dziewczyną... Czy myślisz, że ja nie czuję tak, jak ty? Że nie rwę się całym sercem do obrony naszego miasta? Dość już źle obszedłeś się ze mną, żeś mi odrazu iść z sobą nie pozwolił. Teraz wymagam tego od ciebie, jako jedyne go dowodu twojej przyjaźni: weź mnie z sobą! Czy wolisz, żebym gdzieindziej, w innym oddziale, pośród obcych ludzi pełniła służbę, którą uważam, tak jak ty, za najświętszy swój obowiązek?

Adaś spuścił głowę, zachwiany w swym oporze nie wiedział sam, co ma Heli odpowiedzieć. Przytem z mimowolną radością myśleć musiał, jak miłoby mu było dzielić znoje żołnierskiego życia z kochającą i rozumiejącą go tak dobrze przyjaciółką. Uśmiechnął się mimowoli i zapytał:

— A co wój na to powie?

— Nie mogę oczywiście prosić go o pozwolenie, boby mi odrazu zabronił. Ale gdy pójdę, nie weźmie mi tego za złe. Sama wczoraj słyszałam, z jakim wzruszeniem i z jakim podziwem mówił o kobietach, walczących po naszej stronie. Wuj i samby może miał

ochotę pójść do naszych żołnierzy, gdyby nie ciocia i Marysieńka! No więc zgadzasz się, prawda?

I w uniesieniu radości ucałowała chłopca serdecznie. Marysia uszczęśliwiona wdrapała się Adasiowi na kolana, wołając:

— Malisia tyś cie pokochać, Malisia tyś... — gdy nagle pod oknem huknął strzał i długiem echem rozniósł się po ulicy. Marysia w przerażeniu chwyciła Adasia za szyję, a on przytulając ją do siebie mówił:

— Nie boj się kici, moja maleńka, moja słodka! to nic, to tylko tak sobie...

Ale Hela już znowu zaczęła się niepokoić i prosić Adasia, żeby zbierał się jak najprędzej do drogi, dopóki Iwańczuka niema wpobliżu. Posłano Hanię nadół, dla zbadania, czy nikogo obcego na schodach niema, potem Adaś uścisnął Marysieńkę i nie żegnając się z Helą, która miała przyjść za chwilę do niego, zbiegł do siebie.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, z kąta sieni wysunął się skulony tam dotąd Iwańczuk, pocichu podkraść się aż do drzwi, położył coś na progu i szybko wyskoczył z bramy. Włożył dwa palce do ust i gwizdnał przeciągle trzy razy. Na to hasło ulica zarojła się od hajdamaków. W mgnieniu oka kamienica pełna była żołnierzy, brama zamknięta i zatarasowana, wszystkie wyjścia obstawione strażami.

— Haniu! co się stało? co to się dzieje? — zapytała Hela wystraszonej niańki, która właśnie uciekała z ganku do kuchni.

— Oj, panienko, nie wiem doprawdy! Zdaje się, że rewizja w mieszkaniu pani Kalinowskiej. Mówią, że nabity rewolwer znaleźli pod drzwiami. Biedny Adaś, biedna pani...

Hela drżała tak, że zęby jej dzwoniły, jak w fe-

brze. Poszła do przedpokoju, chcąc wyjść na schody, ale przez okienko dostrzegła Ukraińca, stojącego z karabinem w ręku przed drzwiami. Wróciła do pokoju i spotkała się z ciotką, która nowpół ubrana wybiegła ze swej sypialni.

— Co się tam dzieje? — spytała niespokojnie.

— Ciociu — wyrzekła cicho Hela, jakgdyby lęk głos jej odebrał — ciociu! Adasia aresztowali Ukraińcy, matki niema w domu, ciociu! Ratuj go, pomyśl...

— Ach, Boże, Boże! — zaczęła biadać ciotka — cóż ja mogę pomóc? Gdyby jeszcze wuj był w domu, możeby mógł coś zrobić. Za cóż go aresztowali? Ja nic przecież na to nie poradzę! Bo i poco on tu wracał? Nie mógł tam już siedzieć? I co za sens włóczyć się z rewolwerem — dokończyła z gniewem, jakby całe to zajście było wyłącznie Adasia winą.

— Ciociu, tu nie o to przecież idzie... On wcale nie miał broni przy sobie, to umyślnie... o, Boże!

Hela, przyciskając ręce do serca, zaczęła nasłuchiwać, Marysieńka stała przy niej, podnosząc to na nią, to na matkę przerażone oczęta. W sieni rozlegały się donośne nawoływania, ciężkie kroki i szczęk karabinów, potem dał się słyszeć skrzyp bramy.

— Panienko, wyprowadzają go na ulicę! O, Jezu, pewnie mu co złego robią! — wpadła do pokoju Hania, która przez okno salonu porozumiewała się na migi z kucharką zprzeciwka.

Hela skoczyła do przedpokoju, ale ciotka schwyła ją za ramię.

— Co chcesz czynić, szalona! — zawołała. — Wracaj w tej chwili! Nic nie pomożesz, a tylko nas i siebie na niebezpieczeństwo narazisz. Cóż mu zresztą mogą zrobić, to przecież dziecko jeszcze! Wezmą go do

przesłuchania i wypuszczą zaraz... — próbowała pocieszyć śmiertelnie bladą dziewczynkę.

Hela zwolna przeszła przez szereg pokoi. W gabinecie wuja znajdowały się drzwi, prowadzące na narożny balkon. Hela uchyliła je pocichutku i nieznacznie, na kolanach podpełzła aż do kamiennej balustrady.

Adaś stał tuż prawie pod balkonem, oparty o ścianę kamienicy. Ręce miał związane, twarzyczkę bladą i tak dziwnie, dziwnie uroczystą. Naprzeciw niego stało trzech hajdamaków. Spierali się o coś, klnąc grubo po rusku i szukali po kieszeniach ładunków. Wreszcie nabili karabiny i skierowali je prosto w pierś chłopca. Hela chciała krzyczeć, ale głos uwiązł jej w gardle. Wbijając paznokcie w kamienne słupki balustady, zdrętwiała ze zgrozy.

Adaś podniósł głowę do góry. Spokojny był i prawie uśmiechnięty. Jego wielkie, błękitne oczy z taką siłą wpatrzyły się w rąbek nieba, że blask bił od nich, jak od jasnego słońca. A właśnie w tej chwili z poza mknących po niebie obłoków wytrysnął snop jaskrawych, słonecznych promieni i objął jego cudną, chłopięcą głowę złocistą aureolą. Usta Adasia poruszyły się zwolna. Hela nie dosłyszała głosu, ale zobaczyła ruch warg i sercem odczuła wymówione słowa:

— Bóg mi powierzył... honor... Polaków...

Zagrzmiał huk: najpierw dwa karabiny razem, a potem po maleńkiej chwile trzeci, jakby spóźniony.

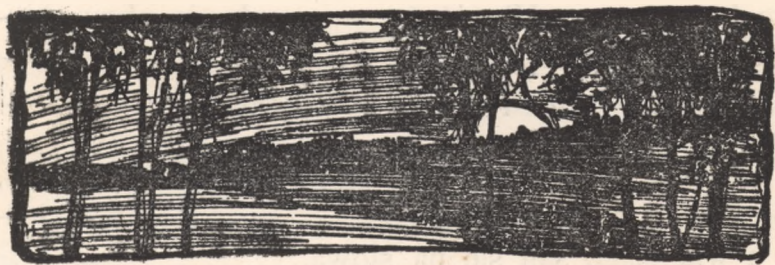
Hela instynktownie rzuciła się w głąb pokoju i nieprzytomnie stanęła na środku. U jej nóg przysiadła na ziemi Marysieńka, która aż tu za nią przybiegła. Na odgłos strzału dziecko pochwyciło w objęcia białą kotkę, drżącą na dywanie i drżącemi od

powstrzymywanego płaczu usteczkami jęło powtarzać usłyszane niedawno wyrazy:

— Nie bój się kici, moja maleńka, moja słodka, to nie, to tylko... tak sobie...

Pokój zakręcił się w szalonym tańcu naokoło Heli, podniosła ręce do głowy i bez jęku osunęła się ciężko na dywan.





IV.

Noc... Na cmentarzu stryjskim porozstawiano gęsto strażę, bo podejrzany jakiś ruch po stronie ukraińskiej kazał się spodziewać nowego ataku. Podporucznik Krzycki siedział na płycie grobowej jakiegoś starego pomnika i wydawał rozkazy wartom, które właśnie odejść miały na placówki. Był markotny, bo brakło mu najmilszego żołnierzyka, Adasia Kalinowskiego; miał wrócić dziś rano z urlopu i nie pokazał się dotąd. Naturalnie zatrzymała go matka. Pewnie to i lepiej, bo chłopak delikatny i tak nad wiek umysłowo rozwinięty, ale zawsze szkoda... Podporucznik tak lubił słuchać jego dźwięcznego głosu, w którym drgał zawsze zapal, prawda i odwaga.

Nagle stanął przed nim Władek Zaleski, prowadząc za sobą wysmukłego chłopca w mundurku studenckim, z maciejówką, silnie naciśniętą na oczy i zawiątkiem pod pachą. Zasalutował po żołniersku i rzekł:

— Cześć, obywatelu podporuczniku! Przyszedł tu krewny Adasia, pragnie się dostać do kompanji na jego miejsce, czy obywatel podporucznik pozwoli wydać mu Adasiowe ubranie i karabin.

— To Adaś już nie wróci?—zapytał żywo podporucznik.—Nie dała mu matka! No tak, to oczywiste...

— Adaś został wczoraj... o dziesiątej rano... roz-

strzelany... przez Ukraińców — ozwał się obcy chłopiec głosem przerywanym i pełnym tak niewymownego bólu, że podporucznik zadrżał cały i porwał się z miejsca.

— Co ty mówisz? To niepodobna! — krzyknął, potrząsając chłopca za ramiona. Ten odetchnął ciężko i widocznie silił się na słowa.

— Zdradził go... szpieg ruski, podrzucili mu rewolwer, zrobili sąd doraźny i na miejscu... pod murem... roz... strzela... li...

Głos chłopca zamarł w ledwie dosłyszalnym jęku.

Podporucznik zaciągnął się mocno papierosem i w przelotnym jego blasku zobaczył twarz delikatną, śmiertelnie bladą, z oczami patrzącymi martwo z pośród sinych powiek. Na twarzy tej widniała kamienna, jakby zastygła zgroza.

— Byłeś przytem? — zapytał cicho.

Usta chłopca drgnęły, chciał odpowiedzieć, ale zabrakło mu głosu. Skinął tylko głową i zatrzęsł się krótkim, widocznym dreszczem.

— Okropność, okropność! — szeptał podporucznik, chwytając się za głowę. Rzucił papierosa i zaczął chodzić tam i zpowrotem, czując w gardle nieznosne ściskanie. Naraz odwrócił się do chłopca.

— Jak się nazywasz?

Chłopiec spuścił głowę.

— Kalinowski, Józef Kalinowski, obywatelu podporuczniku! — odpowiedział żywo Władek, wysuwając się naprzód.

— Brat Adasia? — zapytał podporucznik.

— Daleki krewny, obywatelu podporuczniku.

— Ty go znasz?

— O, znam oddawna, od kilku lat, zawsze bawiliśmy się razem. Adaś bardzo go kochał—dodał ciszej.

— Chcesz przyjść na miejsce Adasia? — zwrócił się podporucznik do przybysza.

— Tak, panie podporuczniku! — odpowiedział chłopiec cichym, stłumionym głosem.

— Umiesz strzelać?

Chłopiec zawahał się, spojrzał niespokojnie na Władka.

— O, on się zaraz nauczy! Czy to taka sztuka? Gdyby tylko obywatel podporucznik pozwolił mu pójść ze mną na placówkę... Okazja do nauki napewno się zdarzy! — zapewnił Wladek.

— Dobrze, idźcie, a rano zameldujcie się u mnie! — rzekł podporucznik i usiadł znowu na płycie, kryjąc twarz w dłoniach.

— Zwierzęta... — szeptał przez zęby do siebie — dzikie potwory! Takie dziecko, takie dobre, święte dziecko! I to ja sam go na śmierć posłałem...

Wladek, orjentując się znakomicie w ciemnościach, pociągnął towarzysza za sobą między groby i pomniki, namacał ręką jakąś płytę, odsunął ją i rzekł przyklękając:

— Tu jest nasz schowek. To Adaś go wyszukał... Nikt o nim nie wie. Niech Hela schowa tu swoje zawiniątko, jak będzie potrzeba, to je weźmiemy w każdej chwili. A tu jest płaszcz Adasia, jego czapka i karabin. Tak, teraz pas trzeba zapiąć... nie, nie tak! wpierw ładownice... — mówił, ubierając mniemano chłopca. — Włosy dobrze zwinąć pod czapkę, poco ma kto wiedzieć! No, teraz karabin na ramię! Doskonale, pyszny żołnierz z ciebie! Aha, jeszcze buty... Najlepiej włóż na swoje, bobyś je pogubiła, twoje takie malutkie! Daj, ja ci pomogę! — poprosił, schylając się do nóg dziewczynki.

Hela przysiadła na płycie. Przez tępe odrętwie-

nie przeniknął ją naraz na widok tej pochylonej przed nią głowy ostry, szarpiący ból. Tak marzyła o „takiej“ chwili, tak gorąco jej pragnęła jeszcze wczoraj rano, tak się na nią cieszyła, a dziś...

— Adasiu! — zatargał się w niej żal okrutny. Przygryzła wargi, odsunęła łagodnie chłopca od siebie, zasznurowała szybko wielkie, żołnierskie buty i wstając, rzekła głucho przez zaciśnięte zęby:

— Chodźmy...

Władek prowadził ją znów w ciemnościach przez różne kręte labirynty. Chwilami pociągał nosem skrycie, żeby ktoś nie pomyślał, że żołnierz płacze. Przyszli na granicę cmentarza. Tutaj, przy wyłomie parkanu miał dziś Władek trzymać wartę. Zluzowali dotychczasowego strażnika i stanęli przy wyłomie z karabinami w ręku. Noc była dość jasna, bo chmury przelatowały szybko po niebie, odsłaniając od czasu do czasu białe rąbek księżyca.

— Patrz — szepnął Władek do Heli — tu naokoło ciągną się rowy ukraińskie. Pełno w nich hajdamaków. Spodziewamy się lada godzina napadu. Strzelać nie jest wcale tak trudno, jak ci się zdaje, a nabijać nauczysz się prędko. Daj karabin, pokażę ci!

I mały żołnierz zaczął uczyć Helę, jak się bezpiecznik odwodzi, jak się ładunki zakłada; dziewczynka słuchała z zainteresowaniem, pochyliła głowę i po chwili sama zaczęła próbować. Okazało się, że pojmuje doskonale o co chodzi, a jej silne, wyrobione ręce łatwiej nawet dają sobie z tem radę, niż ręce młodszego od niej i szczuplejszego Władka.

— Doskonale! — rzekł. — Niejeden w godzinę nie nauczy się tyle, ile ty w jednej chwili. No, wystrzel teraz w górę, nie bój się! My często tak na ochotę strzelamy, ot, słyszysz przecież, coraz to ktoś puknie

na linji. Tylko uważaj, żeby cię karabin nie „kopnął“, bo niektórzy to tak bije, że aż twarz puchnie.

Hela z przejściem pocisnęła cyngiel. Huknął strzał, karabin „kopnął“ ją potężnie, aż wykrzyknęła z bólu.

— Widzisz — uśmiechnął się Władek. — Teraz już będziesz wiedziała, jak masz trzymać, żeby stłuczenia uniknąć. Jeden strzał nauczy cię więcej, niż miesiąc szkoły. No, a teraz stój, patrz i słuchaj — to wszystko, co się na warcie robi.

Hela oparła się o parkan i zapatrzyła w dal. Dwie doby ostatnie przesunęły się znów przed nią, jak straszny, dręczący sen. Nie czuła już nawet bólu z wyczerpania, nie czuła nic, prócz jakiejś przerażającej pustki w głowie, o którą rozbijały się wrażenia zewnętrzne, jak o szklaną kulę. Zaciskała mocno karabin w sztywnych, zlodowaciałych dłoniach i szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w czerń nocy, nie słysząc szeptów Władka, który usiłował zawiązać z nią rozmowę. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak długo stała na warcie. O którejś godzinie w nocy zlurowano posterunki. Pozwoliła się Władowi odprowadzić, usiadła gdzieś nie zamykając oczu ani na chwilę, później znów powróciła z chłopcem na stanowisko.

Zaczynało dzień. Wąski, różowy pasek zarysował się lekko na wschodzie przez koronkę splątanych, bezlistnych gałęzi. Patrzyła jak rósł, rozszerzał się, nabierał ciepłych barw, w błękitnem świetle wynurzać się poczęły zwidy drzew, otulonych mgłą, a mrok nocy przyczął się, opadał, krył się między groby.

Hela z oczyma, utkwionemi w różowe, obrzeżone złotem obłoki, poruszyła ustami. Zdawało jej się, że to ciepły uśmiech Adasia wita ją na dzień dobry.

— Widzisz, Adasiu! — mówiła pocichu — przy-

szłam i stoję tu na twojem miejscu, z twoim karabinem i w twoim płaszczu żołnierskim... Wiesz sam, że musiałam to zrobić, tembardziej... Ach, czy to prawda, że ciebie już niema? Nie, nie! Jesteś tu we mnie i ze mną, czuję bicie twego serca, widzę twoje oczy i twój uśmiech kochany... Nie rozłączymy się nigdy, nigdy z sobą! Nie mieliśmy czasu powiedzieć sobie tego, ale to nic, dziś ci to mówię — a ty słyszysz — prawda, że słyszysz, i zadowolony jesteś ze mnie?

Wpatrzyła się w niebo żarem swoich ciemnych oczu z takim natężeniem, że Wladek kilkakrotnie przeskakał wzrokiem całą przestrzeń naokoło, żeby zobaczyć to coś, na co patrzyła i dreszcze zabobonnego lęku przeszły mu po plecach.

Naraz ziemia stęknęła głucho, ryknęły armaty. Ze szkoły kadeckiej odpowiedział im wrzaskliwy rózaniec karabinów maszynowych. To była pieśń poranna wojującego Lwowa. Zaczęła się bitwa. Warczący świst pocisków zatrząsł powietrzem.

— Uważaj! — krzyknął nagle Wladek i szarpnął Helę tak mocno, że upadła z nim razem na ziemię. Z szalonym hukiem pękł granat o kilkanaście kroków od nich i roztrzaskał stary pomnik, wychylający się z gęstwiny. Odłamki żelaza i kamieni, jak grad, posypały się naokoło, dusząca fala gazu rozpełzła się po ziemi.

— Wstawaj, mamy szczęście! Mogło nas zmieść, że ani szcząteczkaby nie zostało! szepnął oszołomiony jeszcze chłopiec i podniósł się zwolna. — Zaczyna się widać na dobre.

Istotnie, to był początek „na dobre“. Przez dwie godziny ognisty deszcz granatów i szrapneli sypał się bezustanku na szkołę kadecką i cały odcinek stryjski. Przyczajeni do ziemi w każdym załamku, w każdej

bruździe, w każdym rowku między dwoma grobami leżeli żołnierze, obsypywani kamieniami i błotem, w chmurze prochu i gazu, wyczekując z udręką, kiedy skończy się ta nieznośna męczarnia i atak wręcz pozwoli rozprostować drętwiejące kości.

Hela i Władek zajmowali jedną z najbardziej wysuniętych placówek. Chłopiec z podziwem patrzył na swą towarzyszkę. Przez cały czas tych dwu piekielnych godzin nie zlekła się ani razu, nie zmieniła nawet pozycji. Spokojna i chłodna, opierając się zlekka o słup wyłamanego parkanu, spoglądała obojętnie na grudki ziemi, skaczące naokoło niej wściekłym tańcem po każdym bliskim wybuchu granatu, a gdy jedna z nich trafiła ją w usta i skaleczyła lekko, Hela zrobiła tylko ruch ręką, jakby odganiała muchę.

— Dziewczyna, bo dziewczyna, ale zuch! — myślał Władek, wciśnięty w dołek pod parkanem. — Żeby chociaż brwi zmarszczyła! Ona chyba wcale nie ma nerwów.

Naraz Hela pochyliła się naprzód, wyteżyła oczy i szarpnęła za rękaw podnoszącego się z ziemi chłopca.

— Patrz, tam w krzakach, na dole parku żołnierze, cała linja... — szepnęła.

— To Ukraińcy! — odpowiedział chłopak. — Pal!

I złożył się do strzału. W tej samej chwili gruchnęła pierwsza salwa, wszystkie placówki zagrały ogniem. Nieprzyjaciel w sile kilkuset ludzi rozciągnął długą linję tyraljerską wzdłuż całego parku.

Hela widziała doskonale biegnących naprzód napastników, rozróżniała już poszczególne postacie. Serce przestało jej bić w dziwnym lęku. Ma strzelać do ludzi... do ludzi... Z palcem na cynglu stała nieruchoma, wahająca.

— Prosto w pierś! przemknęła jej się w mózgu

myśl, a potem naraz straszliwe przypomnienie Adasia, stojącego pod ścianą domu... Fala palącej, wściekłej nienawiści zalała jej serce. Wzięła na cel, przycisnęła kurek, huknął strzał... Jeden z biegnących na przodzie rozłożył ręce i padł nawznak. Przenikliwie zimno owiało twarz Heli, usta zakrzepły jej w bryłkę lodu...

— To tylko pierwszy raz trudno, potem to się już samo robi! — usłyszała przy sobie głos Władka.

Podniosła znowu karabin do ramienia... Istotnie, to się zaczęło robić samo. Strzelała, nabijała karabin, strzelała znowu.

— Cofać się, do linji, do linji! — nawoływały świstki.

— Do linji! — krzyczał jej w ucho Władek, ciągnąc ją za sobą. Padając na ziemię, strzelając, padając znowu wyciągały się placówki w regularną tyraljerkę. Kulki gwizdały naokoło przenikliwym gwizdem, który, jak bicz, smagał nerwy. Sypały się gałązki, postręcane gwałtownym pędem kul. Podporucznik Krzycki ogarniał swoją kompanję, swistał, krzyczał, wskakiwał na grobowce, żeby ogarnąć okiem sytuację i przypadał w gradzie kul do ziemi. Bitwa rozszalała się w całej pełni...

Naraz u góry cmentarza coś psuć się zaczęło. Żołnierze pędem rzucili się do ucieczki. Zrobił się zamęt, grożący niespodziewaną porażką. To od strony rogatki stryjskiej przypuściła szturm świeża kompanja ukraińska, zbrojna w karabiny maszynowe i granaty ręczne. Koło szkoły kadeckiej wrzała zaciekle, rozpaczliwa walka, której wrzawa zmieniała się chwilami w ryk rozszalałego orkanu.

— Nie uciekać, nie uciekać! cofać się powoli, w porządku! — krzyczał co siły podporucznik, widząc, że linja łamie się i rozrywa.

— Nie rzucać broni, strzelać! — darł się ochryplym głosem, przypadając do ziemi, bo fala kul z karabinu maszynowego zaczęła rozpryskiwać się o najbliższe pomniki.

Obok niego wpół leżał, wpół klęczał młodziutki, smukły chłopiec. Z czapką głęboko wciśniętą na uszy, niewzruszenie spokojny, strzelał raz po raz z taką obojętnością, jakby to była zabawka.

— Coś za jeden? — zapytał go podporucznik.

— To ten nowy, za Adasia Kalinowskiego — odpowiedział pospiesznie leżący obok Władek.

— Ach, ten za Adasia! — podporucznik spojrzał uważniej. — Łepski chłopak! — mruknął do siebie. — Co za spokój olimpijski!

Nie mógł przez chwilę oderwać oczu od ślicznej, bladej twarzyczki, w której tylko oczy gorzały, jak dwie płonące pochodnie.

— Zuch chłopak — mruknął raz jeszcze i, korzystając z tego, że linja strzałów przesunęła się dalej, wyskoczył znów z ukrycia.

Położenie stawało się niepokojące. Już znaczna część cmentarza stryjskiego wpadła w ręce Ukraińców, gdy nagle nowe oddziały polskie uderzyły z impetem w ich triumfujące szeregi. Energiczny kontratak, przeprowadzony znakomicie przez męznego porucznika Bieńkowskiego, nie tylko zatrzymał prącego naprzód wroga, ale szerokiem skrzydłem zaczął ogarniać i sąsiednie odcinki.

Zagrały gwizdki, zabrzmiała znowu komenda: Naprzód! i tak, jak poprzednio wstecz, zaczęło się teraz mozolne posuwanie się od pomnika do pomnika, od krzaka do krzaka, poza parkan, przez zarośla i parowy stryjskiego parku. Upojeni powodzeniem żołnierze coraz śmielej, coraz radośniej, rwali się naprzód.

W jednej z przodujących gromadek znajdowała się Hela z nieodstępnym Władkiem, który, jakby oczarowany jej zuchwałą odwagą, nie odrywał od niej zdumionego wzroku.

— Ale zuch, ale zuch! Jakże Adaś byłby z niej dumny! — myślał sobie.

W pościgu za pierzchającym w nieładzie nieprzyjacielem rozsypały się oddziały polskie w grupki małych patroli, które oczyściły z Ukraińców wszystkie sąsiadujące z parkiem ulice i zajęły roгатkę stryjską. Na placu powystawowym wzięto kilkudziesięciu jeńców. Z radosnym, chętnym gwarem prowadzili młodziutcy żołnierze swoich „niewolników“ i znosili wielkie ilości porzuconych przez wroga karabinów, amunicyj i granatów ręcznych.

— Niechno Hela popatrzy, tam się coś rusza w krzakach! — szepnął zdyszany Władek i pociągnął Helę nad brzeg zarosłego wikliną parowu.

Złożyli się oboje do strzału, gdy nagle głos jakiś zawołał po polsku:

— Nie strzelajcie, poddajemy się!

Z krzaków wyskoczył młody żołnierz bez broni, którą widocznie wcześniej już porzucił, a za nim dwaj inni, trzęsący się ze strachu.

— Ręce w górę! — zakomenderował Władek. — Mierz dobrze prosto w łby, ja ich obszukam — rzekł do Heli.

Dziewczynka podeszła parę kroków, spojrzała na tego, który pierwszy się poddał i rzuciła się wstecz, jakby nastąpiła na żmiję. Przez mgnienie oka twarz jej wyrażała najokropniejsze pomieszanie, zdziwienie, żal, rozpacz... Potem nagle uspokoiła się, przygryzła wargi aż do krwi, podniosła karabin do ramienia i stanęła nieruchoma, blada, jak marmurowy posąg.

Władek nie zauważył tego, bo odłożywszy swój karabin przeszukiwał już kieszenie jeńców, czy nie mają przy sobie ukrytej broni. Gdy jednak nic nie znalazł, wziął napowrót karabin do ręki i kazał im iść naprzód.

— Czy nie wiecie, gdzie mamy odprowadzać niewolników? — zawołał wesoło do przebiegającego starszego żołnierza.

— Na rogatkę stryjską! — brzmiała odpowiedź.

Jeńcy nie próbowali uciekać, widząc, że park pełen jest polskiego wojska. Poszli posłusznie naprzód. Gdy przechodzili koło Heli, jeden z nich nagle cofnął się i zadrżał. Utkwiły w nim oczy ciemne, posępne, rozgorzałe, oczy tak dobrze mu znane, że kolana zatrzęsły się pod nim. Te oczy patrzyły na niego obojętnie, jakby go nigdy nie znały i tylko śmiertelna bladość znieruchomiałej w cierpieniu twarzy zdawała się mówić: to ty!

— No, prędzej! — krzyknął niecierpliwie Władek. Jeniec ruszył naprzód, ale odwracał głowę co chwila i szeptał przez zęby z dziwnym wyrazem twarzy:

— To niemożliwe, to przecież niepodobieństwo, to jakaś straszna pomyłka...

Hela postępowała tuż za jeńcami z karabinem, skierowanym w ich plecy. Władek eskortował ich zboku. Tak doszli do rogatki. Wrzało tutaj, jak w ulu. Zewsząd ścigały grupki żołnierzy. Bitwa dobiegała do końca. Na rogatce powitał ich z uśmiechem podporucznik Krzycki.

— Ach, i wy z niewolnikami! To zuchy! Dwa mikrusy złowiły trzech tęgich hajdamaków. I to ten „nowy”, co wczoraj jeszcze nie umiał karabinu wziąć do ręki! Ślicznie, przedstawię was do raportu — mówił wesoło.

Spojrzał na jeńców i zdziwił się niezmiernie.

— Bogucki! Czy podobna? Wszak ty jesteś Bogucki z trzeciego gimnazjum! W zeszłym roku deklamowałaś na wieczorku uczniowskim urywek z „Dziadów...” Znam cię przecież dobrze! I ty, ty Polak, syn Polaka, wnuk bohatera z 63-go roku walczysz po ruskiej stronie? Czy to być może?

Jeniec pochylił głowę nisko, przygnieciony tem zdziwieniem więcej, niż otwartą pogardą. Władek na wykrzyknik podporucznika skoczył naprzód, zajrzał jeńcowi w oczy i z przerażeniem spojrzał na Hełę. Teraz dopiero zrozumiał, co się stało... Siostra wzięła do niewoli brata, przed chwilą jeszcze celowała do niego, jak do wroga... to okropne! Stała wprawdzie napozór spokojnie, ale karabin drżał jej w ręku tak, że zaledwie utrzymać go mogła. Jeniec obejrzał się, poszukał wzrokiem Heli, ogarnął ją długiem spojrzeniem i niżej jeszcze pochylił czoło. Żeby jak najprędzej zakończyć tę scenę, która musiała sprawiać Heli nieludzką torturę, Władek zbliżył się do podporucznika i poprosił:

— Obywatelu podporuczniku, czy możemy gdzie spocząć? Mój przyjaciel bardzo jest zmęczony.

— Dobrze, dzieci! Nasza kompanja zostaje na rogate, możecie wejść do izby, dużo naszych już się tam zebrało. Odpocznij, chłopcze, widziałem jak dzielnie się biłeś, będę o tobie pamiętał! — zwrócił się do Heli. Ale zobaczył w jej twarzy taki ból ponury, tyle strasznego, stęzłego cierpienia, że zamilkł pełen współczucia.

— Muszę się potem z nim rozmówić! — rzekł do siebie.

Władek ujął Hełę pod rękę i wyprowadził ją w pole, za rogatkę.

— Byle dalej od ludzi...—myślał, czując instynktownie, że taki ból nie powinien mieć świadków.

Istotnie, skoro tylko wyszli poza ogrodzenie, Hela nagle zachwiała się, opuściła ją odwaga i siła. Wyczerpana doszczętnie nadmiarem wzruszeń, rzuciła się na ściernisko i wybuchła gwałtownym płaczem. Władek usiadł obok niej na ziemi i siedział cicho, cierpliwie, nie próbując jej pocieszać.

— Kobieta musi się wyplakać, wiadomo!—filozofował w duchu, nie zdając sobie sprawy z tego, że sam raz po raz obcierać musi nos rękawem. Widok szlochającej z taką bezbrzeżną rozpaczą Heli dziwną wilgocią przepełniał mu oczy.

— Przecież to był i mój przyjaciel, a po stracie przyjaciela to i starsi płaczą... — usprawiedliwiał się sam przed sobą, widząc, że szorstki rękaw żołnierskiego płaszcza z rolą chustki do nosa niebardzo chce się pogodzić i zbyt niedyskretnie ślady wilgoci na sobie zostawia.

Armaty umilkły, strzelanina rozsypywała się w krótkie, oderwane stuknięcia. Z poza chmur wyjrzało słońce i oblało pola ciepłym uśmiechem! Blask padł na uznojone czoła żołnierzyków, ściągających zwolna na roгатkę. Nawoływania, śmiechy, śpiewy zlewały się z szumem stuletnich lip i topoli przydrożnych, które ostatki swego bogactwa: złoto swych liści przemarzłych, sypały na głowy młodziutkich bohaterów, na znak podziwu i hołdu.

Z wyswobodzonych w dzisiejszej bitwie ulic ciągnęły gromadki ludzi na świeże pobojuwisko, ogłędając ze zdumieniem ślady straszliwych walk, które, jak orkan złowrogi, przeszły przez tę część miasta. Przed szkołą kadecką utworzył się wnet tłum niemy z podziwu, przejęty do dna duszy najgłębszem wzru-

szeniem na widok tej niezwyciężonej placówki, pełnej blizn i wyłomów, z których każdy świadczył o zaciekłości ataków i o bezprzykładnem męstwie obrońców.

Władek zapatrzył się wdał, rozmigotaną złotym blaskiem słońca i duszą pełną jeszcze ech minionej bitwy zatonał w marzeniu o nowych bojach i nowych zwycięstwach.

Od szosy biegł śpiew powracających z Persenkówki oddziałów:

..Wojenko, wojenko,
Cóżżeś to za pani,
Że dla ciebie giną, że dla ciebie giną
Chłopcy malowani...

A z drugiej strony odpowiadał im chór tych ze szkoły kadeckiej.

...Wojenko, wojenko,
Cóż za siła w tobie —
Kto ciebie pokocha, kto ciebie pokocha
Ten już leży w grobie...

Śpiew niósł się szeroką falą ku ciemniejącemu w dole miastu. Hela szlochała coraz ciszej... coraz ciszej...





V.

Zawieszenie broni! Koło godziny czwartej po południu radosna wieść przeleciała po wszystkich odcinkach frontu, przyjęta z wielką uciechą. Czterdzieści osiem godzin! Będzie można nareszcie wyspać się, umyć, najeść, przeczytać gazety i odwiedzić rodzinę — dawno już nie zdarzył się taki odpoczynek. Do komendantów różnych oddziałów tłumnie tłoczyli się chłopcy z prośbą o urlopy.

— Ja tylko skoczę do miasta, żeby matkę zobaczyć...

— A ja na maleńką chwileczkę do mojej narzeczonej!

— Ja muszę żonę i dzieci odwiedzić!

— A moi staruszkowie pewnie tam giną z niepokoju!

Każdy miał powód ważny, wart uwzględnienia, a przecież wszystkich nie można było rozpuścić do domów. Komendanci rozdawali urlopy i układali nowe plany służby na świeżo zdobytym terenie.

Nie kwapili się tylko do domów najmłodsi, ci trzynasto i czternastoletni. Oni za dużoby ryzykowali, bo, po pierwsze dostaliby w domu porządną burę za samowolną ucieczkę do szeregów, a po wtóre mogliby, wpadłszy w troskliwe ręce rodzicielskiej opieki,

już się z niej więcej nie wyrwać. A powrót do dzieciennego pokoju już się żadnemu z tych obytych z wojną zuchów nie uśmiechał. Puszyli się więc dumnie, spoglądając z góry na tych, co odchodzili do domów; czuli się panami placu na przeciąg kilkunastu godzin i bardzo im ta rola przypadła do smaku.

Podporucznik Krzycki ze swoimi ludźmi objął straż na rogatce. Kiedy zamęt uspokoił się wreszcie, wszedł do izby, pełnej śpiących żołnierzy i rozglądał się wokoło. Leżeli pokotem na podłodze — każdy co mógł, to wsunął pod głowę — i chrapali, jak w najmniejszej pościeli. W kącie, niedaleko drzwi, układał się właśnie do snu Władek.

— Gdzie ten „nowy“? — zapytał podporucznik.

Władek zasalutował i wskazał na smukłą postać, rozciągniętą obok niego w samym kącie izby, z garstką słomy pod głową. Obcy chłopiec spał snem ciężkiego zmęczenia, z wpółotwartymi oczami, ciemniejącymi martwą plamą pośród zapuchniętych od płaczu powiek. Jego delikatne, drobne usta drgały jeszcze co chwila, jakby echem łkania, a małe, zgrabne ręce zaciskały się kurczowo na piersiach. Czapkę miał wtłoczoną głęboko, aż na uszy, których zaledwie koniuszki wystawały z pod opaski.

Podporucznik patrzył długo, przejęty mimowolnym wzruszeniem. Pamiętał wyraz twarzy tego dziwnego chłopca podczas każdego z trzech krótkich z nim spotkań. Współczuł wielkiej boleści, malującej się w każdym rysie jego twarzy i przyglądając mu się uważnie, myślał:

— Tak, on był obecny przy śmierci Adasia, te rysy napewno nie kłamią!

Nazajutrz wczesnym rankiem spotkał się z chłopcami przy kotle, z którego rozlewano dymiącą czar-

na kawę do menażek. „Nowy” stał nieśmiało na boku i czekał, aż się Władek z dwoma menażkami przez tłum przecisnie. Podporucznik zauważył, że chłopiec w sinem świetle pochmurnego poranka wyglądał bardzo mizernie, drżał z zimna całym ciałem, a cała jego postawa świadczyła o bezmiernem znużeniu. Chciał podejść do niego, gdy odwołano go do kilku starszych oficerów, którzy właśnie zbliżali się do rogatki.

— Dzień dobry — rzekł najstarszy, wyciągając rękę do uścisku. — Słuchajno, musisz nam dać zaraz sprawnego, inteligentnego chłopca, najlepiej któregoś z małych, żeby natychmiast poszedł do miasta i przekradł się na ruską stronę. Pragną tam trochę dokładnych wiadomości o stanie naszych kresowych placówek; sprawa dość ważna, znajdziesz tu może jakiego małego zucha, któryby się tego podjął. Ale musi być sprytny i ostrożny, bo tam szpiegów moc i wyłapują naszych chłopców bez pardonu.

Podporucznik potarł czoło w zakłopotaniu.

— Wszyscy tacy przemęczeni, że sam nie wiem, kogoby wybrać — rzekł. — Co za szkoda, że Kalinowskiego już niema... Chodźmy tam do nich, któryś się pewnie sam zgłosi, ochotnika wysłać najlepiej, bo to ciężka wyprawa, nużby chłopca przychwycili, to kulka w łeb niechybna. A już mi jednego rozstrzelali i to najlepszego z najlepszych! — westchnął smutno i podszedł ku grupie żołnierzy.

— Hej, chłopcy! — zawołał głośno. — Potrzeba mi tu takiego zucha, któryby chciał iść do komendy naszej na ruską stronę. Może się który sam zgłosi?

Szmer przeleciał po gromadzie, żołnierze spojrzeli po sobie. Każdy miał ochotę i każdy się wahał. Naraz z grupy chłopców wystąpił naprzód „nowy”,

oblany gorącym rumieńcem i nieśmiało stanął przed podporucznikiem.

— Ja pójdę! — rzekł cicho, prawie błagalnie.

— Wyprawa jest niebezpieczna — rzekł podporucznik — gdy cię złapią, nie wyjdiesz żywy. Wiesz o tem?

Twarz chłopca pojaśniała nagłym blaskiem.

— Ja od wczoraj dopiero tu jestem, tamci się już dość zasłużyli.. chciałbym i ja coś... dla sprawy... — umilkł onieśmielony, nie spuszczając z podporucznika błagalnych, ciemnych oczu.

Podporucznik wahał się chwilę. Nie znał go jeszcze, nie wiedział, co ma o nim sądzić. Wprawdzie najlepszem świadectwem była dla niego przyjaźń Adasia, za którą ręczył Władek, a także zachowanie się chłopca podczas przebiegu bitwy, wykazujące wrodzony spokój i trzeźwą odwagę, ale należało może być ostrożnym... Z wahania tego wybawił go kapitan, który zapytał chłopca:

— Masz dobrą pamięć?

— O tak, uczę się łatwo i prędko! — odpowiedział „nowy”.

— To, co ci powiem, powtórzysz dokładnie ludziom, do których cię wysyłamy i od nich odpowiedź przyniesiesz. Odpowiedź jest konieczna, zależy mi na niej bardzo, więc wrócić musisz.

Z oczu chłopca wystrzelił jasny promień radości. Odrzucił głowę wtył, spojrział z wdzięcznością na kapitana.

— Pójdę i odpowiedź przyniosę! — powiedział jakby z dumą.

— Ale musiałbyś się przebrać, bo tak w płaszczu żołnierskim iść nie możesz. Masz cywilne ubranie? mundurek uczniowski, co? — zapytał podporucznik.

— Ja się przebiore, obywatelu podporuczniku! Mam swoje ubranie... cywilne na cmentarzu stryjskim. Może Władek Zaleski mógłby mi pomóc je odnaleźć?

Oficerowie przysłuchiwali się rozmowie i zgodzili się na wybór posłańca. Chłopiec wydawał się bardzo inteligentny i bystry, a przytem delikatny i nieśmiały. Był też najwyraźniej uszczęśliwiony wyróżnieniem, które go spotkało.

— Za dziewczynę możnaby go przebrać — zaśmiał się jeden z nich — takby było najbezpieczniej!

Krwawy rumieniec oblał znowu twarz i szyję chłopca, spuścił nisko głowę i coś, niby leciuchny uśmieszek, zarysowało się na bladych wargach.

— O, jaki wstydlivy! — żartował inny. — Choćbyś się nawet przebrał za kobietę, to nie byłoby w tem ujmy. Mamy ich tu dosyć w naszych szeregach i dzielnie się biją!

— Nie traćmy czasu! — rzekł najstarszy. — Chodź tu i słuchaj uważnie.

Tu wytłumaczył mu o co chodzi. Ma iść na róg ulicy Kochanowskiego i Pańskiej. Tam będzie czekał na niego w narożnej mleczarni poważny pan z siwiejącą brodą. Należy przejść koło niego i powiedzieć hasło dnia, nieznajomy będzie znał odzew.

— Wtedy zrobisz to, co on ci poleci — mówił kapitan — albo jemu zdasz poselstwo, albo też gdzieindziej cię zaprowadzi. Spamiętaj dobrze odpowiedź i przyjdź z nią tu na rogatkę. Myślę, że na drugą możesz być zpowrotem. Tak, to wszystko, a teraz słuchaj.

Zaczęła się nauka. Chłopiec wlot przyswajał sobie zdanie za zdaniem. Po kwadransie recytował cały ustęp bez omyłki, raz po raz.

— No, dobrze, idź teraz! — skinął ręką oficer.

Chłopiec odbiegł szybko, żeby zawołać Władka. Oficerowie rozmawiali jeszcze chwilę, potem weszli do budynku na rogatce, podporucznik zaś poszedł szosą w kierunku cmentarza. Przed nim biegli w podskokach Władek z „nowym“ i właśnie znikli za parkanem.

— Osobliwy chłopiec — myślał podporucznik — ucieszył się widocznie, kiedy powiedziałem mu, że to niebezpieczne. Muszę zobaczyć, jak się przebierze — ja przecież odpowiadam za niego.

I przyspieszył kroku. Kiedy doszedł do cmentarza, mignęła mu się między gałęziami głowa Władka. Skierował się w tamtą stronę.

— Hej tam, chłopcy, gdzie jesteście? — krzyknął.

— Tu jesteśmy, według rozkazu, obywatelu podporuczniku — odpowiedział Władek, podnosząc się z nad płyty, którą właśnie tylko co odsunął. Zawiniątko leżało już nawierzchu. „Nowy“ stał przed nim w płaszczu jeszcze, w czapie, mocno zmieszany. Podporucznik spojrział na niego i zauważył, że trzyma w ręku buty. Rzucił okiem na nogi chłopca i zdziwił się. Zobaczył dwie małe, zgrabne nóżki, obute w eleganckie, sznurowane buciczki damskie na wysokich obcasach. Przeniósł wzrok na rumieniącą się gwałtownie twarz chłopca i nagłym ruchem zdjął mu czapkę z głowy. Długi, złoty warkocz rozwinął się z pod niej i opadł na ramię. Hela spuściła głowę.

— Ach tak, dziewczyna! Mogłem się być tego domyślić — rzekł głośno podporucznik. — Jak się nazywasz?

— Hela... — brzmiała cicha odpowiedź.

— A dalej?

Dziewczynka błędnie i niżej jeszcze spuszcza głowę.

— Co to znaczy? Czemu nie chcesz powiedzieć?

— Powiedz! — trąca ją w bok Władek.

Hela podnosi oczy, jest bardzo blada, usta jej drżą lekko.

— Bogucka... — mówi głucho.

— Bogucka? — powtarza podporucznik, marszczy brwi, coś sobie przypomina. — Ach tak, Bogucka... siostra tego „perekińczyka?“ — kombinuje nagle.

Hela przytwierdza skinieniem. Oczy podporucznika robią się zimne, jak lód.

— To to tak? — mówi groźnie. — Wczoraj niby brata do niewoli wzięłaś, a dzisiaj ja sam wysyłam cię... Jakiż ze mnie głupiec! Nie pójdziesz nigdzie! krzyczy brutalnie, z gniewem. — Zaleski! Odprowadzisz ją na roгатkę, będziesz odpowiadał mi zato, gdyby znikła -- rozumiesz!

Hela zachwiała się, jakby ją ktoś pięścią w piersi uderzył. Śmiertelnie blada, z ustami otwartymi jak do krzyku, patrzyła chwilę na podporucznika. Nareszcie — zrozumiała. Podeszła zataczając się dwa kroki i oparłszy obie dłonie na ramieniu starego, kamiennego krzyża, spuściła na nie czoło. Nic, ani łzy, ani jęku jednego... tylko ta postawa pełna takiego bólu, że podporucznika znów chwyciło za gardło. Spojrzał na Władka. Chłopak miał oczy pełne łez i dla ukrycia ich majstrował coś koło płyty.

— Sakrrrrramencka cholera... — klął zcicha.

Podporucznik położył rękę na ramieniu Heli, odciągnął ją od krzyża, usiadł na płycie i wskazawszy jej miejsce obok siebie, rzekł spokojnie:

— Powiedz mi wszystko!

Długo trwało, zanim Hela przerywanym od wzruszenia głosem opowiedziała swoją historję. Ale gdy raz zaczęła, boleść wytrysła z niej, jak struga wrzącego źródła. Podporucznik sam często odwracał głowę i omal, że nie klął, jak Władek, dla ukrycia wzruszenia.

Rękaw Władkowego płaszcza pogodzić się musiał na dobre z rolą, którą mu narzuciono. Nasiąkł łzami, jakby nie był wcale grubym, żołnierskiem, sporniewieranem w bojach sukmem, tylko dziecinną chustką od nosa.

— A teraz — kończyła Hela — niczego nie pragnę, tylko... bić się w obronie Lwowa aż do ostatniej kropli krwi... Jeszcze przedwczoraj mówił mi Adaś, że honor Polski wymaga od nas walki na śmierć i życie. Obrona tego honoru przeszła dziś w moje ręce i raczej umrę, niż zejść z drogi, którą iść powinnam w swoim i jego imieniu — mówiła gorączkowo, a oczy świeciły jej dziwnym żarem. — Zresztą ja wiem, że Adaś przyjdzie po mnie. Dlatego tak ucieszyłam się, kiedy pan podporucznik powiedział, że to... niebezpieczna wyprawa... dokończyła szeptem.

Podporucznik milcząc ścisnął ją za rękę. Nie miał wcale ochoty pokazywać jej teraz swoich oczu. Zawsze przecież — szarża... Wstał, przeszedł się parę razy po ścieżce i wrócił już spokojny.

— Przebieraj się prędko — rzekł — poczekam tu na ciebie. Chcę zobaczyć jak będziesz odchodziła.

Blask szczęścia opromienił twarz Heli. Teraz był to już dowód zaufania. O, Hela potrafi przekonać, że zawieść się na niej niepodobna! Skoczyła żywo ze swem zawiniątkiem między stare grobowce i za chwilę wróciła w postaci ślicznego, młodziutkiego dziewczątka. Granatowy płaszczyk zręcznie opinał jej wysmukłą postać, a miękki beret podnosił złoty blask jej jasnych, falujących włosów.

— Dobrze, doskonale! — wykrzyknął podporucznik. — Nikt się nie domyśli, że pod tą postacią kryje się kurjer wojskowy. No, czas w drogę! Proszę nie zapomnieć poselstwa i wrócić szczęśliwie z odpowiedzią.

Przyłożył palce do czapki, Hela dygnęła wdzięcznie i lekkim krokiem zbiegła wdół, w ulicę Stryjską. Podporucznik patrzył długo, aż znikła na zakręcie. Potem zawrócił i poszedł wolnym krokiem w stronę rogatki. Za nim maszerował Władek. Gwizdał przez zęby, trzymając ręce w kieszeniach i od czasu do czasu spluwał dla sportu na dwumetrową odległość. Żeby każdy wiedział, że wiarus idzie...



VI.

Zegary w mieście zaczęły bić godzinę dwunastą. Najpierw donośny, wysoki dźwięk z kościoła Bernardynów, potem powolny i basowy z ratusza, a potem cichy i oddalony z wieży św. Magdaleny. Podporucznik z oficerami jedli właśnie obiad w sklepiku na rogatce, kiedy ktoś zapukał do drzwi i do izby weszła Hela, przedzierzgnięta znów w żołnierza.

Oczy jej świeciły, twarz była zaróżowiona od mrozu.

— A, jesteś! — krzyknął podporucznik. — No, cóż tam? mów!

Hela wyrecytowała jednym tchem odpowiedź, którą jej panowie z Rady Narodowej podali. Odpowiedź była bardzo pomyślna, zawierała dokładne, pocieszające wiadomości i została przyjęta szmerem zadowolenia. Ale panowie tam pragną jeszcze wiedzieć różne szczegóły co do rozłożenia wojsk, aprowizacji, stanu zdrowia żołnierzy i tak dalej.

— Kazali mi przyjść jutro o tej samej porze! — skończyła raport.

— Ślicznie, dobrześ się spał i prędko! Którędy szedłeś? czy cię nie zaczepiali? Jak się przedostałeś na tamtą stronę? Co tam teraz słychać? — posypały się pytania. Hela odpowiadała jasno i przytomnie.

Szła Stryjską nadół aż do barykady. Tam poprosiła Ukraińców, trzymających straż, żeby ją przepuścili na ulicę Jabłonowskich.

— Byłem dobrze przebrany — uśmiechnęła się — więc nie bardzo się opierali. A potem wszystko poszło, jak z płatka.

Nie dodała tylko, że kiedy skręciła na Pańską, spotkała swego wroga Iwańczuka, który aż stanął ze zdziwienia na jej widok, zapewne wiedział już o jej ucieczce z domu. Nie mogła się go pozbyć, szedł za nią krok w krok, aż wreszcie, nie wiedząc już jak sobie poradzić, weszła do katedry, w której właśnie odbywało się nabożeństwo i tam wkońcu zdołała się w tłumie zgubić. Gdyby nie to, nie byłaby pewnie mogła poselstwa załatwić, bojąc się, żeby szpiega na ślad nie naprowadzić.

— Dobrześ się spisał! — powtórzył najstarszy oficer. — Hej! dajcie mu tam obiad! — krzyknął na żołnierzy. — Przed wieczorem odpowiedź wygotujemy, jutro rano pójdziesz znowu. Palisz może? — podsunął jej uprzejmie otwartą papierosnicę.

Hela zaczerwieniła się po uszy.

— Dziękuję, nie palę! — szepnęła.

Podporucznik uśmiechnął się zlekka. Hela z wdzięcznością spojrzała na niego, uszanował widocznie jej tajemnicę, to dobrze. W tej chwili zawołano ją na obiad. Skłoniwszy się oficerom, wyszła przed dom, żeby przywitać się z Władkiem i ofiarować mu połowę swojej uczyty. Była dziś rzeświejsza i weselsza, rozmawiała z towarzyszami i opowiadała im swoje dzisiejsze przygody. Otoczyła ją gromadka ciekawych, wszyscy dopytywali się, jak tam jest po ruskiej stronie.

— A w domu nie byłeś? — zagadnął ją jeden z chłopców.

— Nie, nie chciałem. Mogliby się potem Ukraińcy do nich przyczepić.

— No tak, pewnie, ale być w mieście i nie zajrzeć do swoich, to ciężko. Jabym nie wytrzymał! — rzekł młody żołnierz.

Hela westchnęła pocichu. I ona musiała walczyć z pokusą, widziała wciąż przed sobą słodkie oczka Marysieńki, pełne wielkiej radości i głosik jej milutki: Hela, Hela, dzie ty byłaś? Malisia płakała zia tobą.

Ciocia pewnie zła jest na nią okrutnie, ale wujcio raczej się martwi, on taki dobry, Hela wie, jakie zacne, gorące serce kryje się pod chłodną jego powierzchnością... Dla odwrócenia myśli zaproponowała Hela chłopcom, żeby jej pokazali, jak się rozbiera i czyści karabin. Zebrała się nauczycieli gromadka.

— Widzisz, najpierw trzeba zobaczyć, czy niema naboju w magazynie. Dlatego trzeba zawsze karabin pochylić ku ziemi, manipulując koło kurka, a nie podnosić go tak, żeby komuś do brzucha wymierzyć, ot tak! — mówił jeden, pokazując Heli jak „nie trzeba” trzymać broni. W tej samej chwili huknął strzał i kula przeleciała między dwoma przyjaciółmi mówiącego, tak, że o mało któregoś z nich nie zraniła i utkwiała gdzieś w zaśnieżonem polu.

— Co robisz, ośle jeden! — zawołali obydwaj. — To dopiero nauczyciel! Mogłeś nas postrzelić śmiertelnie!

— Ja chciałem tylko „nowemu” pokazać, jak się robić nie powinno! — ciągnął swój wykład niezbity z tropu żołnierzyk. Zapamiętaj to sobie dobrze! — zwrócił się do Heli — szczególnie, jeśli się znajdujesz w towarzystwie ludzi nerwowych... — tu rzucił swoim przyjaciołom spojrzenie wzgardliwie-zaczepne.

Obrażeni przyskoczyli do niego i zaczęli go żar-

tobliwie poszturkiwać, nauka zamieniła się w roześmianą wrzawę młodzieńczych głosów. Hela, wsparta o płot, przyglądała się zapaśnikom ze smętnym półuśmiechem. Była im wdzięczna za tę swawolną, bez troską wesołość. Tak bardzo chciała bodaj na chwilę zapomnieć.

Nazajutrz rano szła znowu do miasta. Tym razem, żeby uniknąć spotkania z Iwańczukiem, wybrała się dalszą drogą przez ulicę Pełczyńską i Kopernika. Jednakże okazało się, że tamtędy o wiele trudniej jest dostać się do miasta. Straże absolutnie puścić jej nie chciały. Po długim kołowaniu udało jej się wreszcie napotkać jakąś starą kobietę, która przeprowadziła ją przez szereg przechodnich kamienic w ten sposób, że Hela wreszcie znalazła się po ruskiej stronie. Stamtąd bezpiecznie już wędrowała przez miasto.

Ruch na ulicach był dosyć duży. Zawieszenie broni dawało gwarancję bezpieczeństwa przynajmniej od granatów i szrapneli, bo na dzikie gwałty hajdamaków ludność z góry już musiała być przygotowana. Dochodząc do ulicy Fredry rozejrzała się Hela bacznie, żeby upewnić się, czy Iwańczuka gdzie w pobliżu niema. Dziś obawiała się go więcej, niż wczoraj. Zdołał już pewnie dowiedzieć się od służby, że do mieszkania od paru dni nie wracała wcale, napewno więc domyśla się, że przeszła na polską stronę i tem usilniej zechce ją szpiegować.

Ale nie dojrzała go nigdzie. Śmielej więc pomyknęła na ulicę Kochanowskiego, gdzie miała podyktować odpowiedź. Weszła spokojnie do mleczarni, zastała tam swego wczorajszego znajomego, który miłym powitał ją uśmiechem i usiadłszy przy stoliku, stłumionym głosem dawała mu żądane objaśnienia, które on pośpiesznie w notesie zapisywał. Gdy skoń-

czyła, spojrzała w okno i zdrętwiała. Przez szybę zaglądał do środka Iwańczuk. Nie dostrzegła, czy widział ją, bo cofnął się szybko. Pobladła i drżąca chwyciła swego towarzysza za rękę.

— Szpieg, szpieg za oknem!—szepnęła bez tchu.— Widział nas pewnie...

— Spokojnie, drogie dziecko! — odpowiedział jej nieznajomy.—Wyjdź drzwiami na ulicę, jakbyś nic nie zauważyła i wracaj do swoich. Tobie nic nie robią, bo nic przy tobie nie znajdują, a ja dam sobie radę.

Mówiąc to przycisnął dzwonek, stojący na stole. Zaledwie rozległo się jego przenikliwe terczenie, chłopiec, niosący właśnie tackę z naczyniem, upuścił ją na ziemię, gospodyni wyskoczyła z za bufetu i zaczęła łajać go głośno, zrobił się mały zamęt, w czasie którego nieznajomy ulotnił się tak zręcznie, że Hela nie mogła pojąć, co się z nim stało. Według otrzymanego polecenia skierowała się ku drzwiom i wyszła na ulicę. Serce biło jej głośno, niespokojnym, trwożnym stukotem. Nieznacznie rozejrzała się wkoło. Nie, Iwańczuka nigdzie nie było wpobliżu. Śmielej już skierowała się w ulicę Batorego, usiłując nie iść zbyt pośpiesznie, żeby nie zwrócić na siebie uwagi, choć serce, rozkołysane lękiem, zdawało się wołać każdym uderzeniem: uciekaj! uciekaj! uciekaj!

Śmiało i spokojnie napozór weszła w ulicę Fredry. Ruch tu był niewielki, zaledwie parę osób prze-mykało się po pod domami. Zato z obydwu stron ulicy stały silne posterunki ukraińskie.

Zaledwie Hela weszła w ulicę, usłyszała za sobą ostrą komendę ruską. Przechodnie zaczęli pędem rozbiegać się na wszystkie strony. Hela obejrzała się, była sama na środku ulicy. Jakieś dziwne uczucie paraliżowało jej ruchy. Idąc wolno, bardzo wolno za-

częła w zmieszaniu zaplatać koniec warkocza, który rozplótł jej się w drodze.

Nagle huknęły strzały... Ostry ból przeniknął jej piersi. Hela z wolna osunęła się na asfalt ulicy.

Po małej chwili ocuciło ją szarpnięcie. Ktoś klęczał nad nią i brutalnie przeszukiwał jej odzież. Nad głową jej pochylił się młody Ukrainiec z karabinem w rękę, trząsł się, jak w febrze, i powtarzał raz po raz:

— Hospody pamyłuj, Hospody pamyłuj, Hospody pamyłuj!

— Szo ty, durny, skazył sia! — krzyknął groźnie podoficer, kończąc swoją rewizję.

— Na szczo wy meni kazały strilaty? Na szczo wy meni kazały zabyty takuju detynu mołodenkoju? Hospody pamyłuj! — jęczał głos obłąkany strachem.

Podoficer ciężko podniósł się z miejsca.

— Nic ona przy sobie nie miała — rzekł po rusku. — Albo donos był fałszywy, albo ataman się omylił. Nu, chodź ty, durny! nie drzyj się! Lachy wszystkie buntowniki, dzieci czy starzy, wszystkich powystrzelać nam trzeba!

Odchodził, tupiąc głośno buciskami, a za nim włókł się skurczony i drżący parobczak, jęcząc coraz boleśniej:

— Na szczoż wy meni kazały strilaty? Na szczoż wy meni... ojoj!...

Hela przechyliła twarz na bok i dostrzegła obok swej głowy dużą plamę krwi, która wypływała z pod ramienia i rozlewała się szeroko po gładkim asfalcie.

— Tak dużo krwi! — zdziwiła się mimowoli.

Podniosła ciężkie powieki. Nad nią, wysoko w górze, jaśniały blaskiem błękitne, promienne oczy Adasia.

— Widzisz — mówiła do niego — wypełniam służbę, a teraz już idę... już idę!...

Gwar głosów u wylotu ulicy i odgłos szybkich kroków kilku nadbiegających ludzi przywrócił jej na chwilę przytomność.

— O, Boże, to Hela Bogucka! Na miłość Boską, prędko tu z noszami! — usłyszała nagle znajomy głos nad sobą. Poznała w przybyłym serdecznego przyjaciela swego wuja, lekarza, mieszkającego przy ulicy Fredry, który codziennym gościem był w domu wujostwa i znał Helę od dziecka.

— Postawcie nosze, tak — rozkazywał. — Nie ruszajcie, ja sam ją podniosę. Helu, biedne dziecko, czy bardzo cierpisz? — zapytał, klękając nad nią i rozchylając płaszczyk, żeby obejrzyć ranę.

Dziewczynka spojrzała na niego jasnym, radosnym spojrzeniem. Nie mogła mówić, potrząsnęła przecząco głową. Jednak gdy silne ramiona doktora uniosły ją ostrożnie z ziemi, głuchy jęk wybiegł jej na usta, a z nim razem wąskie pasemko krwi. Doktor trząsł się cały ze zdenerwowania.

— Weźcie nosze ostrożnie, powoli, zaniemiemy ją do domu, to tuż blisko. Odwagi! — próbował pocieszać Helę — to bagatela, trochę krwi upłynęło, ale tyś przecie zuch dziewczyna!... Głos mu się łamał ze wzruszenia.

Nosze zakołysały się w powietrzu. Hela zobaczyła naokoło siebie wiele obcych twarzy, pochylających się nad nią z oczyma pełnemi grozy. Jakaś kobieta płakała głośno. Kamienice chwiały się naokoło niej dziwnym, falującym ruchem... Duże, błękitne oczy Adasia to zamykały się, to otwierały raz po raz, aż pochłonęła je ciemność zupełna, Hela straciła przytomność.

Kiedy otworzyła znowu oczy, nie mogła przez chwilę zrozumieć, gdzie się znajduje. Zmrok zwisał

nad nią, czepiał się ścian naokoło, przygniatał piersi ciężarem i dusił, dusił aż do utraty tchu. Podniosła dłoń do gardła. Ręce czyjeś miękko poprawiły jej głowę.

— Kto to? gdzie jestem? — chciała zapytać, ale ból nagły w piersi nie pozwolił jej wydobyć z siebie głosu.

— Panienczko moja najdroższa, mój aniołeczku! to ja, Hania, proszę się nie ruszać, pan doktor nie pozwolił... — usłyszała nad sobą głos niańki. Przywiązana dziewczyna okrywała pocałunkami jej blade, bezsilne rączki.

— Nasz pan jest w gabinecie z panem doktorem, kazali mnie zawołać, gdy się panienka przebudzi, proszę leżeć cichutko!

I pobiegła ku drzwiom. Hela z trudnością poruszyła głowę. Leżała w sypialni wujcia, na jego własnym łóżku. Małeńka lampka, stojąca na szafce, rzucała blady, różowy blask dokoła. Drzwi otworzyły się żywo i do pokoju weszli obydwaj panowie. Doktor pochylił się nad Helą, obejrzał starannie opatrunek na piersiach, dotknął ręką jej rozpalonego czoła i odstąpiwszy parę kroków, skrzyżował ręce w posepnym zamyśleniu. Wuj usiadł na krawędzi łóżka, patrzył długo w oczy Heli, chciał coś mówić, ale usta mu drżały. Włosy na skroniach wydały się Heli dziwnie srebrne, a głębokie bruzdy na twarzy kryły w sobie tyle troski, że źrenice jej zaćmiły się łzami, spojrzała na wuja z niemem błaganiem i poruszyła wargami. Wuj odgadł raczej, niż usłyszał krótkie, proste słowo:

— Przepraszam...

Przykląkł przy łóżku i przytulając piękną swą głowę do jej gorących dłoni, zaczął mówić stłumionym, jakby zachrypłym głosem:

— Biedactwo ty moje, za dużo ciosów zważyło się naraz na twoją głowinę, dlatego rozumiem cię dobrze i chociaż twoje zniknięcie wielką mi boleść sprawiło, nie miałem ani przez jedno мгновение oka żalu do ciebie, dziecinko! Wierz mi, ty byłaś przecież słońcem mego domu, moją towarzyszką i najmilszą przyjaciółką, byłaś moją radością i dumą... Czyż mógłbym gniewać się na ciebie za czyn szalony może, ale wywołany okrucieństwem i przemocą? Popatrz na mnie, wszak kochasz trochę swego starego wuja? Ufasz mu, prawda? I zechcesz teraz żyć dla mnie?...

Oczy Heli napełniły się radością bez granic. Więc on tak kochał ją, ten dobry, drogi wujko! Nazwał ją słońcem swego domu... A teraz to słońce musi zgasnąć, musi... Chciała powiedzieć wujowi, wytłumaczyć mu wszystko, ale nie była w stanie wydobyć głosu z piersi. Doktor chodził tam i napowrót, założywszy ręce w tyle. Hania przyniosła miednicę pełną lodu i łupała go na kawałeczki w kąciku. Zegar szedł głośno, miarowo: tik, tik, tik... Nagle w sąsiednim pokoju zatupotały małe nóżki, dziecinna piastka zaczęła stukać we drzwi i niecierpliwy, łzami nabrzmiął głosik, odezwał się żałośnie:

— Ja ciem do Heli! ja ciem do Heli! puść mnie, tatuśku, ja ciem... do... Heli — głosik rozplynał się w krzyku, bo równocześnie zabrzmiał przytłumiony głos ciotki:

— Marysiu, ty niegrzeczna dziewczynko, nie wiesz, że tam nie wolno! Chodź stąd zaraz! Hela chora...

— Nie chola, nie chola, ja ciem do Heli! — szamotała się przy drzwiach maleńka, nie dając się widocznie oderwać od klamki. Rozległ się odgłos klapsa, a potem niehamowany już krzyk rozżalonego dziecka.

Brwi Heli ściągnęły się boleśnie. Czemu Marysia bronią do niej wstępu? Chciała się odezwać, ale jęk tylko chrypliwy wydobył się jej z piersi. Wuj podniósł się żywo i doktor zbliżył się do łóżka. Hela patrzyła na nich prosząco, wskazując ręką w stronę drzwi.

— Chcesz, żeby Marysia tu przyszła? Dobrze, moje kochanie, ja ci ją tu sam przyniosę! — rzekł wuj i wybiegł z pokoju. Doktor znów obejrzał opatrunki, ujął dłoń Heli i zaczął liczyć tętno. Za chwilę wszedł wuj do pokoju, niosąc dziecko na ręku. Marysieńka z buzią zamazaną od płaczu uśmiechała się już radośnie i rwała się w ramionach ojca.

— Ciem do Heli, do Heli!

Ojciec przykląkł z nią przy łóżku i powiedział:

— Pocałuj Helę, leciuchno, ostrożnie!

Dziecko zawahało się na chwilę. Czy to jest Hela, ta nieruchoma, biała postać, z ciemnymi plamami pod oczami? Tak, to oczy niby Heli, niby jej uśmiech słodki, serdeczny, ale wszystko razem tak jakoś okropnie zmienione... Małeńka pochyliła się wolno, wolno, przyłożyła leciuchno usteczka do rozpalonego gorączką policzka Heli i nagle z nowym wybuchem płaczu zarzuciła ojcu rączki na szyję.

— Chodź, chodź, do mamusi... — zaczęła prosić, wrywając się ku drzwiom. Ojciec na znak doktora wyniósł ją czempredzej z pokoju. Jeszcze przez chwilę słyszała Hela jej płacz za drzwiami coraz cichszy, coraz cichszy...

A potem naraz ściany zaczęły chwiać się nad nią i runęły z ogromnym hukiem. To znowu bitwa... armaty dudnią, Adaś ciągnie ją za rękę przez kolczaste zarośla, a za niemi pędzi tabun dzikich, czarnych koni... Jakiż ogłuszający tętent! Już, już nadlatują, już Hela

widzi nad sobą ich miażdżące kopyta, gdy nagle brama jakaś zatraskuje się za nimi... Hela pada na ziemię i oddycha prędko, głośno... Rozpaczliwy krzyk Adasia: uciekajmy! uciekajmy! podrywa ją z ziemi... Z kąta sieni wychyla się okropna twarz Iwańczuka, z szatańskim uśmiechem na ospowatej twarzy... Uciekają znowu przez pola i rowy, przez kamieniste urwiska. Hela chciałaby powiedzieć Adasiowi, że już nie może biec dłużej, ale on jej nie usłyszy... Dopadają wreszcie do jakiegoś lasu. Boże, jakie szczęście! Tu będzie można odpocząć... Nagle każde drzewo zamienia się w żołnierza ukraińskiego. Wszyscy podnoszą karabiny i mierzą prosto w pierś Adasia. Hela chce rzucić się naprzód, chce go bronić, ale czyjeś silne ramiona trzymają ją tak mocno, że napróżno się w nich szamoce. Zamiast krzyku jęk tylko chrypliwy wybiega jej na usta.

— Lód na głowę! Haniu, trzymaj mocno panienkę za ręce — słyszy głos doktora i szept wujcia bezdźwięczny:

— Boże... Boże... Boże...

Hela przytomnieje... To przecież dom jej własny, pokój wujcia, niema ani dzikich koni, ani Iwańczuka, ani Adasia... Nie, Adaś jest! Sufit rozstępuje się zwolna i nad nią, wysoko w górze, ukazują się błękitne oczy Adasia, jak na ulicy Fredry, otwierają się i zamykają naprzemian.

— Nie, nie tak Adasiu! — prosi Hela. — Zejdź lepiej do mnie, widzisz, ja nie mogę się ruszyć, bo mnie Hania tak mocno za ręce trzyma. Przyjdź i powiedz, czemu tak długo cię nie było? Zdawało mi się wtedy... Ach!

Jak głośno, jak prędko bije serce. I tak duszno strasznie... Chodźmy, Adasiu, do parku, tam tyle kwiatów, wszystkie drzewa zakwitły tej nocy...

Ktoś płacze... Czemu płacze? Heli tak dobrze, tak radośnie, tak błogo... Idą oto z Adasiem przez ukwiecone łąki, nad niemi błękit niebios, Hela wie teraz napewno, że to niebo, a nie oczy Adasia. Czyjeś ręce lekko podnoszą jej głowę, widzi nad sobą twarz wujcia, mokrą od łez i czuje na czole długi, miękki pocałunek. Hela uśmiecha się słodko. Cisza mrocznej nocy cudną, ledwie dosłyszalną muzyką dzwoni w powietrzu. Jak pachną kwiaty... Z sufitu zaczynają płynąć miękkie, wonne płatki róż, pokrywają całe posłanie, głowę wujcia, który ukrył twarz w poduszce, i ramiona doktora i plecy pochylonej w nogach łóżka Hani...

Głuchy łomot krwi w skroniach zamienia się w jakiś chorał uroczysty, myśli mącą się i rozpraszają, jak spłoszone ptaki. Hela pogrąża się zwolna w odrętwiałość bez granic...



VII.

Zmierzch zapadł. Jednostajna, ciężka, nużąca cisza panowała w mieszkaniu doktora. Lampa naftowa, stojąca na stole w jadalnym pokoju, rzuciła krąg bladego światła na zebrane przy nim osoby. Podparłszy bródkę piąstkami zapatrzyła się Marysieńka w żółty, migocący płomyk, tak niepodobny do żarówek elektrycznych u sufitu i z zajęciem śledziła, jak chwiał się i ruszał, skoro ktoś przechodził koło stołu. Chwilami odwracała się do ojca, który siedząc obok niej zatopiony był w przeglądaniu niewielkiego zeszytu i obejmując go za szyję z wysokiego swego stołeczka, mówiła:

— Patś, tatuśku, znowu mługa!

Po drugiej stronie stołu siedziała matka, szyjąc małą koszuleczkę i od czasu do czasu rzuciła niespokojne spojrzenie na męża, tak zagłębionego w czytaniu, że nawet na szczebiot dziecka żadnej nie zwracał uwagi.

Po pokoju krzątała się Hania z zaczerwienionymi od płaczu oczami, układała naczynie w kredensie, zbierała po podłodze porozrzucane przez Marysię zabawki. Ile razy zaś wypadło jej przejść koło drzwi, prowadzących do gabinetu, przystawała z ciężkiem westchnieniem i ocierała rogiem fartuszka załzawione oczy.

Naraz rozległ się głośny, krótki dźwięk dzwonka w przedpokoju. Doktor zerwał się z krzesła, żona jego opuściła ręce z robotą na kolana, patrząc z lękiem na męża. Marysienka chwyciła leżącego na stole niedźwiedzia i zaczęła tarmosić go niemiłosiernie.

— Kto tam jest, Haniu? — zapytał doktor spostrzegłszy, że dziewczyna pomieszana i blada wraca do pokoju.

— Jakiś żołnierz ukraiński, proszę wielmożnego pana! — odpowiedziała służąca.

Doktor spojrział na żonę i widząc jej przerażenie, rzekł uspokajająco:

— Nie bój się, Maryniu, to nie może być nic ważnego. Gdyby to była rewizja, przyszloby ich więcej. Wyjdę się z nim rozmówić, doprawdy, nie masz się czego obawiać!

I poszedł do przedpokoju, niosąc w ręku zapaloną świecę, którą mu podała Hania. Skoro otworzył drzwi od sieni, spostrzegł przed sobą młodego żołnierza, który stał z pochyloną nisko głową. Doktor podniósł świecę w górę i oświetlił nią postać przybyśza. Nagle drgnął i cofnął się.

— Ach, to ty! — rzekł głuchym, przytłumionym głosem. — I ty śmiesz tu... dziś właśnie... Precz stąd! Niema tu miejsca dla ciebie! — wybuchnął mimowoli, przymykając drzwi przed żołnierzem.

Ten osunął się na kolana.

— Wuju! — szepnął — wuju! Ja wiem, jestem niegodny dotknięcia tego progu, ale... ja byłem ślepy, wuju! Nie, nie po przebaczenie nawet przychodzę, nie jestem go wart—dodał, widząc odpychający gest wuja — ja proszę, błagam tylko o wiadomość, gdzie jest Hela... Gdzie jest Hela? — powtórzył z jękiem prawie.—Ja oszaleję z tej męki! Jeśli to ona tam była...

O, zlituj się, wuju, nade mną! O tę jedną łaskę cię błagam, przysięgam ci, że nigdy już więcej o mnie nie usłyszysz!

Taka bezdenna rozpacz, taki żal głęboki drgał w jego głosie, że wuj zmienił zamiar. Otworzył drzwi zpowrotem i rzekł krótko:

— Wstań!

Julek zwolna podniósł się na nogi. Był zmęczony i wyczerpany do ostatka. Wczoraj udało mu się zbiec z więzienia, w którym osadzono jeńców i odtąd tułał się po mieście bez odpoczynku i pożywienia, nie chcąc spotkać się z Ukraińcami, a bojąc się wpaść zpowrotem w ręce polskie. Paliła go w mózgu, jak rana, ta jedna przebolesna myśl, że nawet dziewczątko wątle stanęło w obronie swego gniazda, podczas gdy on z wrogami się bratał. Chciał się dowiedzieć prawdy za wszelką cenę, czuł, że teraz musi się stać coś strasznego. Brzemie winy przygniotło mu ramiona ciężarem nie do udźwignięcia.

Na skinienie wuja postąpił za nim kilka kroków, aż do drzwi gabinetu.

— O, Boże! to panicz Julek! — usłyszał z jadalni szept przyciszony, pełen zgrozy. Z ciemnych kątów przedpokoju powiał na niego ponury, lodowaty lęk.

Wuj rękę położył na klamce, zatrzymał się z wahaniami, a potem zwrócił się do chłopca nagłym, szorstkim ruchem:

— Wejdz i patrz, ale zachowuj się cicho! Siostra twoja jest tutaj.

I otwierając drzwi do gabinetu, popchnął Julka przed sobą.

Na szerokim łóżku wuja, wysuniętem na środek pokoju, leżała Hela. Złote włosy, rozsypane po poduszce naokoło głowy, miękką, puszystą falą okry-

wały jej ramiona. Twarzyczka o zaostzonych, jakby z marmuru wykutych rysach, pokryta była sinawą bladością, od której jaskrawą czerwienią odbijały usta, spalone gorączką. Drobne paluszki rąk, bezwładnie opuszczonych na kołdrę, poruszały się nieznacznym, kurczowym ruchem, jakby schwycić usiłowały coś, co ucieka... Ten ruch palców i prędki, świszczący oddech, były jedynymi objawami tlejącego jeszcze życia, nad którem śmierć rozpościerała już zwolna ciemne swoje skrzydła. Młoda pielęgniarka, pochylona nad chorą, z niepokojem wpatrywała się w nieprzytomne, wpółotwarte oczy Heli, które z przerażającą nieruchomością patrzyły w jakiś punkt na ścianie, naprzeciw łóżka.

Julek upuścił czapkę na ziemię i powoli, na palcach podsunął się do łóżka.

— Co jej jest? Co się stało? — zapytał zdławionym szeptem.

Pielęgniarka wyprostowała się i rzuciła na Julka badawcze spojrzenie. Potem, pochyliwszy się nad dziewczynką, rozsunęła białą koszulę na jej piersiach. Oczom Julka ukazały się bandaże, splamione krwią.

Jęk przenikliwy, długi, stłumiony gwałtownym gestem wuja, wydarł się z piersi chłopca. Julek osunął się na kolana i w uniesieniu rozpacz zaczął tłuc głową o twarde kanty łóżka. Pielęgniarka z trwogą zwróciła się do chorej. Ale dziewczynka nie poruszyła się nawet; nieruchoma i blada leżała wciąż bez czucia, nie słysząc wcale rozpaczliwych łkań brata, wijącego się z bólu u stóp łóżka.

Doktor stanął na boku ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i czekał w ponurem zamyśleniu, aż minie pierwszy wybuch żalu, myśląc z pewną ulgą:

— Jeszcze nie jest zupełnie stracony, jeszcze su-

mienia nie zabili w nim doszczętnie ci niegodziwcy... Trzebaż było aż tego, żeby tę słabą duszę z drogi występku nawrócić...

Trwało długo, bardzo długo, zanim Julek wyczerpany płaczem uspokoił się trochę. Pielęgniarka na znak doktora wysunęła się pocichu z pokoju. Chłopiec klęczał jeszcze chwilę z czołem ukrytem w dłoniach, wreszcie podniósł się z kolan. Na twarzy jego malowała się beznadziejna rozpacz.

— Jak się to stało? — zapytał szeptem.

Wuj bez słowa odpowiedzi przeszedł do jadalnego pokoju i przyniósł stamtąd mały zeszytek.

— Masz, czytaj! — rzekł krótko.

Julek spojrzał na okładkę.

— Dzienniczek Heli... — przeczytał przez łzy. Odwrócił kartkę.

Był to dzienniczek, który dziewczynka prowadziła pilnie od pierwszego dnia walk o wolność Lwowa. Z każdego jej słowa widniała gorąca miłość ojczyzny i rodzinnego miasta.

— Adaś znikł z domu — pisała w parę dni po wybuchu walk — wiem dobrze, gdzie przebywa. I choć żał mi strasznie, że mnie z sobą nie zabrał, to przecież tak jestem dumna z mojego przyjaciela, tak kocham go zato, że nie zawahał się stanąć w obronie polskiego honoru i mienia, taka czuję się szczęśliwa, że nawet na lęk miejsca w sercu nie znajduję...

Gdzieindziej znów pisała:

— Ukraińcy gorsi są od zwierząt. Zastrzelili dziś na ulicy małego chłopca, niosącego obiad z taniej kuchni dla swej chorej matki. Widziała to na własne oczy nasza kucharka. Ja nigdy dotąd muchy nie zabiłam, a przecież z dniem każdym czuję w sobie coraz więcej zaciekłości. Walka z tymi zbrodniarzami

wydaje mi się już nietylko konieczną i przymusową, ale piękną i sprawiedliwą rzeczą. Jeśli tak dalej pójdzie, to napewno ucieknę do Adasia. Będziemy razem walczyli za Polskę.

Julek z wolna przewracał kartki. Na jednej z nich znalazł swoje imię.

— Julek oddawna nie pokazuje się u nas — pisała Hela — napewno także przeszedł na polską stronę. Taka wdzięczna jestem mu zato! Robię sobie wciąż wyrzuty, że w ostatnich czasach straciłam do niego zaufanie. Zdawało mi się, że pod wpływem złych kolegów staje się coraz gorszy. Na szczęście omyliłam się. Przebacz mi mój dobry, dzielny braciszku! O, jak serdecznie uściskam cię kiedyś, kiedy w blasku chwaly staniesz przede mną jako zwycięzca w świętej naszej sprawie. Tak mi żal, że tam przy Was być nie mogę...

W kilka dni potem pisze:

— Przeżywamy teraz prawdziwe piekło. Walki żaarte nie ustają ani na chwilę. Na rogu naszej ulicy leżą od paru dni ciała zabitych, do których nikt zbliżyć się nie może, bo placówki ukraińskie strzelają nawet do samarytanek. W mieście głód, rozpacz i trwoga. Ta myśl tylko krzepi nas i podtrzymuje, że chłopcy nasi wytrwają aż do nadejścia pomocy. Jak oni się biją! Z gołemi rękami rzucają się na karabiny maszynowe i zdobywają je, walcząc przeciwko dieściokrotnie liczniejszym oddziałom ruskim. Tyle kobiet wstąpiło już do wojska... Myślę i marzę o tem wciąż, ale jakoś mi trudno zabrać się do tego. To nieszczęście, że zawsze byłam zanadto nieśmiała. Gdzie pójść? do kogo się zwrócić? Gdybym Adasia albo Julka odszukać mogła...

Potem notatki stają się coraz smutniejsze, prze-

bija się w nich wyraźnie ton zgryzoty i lęku, jakieś smutne przeczucia i niedopowiedziane skargi kryją się w urywanych zdaniach. Wreszcie wybucha żal:

— To nieprawda, nieprawda, nieprawda! Dziś, gdy całe miasto żyje tylko myślą wyzwolenia się z pęt zdradzieckich, kiedy krew kobiet i dzieci polskich leje się po ulicach, kiedy nasi obrońcy w nadludzkiej męce gołemi rękami wydzierają wrogom kęs po kęsie ujarzmionego miasta, Julek miałby być zdrajcą? To nieprawda, Boże mój! Spraw, żeby to była nieprawda!

Wreszcie słów parę:

— Adaś wrócił, mój złoty przyjaciel. Jutro odejdę z nim na placówkę. Serce drży we mnie z radości i wzruszenia. Tak mało mamy wojska, że żołnierze mdleją z wycieńczenia. Przecież i moje ręce na coś się przydadzą. Jutro już Hela będzie żołnierzem, ach, co za radość, żeby to jutro prędko przyszło! Podwójne zadanie mam przed sobą; bić się za Polskę i... zmyć hańbę z nazwiska, choćby krwią swoją własną...

Na tem pamiętnik się urywał. Prosty, a przecież tak wymowny, że każde słowo, jak nóż ostry, godziło prosto w serce czytającego chłopca. Gdy skończył, podniósł na wuja pytające spojrzenie. Doktor pocichu opowiedział mu historję powrotu i męczeńskiej śmierci Adasia, ucieczkę Heli i nieopisane swe przerażenie, gdy po trzech dniach nieobecności przyniesiono mu ją do domu z ciężką raną w piersiach. Nie taił też, że bezwątpienia Iwańczuk w obu tych potwornych zbrodniach brać musiał udział.

Julek, siedząc na krześle przy łóżku, patrzył długo, długo na zmienioną twarzyczkę siostry.

— Czy będzie żyła? Czy może żyć jeszcze? — zapytał, z trudem dobywając głosu ze ściśniętego gardła.

— Módl się — rzekł doktor posępnie — może Bóg zmiłuje się nad tobą. Stan tego biednego dziecka jest bardzo, bardzo ciężki, ale w tym wieku zdarzają się cuda...

Julek ukrył twarz w dłoniach, potem podniósł się i zwrócił oczy na wuja.

— Byłem zły i słaby — rzekł — pozwoliłem owładnąć sobą przewrotnym kusicielom. Wmawiali we mnie już oddawna, że jestem po ojcu Rusinem i że powinienem przyłączyć się do tych, co Ukrainę stworzyć zamierzają. Przedstawili mi to w idealnych barwach i obiecywali świetną przyszłość. Obsypali mnie zaszczytami, pieniędzmi, dałem się oślepić... Już po paru dniach spostrzegłem moją pomyłkę. Straszne gwałty i morderstwa, popełniane bezkarnie na niewinnej ludności, otworzyły mi oczy. Zrozumiałem, że wpadłem w ręce dziczy, prowadzonej zbrodniczą, niemiecką ręką. Zacząłem się w duchu buntować. Spostrzegł to sprytny Iwańczuk i postanowił mnie z miasta usunąć. Przyłączono mnie do idących w pole oddziałów i kazano natychmiast wyruszać do boju. Bitwa wzięła zły obrót dla Ukraińców. Ukryłem się w jednym z parowów parku stryjskiego, w tej nadziei, że zdołam niepostrzeżenie dostać się do miasta i wrócić do was z wyznaniem swej winy. Tymczasem Bóg zrządził inaczej. Hela... wzięła mnie do niewoli...

— Hela wzięła cię do niewoli — wykrzyknął doktor, zrywając się z miejsca. — Jak to było?

Julek opowiedział scenę w parku stryjskim, opisał swój przestrah, gdy w młodym żołnierzyku poznał, a raczej przeczuł Hele, a potem wstyd swój pałacy i rozpacz, gdy spostrzegł jej zimną, wzgardliwą obojętność, którą pokryć usiłowała widocznie, wstrząsające nią cierpienie.

— Rychło straciłem ją z oczu — kończył opowiadanie Julek. — Dopiero wtedy zrozumiałem całą okropność mego uczynku, który taką niezgłębioną przepaść rzucił między nas dwoje. Zaprowadzono mnie do więzienia. Szczęśliwy traf pozwolił mi uciec wczoraj wieczorem. Całą dobę kryłem się, jak ścigane zwierzę, zanim zdołałem dotrzeć tutaj. Zawiniłem ciężko, ale... kara jest nazbyt straszna...

Zasłonił sobie oczy rękami i zawrócił ku drzwiom. Wuj poczuł litość nad nieszczęśliwym chłopcem.

— Stójże! Dokąd chcesz iść teraz! Już po północy, strażę nie puszczą cię przez ulicę. Zostań u mnie na noc, a jutro obmyślimy, co dalej zrobić.

— Dziękuję! — szepnął chłopiec zbielełymi ze wzruszenia ustami.

Wuj wyprowadził go do przyległego salonu, przyniósł mu z jadalni coś do jedzenia i rzucił pled na otomankę.

— Prześpij się tutaj, ale przedtem zjedz coś koniecznie. Trzeba mieć siły do czynu, a twoja droga ciężka. Nielatwo jest wydobyć się z otchłani zła, ale ja ci pomogę... dla Heli. Dobranoc.

I wrócił do gabinetu, żeby parę godzin jeszcze czuwać przy Heli, dopóki pielęgniarzka, znużona całodzienną służbą w szpitalu, nie odpocznie. Kiedy po kilku godzinach, idąc na spoczynek, zajrzał do salonu, nie zastał w nim już nikogo, tylko na oparciu kanapy białała karteczka z nakreślonymi w pośpiechu słowami:

— Dziękuję i z całej duszy o przebaczenie proszę.

Noc była cicha, pogodna. Księżyc wytoczył się wysoko na niebo i białą swoją twarzą patrzył w martwe okna uspionego miasta. Po ulicach śródmieścia krążyły gęsto patrole ukraińskie. Julek biegł szybko przed

siebie, gnany gorączką szalejących myśli. W kieszeni swego żołnierskiego płaszcza znalazł przepustkę ukraińską na swobodne chodzenie po mieście we dnie i w nocy. Strażom, napotykanym po drodze, mówił, że śpieszy z rozkazami, to też bez przeszkody dostał się na plac Fredry i tutaj dopiero przystanął z wahaniem. Światło księżyca lało się srebrzystą strugą w cichą uliczkę Fredry. Julek wolno podszedł w tę stronę. Zdaleka już oczy jego, rozwarłe grozą, dojrzały dużą, ciemną plamę na szarym asfalcie. To tam... Serce zaczęło mu bić tak gwałtownie, że bez tchu oprzeć się musiał o pień starej topoli, szeleszczącej niespokojnie resztką swych suchych liści straszną opowieść o tem, co się tu niedawno stało. Kolana się ugięły pod chłopcem, kurcz łkania chwycił go za gardło.

— To tam... to tam... — powtarzał z jękiem, nie mogąc odwrócić oczu od tej plamy, która dziwną siłą ciągnęła je ku sobie.

Nagle drgnął. Cień jakiś oderwał się od ściany kamienic i chyłkiem, lękliwie sunąc jął ku środkowi ulicy. Lodowate zimno zmroziło nagle w Julku wszystką myśl i czucie. To Iwańczuk... widzi go teraz dobrze w pełnym blasku księżycowego światła. Przystanął na chwilę nad ciemną plamą i znowu chyłkiem cofa się w cień, pod domy.

Julek porwał się z miejsca i skoczył pędem w uliczkę. W mgnieniu oka stanął twarzą w twarz przed Ukraińcem.

— Ach, to ty! Mówiono mi, że zostałeś wzięty do niewoli! — próbował ucieszyć się nikczemnik, ale to nagłe spotkanie w tem miejscu i o tej porze dziwnym lękiem przejęło jego niską duszę. Spojrzał Julkowi w oczy i zdrętwiał z przerażenia. Przeczytał

w nich nieubłagany wyrok na siebie. Stali tak długą chwilę naprzeciw siebie, o krok od miejsca zbrodni. Julek machinalnie zaczął szukać ręką rewolweru u boku, nie znalazłszy go jednak podniósł z wolna obie ręce. Palce skurczyły mu się w naprężeniu wściekłości. Iwańczuk zielony ze strachu, gwałcił się ku ziemi, aż opadł na kolana prawie. Zęby dzwoniły mu głośno, chwila sprawiedliwej pomsty nadeszła, w obłąkanym strachem mózgu nie mógł znaleźć ani jednego słowa na swoją obronę.

W głębokiej ciszy nocnej słychać było tylko dyśzący oddech Julka i jękliwy charkot zwierzęcej trwożki szpiega.

Naraz Julek drgnął i cofnął się.

— Nie! — rzekł głucho — nie splamię rąk krwią twoją, Judaszu przeklęty, dziś, kiedy właśnie oczyścić je pragnę. Bogu zemstę nad tobą zostawiam. Precz stąd, gadzino podła! Nie kalaj tego świętego miejsca... Precz!

I chwyciwszy Iwańczuka za kołnierz odrzucił go z taką siłą w stronę placu, że stuk padającego ciała głośnem echem rozległ się po pustych ulicach. Potem odwrócił się i wolnym krokiem zaczął iść w stronę ulicy Kochanowskiego.

Iwańczuk leżał chwilę twarzą do ziemi, wreszcie podniósł się i usiadł, rozcierając potłuczoną głowę. Otoczyły go nadbiegłe zewsząd strażę, groźnie pytając o przepustkę i powód hałasu. Kiedy Iwańczuk pokazał im swoje papiery, żołnierze z szacunkiem pomogli mu podnieść się z ziemi i odszukali zgubioną czapkę. Taka ważna figura rządowa miała prawo znajdować się na ulicach miasta o każdej porze dnia i nocy. Iwańczuk, oczami zaszłemi krwią z wściekłości, spojrzał w stronę, w której zniknął Julek i przypomniał sobie, że chłopiec nie miał broni. To dodało mu odwagi.

— Gonić, łapać! — ryknął co miał sił — chwytajcie tego łotra. Sto koron temu, kto go złapie!

I rzucił się w pogoń na czele gromadki żołnierzy. Julek, idący dotąd spokojnie ulicą Kochanowskiego, usłyszał nagle tętent wielu kroków za sobą. Zaczął biec pod domami coraz prędzej i prędzej, rozglądając się wkoło, skąd broń jaką dostać. Nadbiegającym strażom pokazywał zdaleka swoją odznakę ukraińskiego sierżanta i wołał po rusku:

— Gońcie, chwytajcie szpiega!

W ten sposób zbliżał się coraz szybciej do końca ulicy. Przed nim, w odległości kilkudziesięciu kroków, zamajaczyła ciemna ściana lasu. Za nim gwizdały kulki i dźwięczały głośnie krzyki goniących.

— Byle dobiec! — mówił sobie w duchu, wyężdżając ostatecznie siły.

Na zakręcie natknął się nagle na żołnierza, stojącego na warcie. Niespodzianym ruchem wydarł mu z ręki karabin, ogłuszył go uderzeniem kolby, z leżącego zdarł spieszenie pas z ładownicami i znikł w ciemnościach nocy.

Dzikie wrzaski pogoni, której zdobycz wymykała się z ręki, napełniły wrzawą powietrze.

— Strzelajcie, strzelajcie! — wrzeszczeli po rusku żołnierze do nadbiegających zewsząd patroli. Hajdamacy, nie wiedząc do kogo mają strzelać, palili w powietrze, czem wzmagali jeszcze zamieszanie.

Żołnierz, ogłuszony przez Julka, podniósł się powoli z ziemi. Właśnie tuż koło niego przebiegał zadyszany Iwańczuk w swoim cywilnem ubraniu, a za nim cała banda krzyczących Ukraińców. Żołnierz, rozwścieczony napadem i pozbawiony karabina, wyciągnął nóż z za cholewy, popędził naprzód i spostrzegł tuż przed sobą Iwańczuka. Myśląc, że krzyki żołnie-

rzy do niego się odnoszą, dopadł go w kilku skokach i utopił mu żelazo w plecach aż po trzonek.

Ciało Iwańczuka ciężko zważyło się na ziemię. Żołnierze z pogoni zatrzymawszy się nad niem, osłupieli z przerażenia.

— Cóż teraz będzie? — zaczęli pytać się między sobą. — Co na to powie ataman, srogi i okrutny. Zbieg uciekł, a ten oto, który był prawą ręką naczelnego rządu, leży we krwi...

Wąsaty kapral pochylił się nad ciałem i zaczął je obszukiwać. Wyjął portfel, grubo naładowany banknotami i spokojnie przełożył go do swojego płaszcza. W kieszeni kurtki znalazł flaszkę z resztą wódki na dnie. Wysączył ją z lubością do ostatniej kropli, otarł usta i rzekł z zadowoleniem:

— Dobra, mocna, jak ogień. Ot co powiemy atamanowi: widział który z was, kogośmy gonili?

— Nie! — ozwali się chórem żołnierze. — My nikogo nie widzieli.

— Otóż właśnie! Powiemy atamanowi, że ten tu — dotknął nogą ciała — upił się, po pijanemu zrobił awanturę i w ciemnościach przez kogoś zamordowany został, kogo my ani widzieli, ani słyszeli... Może to czort sam był — dodał i splunął na bok.

Żołnierze chyłkiem rozbiegać się zaczęli na wszystkie strony. Księżyc stoczył się zwolna za konary drzew leśnych. W mieście nastała głucha cisza. Wiatr przeleciał pośród gałęzi falą utajonego niepokoju, jakby przygłuszyć pragnął głośny stukot serca, bijącego mocno w głębokiej wyrwie na skraju lasu. Przyciskając obie ręce do rozrywanej szybkim oddechem piersi, przeżywał Julek straszną chwilę zwątpienia, rozpacz i — nadziei.



VIII.

Wieczorem dnia 20-go listopada na polskiej stronie Lwowa ruch widać było niezwykły. Przyszły wreszcie obiecywane posiłki, w których skład wchodziły: jeden bataljon 5 pułku, jedna kompanja jarosławska 4-go pułku, dwa plutony 10-go i jeden 8-go pułku, jeden pluton saperów, legja oficerska—razem 730 ludzi—garstka, i to garstka zdrożona, która przez kraj zalany bandami wrogów szczęśliwie przebiła się do Lwowa, a mimo zmęczenia ofiarnie rwała się do boju. Dwie baterje armat, dwa plutony konnicy i jeden pociąg pancerny dopełniały całości tej maleńkiej armji, występującej przeciwko tysiącom dobrze uzbrojonego nieprzyjaciela.

Plan bojowy, wypracowany przez komendanta Mączyńskiego, miał na celu obejście miasta od południa i północy ku wschodowi w taki sposób, żeby nieprzyjaciel zmuszony był do wycofania się bez walk ulicznych, groźnych dla nieszczęśliwych mieszkańców.

Szły więc cicho i sprawnie oddziałki na wyznaczone pozycje. Niejeden z przybyłych żołnierzy otwierał szeroko oczy ze zdumienia, spotykając się z tymi, którzy utrzymali Lwów aż dotąd mocą swych serc bohaterskich. Z gardłem ściśniętem od nieznanego wzruszenia, z oczami często pełnemi łez spo-

glądali nowoprzybyli na spotykane placówki kresowe, gdzie najróżniejsze można było zauważyć typy. Obok profesora, który poprawiając binokle na nosie, stapał niezdarnie w ciężkich, żołnierskich butach i ręką, przywykłą tylko do pióra, nasuwał karabin na okrągłe plecy, plątał się mały chłopaczek, zamorusany, jak kominiarczyk, ale z ruchliwością szczygła uwijający się zawsze na przedzie; obok wytwornego panicza, obszarpany „batiar“ łyczakowski; obok dzieciucha, starzec siwowłosy. Często z pod czapki żołnierskiej wyrzała uśmiechnięta twarzyczka rezolutnego dziewczęcia. Znikły różnice wieku, płci i stanu. Wszyscy porwali się do obrony zagrożonego polskiego gniazda i przetrwali w ciągu trzech długich tygodni całe piekło nieustannych walk, bezsenności, głodu i — zwątpienia w tę Polskę, za którą krew przelewali.

Z wielką uciechą, aczkolwiek może trochę z góry, spoglądali „oberwańcy” miejscowi na regularne oddziały wojska, maszerujące ochoczo na wyznaczone stanowiska.

Noc była cicha i jasna. W jednej z grup, gotowej już do boju, znajdował się podporucznik Krzycki. Siedząc na kłodzie drzewa, patrzył rozmarzony w jasną tarczę księżyca i myślał o Heli. Odkąd z młodego żołnierzyka przemieniła się w urocze, jasnowłose dziewczątko, nie mógł odrazu jej wyrugować z głowy i serca! Przypominał sobie wciąż żalosne wydarzenia ostatnich dni, które tak bardzo nią wstrząsnęły i z wielkiem współczuciem myślał o tem, że los może jemu właśnie powierzył nad nią opiekę poto, żeby to serduszko umęczone pocieszył i uspokoił. Kiedy rano odchodziła do miasta, nie mógł się powstrzymać, żeby nie odprowadzić jej do pierwszych straży. Szedł za nią zdaleka, pełen rzewności i uszanowania, a gdy

mu znikła z oczu, powrócił na swą placówkę, pogrążony w głębokiej zadumie. Czekał na Helę całe popołudnie, z godziny na godzinę i nieznosny niepokój szarpał mu serce. Czemu nie wraca? Co się z nią stać mogło? Kiedy o zmierzchu raz jeszcze wyszedł na drogę, wiodącą ku miastu, spotkał się z Władkiem. Chłopiec milczący i zachmurzony wracał od strony Wólki.

Na widok podporucznika przystanął i zasalutował, patrząc mu w oczy, jakby czekał na pytanie, które przyjść musiało. Jakoż podporucznik zagadnął go przyjaźnie:

— Skąd wracasz?

— Do koszar chodziłem — rzekł chłopiec. — Boję się o Helę. Tak mi dziwno, że nie wróciła dotąd. W koszarach zawsze mają świeże plotki z miasta, myślałem, że może dowiem się czego.

— No i co? — zapytał Krzycki.

— Nic! mówią, że posiłki są już pod miastem i że rano zacznie się nasza ofensywa... Mówią też, że Ukraińcy zastrzelili w mieście jakąś kurjerkę wojskową...

— Zastrzelili kurjerkę? — podporucznik pobladł nagle i kolana ugięły się pod nim. — Nie, to niemożliwe! — uśmiechnął się zaraz potem. — Ona przecież nie wyglądała wcale na kurjerkę. Biedne dziecko miało widocznie trudności z powrotem i schroniło się do rodziny. To dobrze! Nie dla niej przecież okropności wojny... Ach, żeby się to już raz skończyło! — westchnął.

Szli w milczeniu obok siebie. Władek z pod oka przypatrywał się podporucznikowi.

— Nic z tego, mój stary! — myślał z pewną złośliwością. — Hela nawet nie spojrzy na ciebie... Adaś był dla niej wszystkiem na świecie. Ot, jacy to są podporucznicy! Sukieneczka, warkoczyk, wstążeczka

i już po nim... Jak to wzdycha, jak wielbłąd na pustyni! A mnie Hela w płaszczu żołnierskim i milsza i bliższa... Z temi dziewczętami to wieczny kłopot. Są, źle! Niema ich, też źle! No i czego on tak wzdycha?

Kiedy wrócili do obozowiska, podporucznik, który miał do północy czas wolny, położył się spać, rozkazując Władowi, aby go natychmiast zawiadomił, gdyby Hela wróciła. Teraz, siedząc przed strażnicą, wpatrzony w księżyc marzył, że jutro zdobędą szturmem Lwów, a wtedy będzie mógł pójść do Heli i powiedzieć jej:

— Pozwól mi być twoim przyjacielem, będę cierpiał z tobą razem, póki czas twej żałoby nie złagodzi i drogi do radości życia przed nami obojgiem nie otworzy...

Po północy dała się słyszeć głośnie wrzawa gdzieś w stronie Pohulanki, odgłos strzałów karabinowych zamącił ciszę nocną, strażę porwały się do broni. Po chwili jednak wszystko ucichło, tylko fala wichru przeleciała nad szczytami drzew, niosąc z sobą miękkie, puszyste obłoki, które na chwilę przesłoniły księżyc.

Rozpoczęcie kroków wojennych miało nastąpić wczesnym rankiem. Godziny nocy ciekły powoli, monotonnie.

O piątej rano zarechotały telefony polowe, rozesłano rozkazy, cała bez wyjątku siła zbrojna Lwowa stanęła w pogotowiu. Na torze kolei południowej ukazał się pociąg pancerny, który cichutko podjechał pod linię ukraińską. Z uderzeniem godziny szóstej zagrzmiały armaty polskie. Odpowiedziały im donośnym rykiem baterje ukraińskie. Deszcz naszych pocisków zasypał gradem Cytadelę i Wysoki Zamek, które ze swej strony ziały nieustannym ogniem na pozycje polskie i na bezbronne miasto. Padł rozkaz: Do szturmu! Ruszył z południa bataljon 5-go pułku, ruszyła kom-

panja jarosławska i legja oficerska, skoczyły do boju nieustraszone lwowskie dzieci. Środkowa grupa naszych wojsk, prowadzona przez kapitana Trześniowskiego, rzuciła się na stoki Cytadeli, maskując tym atakiem istotną akcję bojową, która polegała na otoczeniu nieprzyjaciela i wypchnięciu go z miasta. Lewe skrzydło, powstrzymywane szalonym ogniem artyleryjским, z wysiłkiem i pomału posuwało się naprzód w kierunku Podzamcza.

Akcja prawego skrzydła odniosła zato odrazu pełne powodzenie. Jak lawina, oderwana od szczytu gór, runęły dzielne oddziały na Snopków, zmiotły w proch nieprzygotowanego do szturm wroga i w szalonym pędzie parły niepowstrzymanie naprzód, przez pola i wąwozy, okalając szerokim łukiem południowo-wschodnią część miasta. Żołnierze, upojeni żądzą zwycięstwa, w chmurze dymu i kurzu, ogłuszeni straszną kanonadą, rwali się naprzód bez wytchnienia, zjednoczeni w jedno serce, bijące gorącym pragnieniem wolności.

Podporucznik Krzycki ze swoim oddziałkiem posuwał się na lewym flanku, najbliżej miasta. Z zaciśniętymi zębami, blady ze wzruszenia i wysiłku, biegł na czele swoich żołnierzy, zachęcając ich przykładem swej odwagi do walki. Tuż za nim dreptał Władek, potykając się niekiedy o skraj płaszcza, który w biegu wysunął mu się z za paska i, niby tren, włókł się za nim po ziemi. Chłopak sapał i gwizdał, kłął i śmiał się, a strzelał bez przerwy z taką zręcznością, tak szybko padał na ziemię i zrywał się z niej, że nie zauważyli obaj z podporucznikiem, jak z łańcucha tyraljerskiego wysunęli się naprzód, tworząc jakby szczyt klinu, który coraz głębiej wrzynał się w pozycje nieprzyjacielskie.

Nagle z ogłuszającej wrzawy wojennej wyodrębnił się przeraźliwy odgłos karabinu maszynowego, prążący zbliska wprost w zbocze, po którym właśnie zbiegali ku Pohulance. Podporucznik padł na ziemię, Władek leżał obok niego, żołnierze rzucali się, gdzie który mógł, szukając wkłęsłości w terenie. Jednakże nagie trawiaste zbocze nie mogło dać żadnego zabezpieczenia przed gradem kul. Podporucznik, leżąc na ziemi, słyszał ich złowrogi świst tuż nad głową i suchy szelest grudek, rozpryskujących się naokół.

— Już po nas! — pomyślał i, przytuliwszy głowę do jakiejś kępy suchych ostów, zaczął mówić pacierz.

Okrzyk Władka zwrócił jego uwagę na przeciwległe zbocze. Tam między drzewami zamajaczyły wyraźnie postacie kilkunastu Ukraińców, którzy cofali się wolno z karabinem maszynowym. Co chwila garstka ta zatrzymywała się, ustawiała sprawnie na podsunętej podstawie groźny przyrząd i dawała kilkanaście strzałów w stronę polskiej tyraljerki. W ten sposób przedzierali się powoli przez zarośla, otaczające zarośla Pohulanki. Kilku najodważniejszych polskich żołnierzy usiłowało przebiec pole obstrzału i usunąć tę dotkliwą przeszkodę, ale fala kul skosiła ich wszystkich, jak łąn zboża. Odważni przeciwnicy cofali się systematycznie dalej, powstrzymując impet polskiego ataku i osłaniając odwrót głównej swej linii.

Nagle z zarośli, zwieszających się nad urwiskiem, wyskoczył jakiś młody żołnierz. Celnym strzałem położył trupem Ukraińca, trzymającego pasy z nabojami.

Drugi strzał zgruchotał nogę temu, który operował maszyną. Ukraińcy pochwycili karabiny z ramion i zasypali śmiałka gradem kul. On jednak nietknięty, chyżo wyłonił się z za chmury dymu, przypadł w kilku skokach do spłoszonych tem zuchwalstwem wrogów,

zatoczył kolbą łuk w powietrzu i strasznem uderzeniem powalił dwóch hajdamaków odrazu, inni z wrzaskiem rozpierzchli się po lesie.

Podporucznik zerwał się z ziemi i zakomenderował: naprzód! Błyskawicą pomknęli przez zbocze i wdarli się na brzeg przeciwległy, biorąc na cel uciekających w największym popłochu nieprzyjaciół. Nieznany bohater nabił tymczasem karabin i skoczył w las, zanim podporucznik ze swoimi ludźmi zdołał dotrzeć do niego.

Na skraju lasu leżały tylko dwa trupy, rzęzili obaj ranni w męce konania, a gorący jeszcze karabin maszynowy z dużym zapasem naboju walał się po ziemi, jak zduszony pies, który nagle przestał szczekać. Podporucznik kazał swoim żołnierzom zabrać ten łup drogocenny i zaczął ostrożnie prowadzić ich w las, drgający od huku szalejącej w nim bitwy.

Żołnierze, idąc, zachodzili w głowę, kim mógł być ten samopas, błędzący bohater, skąd się wziął tak niespodzianie od strony ruskiej i czemu na nich nie zaczekał. Błogosławili go z całego serca i podziwiali głośno, żałując, że umknął przed nimi.

Godziny mijały w krwawym znoju zażarcie toczonej walki. Ukraińcy mimo liczebnej przewagi ustępowali krok za krokiem, przerażeni tem zaciekle natarciem, które w pierwszym odrazu impecie złamało odporną moc ich szeregów. Cały las na Pohulance dostał się w nasze ręce, a nim południe nastało, już i dworzec łyczakowski przeszedł w posiadanie upojonych radością oddziałów polskich. Z największem nasileniem toczyła się teraz bitwa na cmentarzu łyczakowskim. Ukraińcy stawili tutaj zaciekły opór, rozumiejąc, że oto panowanie nad miastem wymyka im się już z ręki. Piekielny deszcz granatów i szrapneli

ział na mogiły i krzyże, z poza których nieustannym, gęstym ogniem prażyli wroga niestrudzeni nasi chłopcy. Samarytanka z narażeniem życia szły pod gradem kul z pomocą dla rannych, w końcu jednak wycofać się musiały wobec spustoszeń, jakie i w ich szeregach wy-
rządzać poczęły wrogie pociski. We krwi brocząc, le-
żeli ranni pośród potrzaskanych grobowców, nie czu-
jąc nawet grozy nadchodzącej śmierci wobec upaja-
jącej radości z bliskiego już zwycięstwa. Wczesny
zmrok listopadowy położył wreszcie kres tym nad-
ludzkim wysiłkom. Żołnierze, wyczerpani śmiertelnie,
rzucali się na ziemię i zasypiali natychmiast snem
ciężkim, kamiennym, nie myśląc nawet o posiłku.

Podporucznik Krzycki robił przegląd swych ludzi. Oprócz paru rannych jeszcze w lesie, brakło mu
Władka Zaleskiego. Zatrośkał się o niego.

— Czy nie wiecie, gdzie mógł paść? — zapytał
żołnierzy.

— Ja wiem — rzekł jeden z nich. — Padł w moich
oczach przy głównej alei na zakręcie, może z godzinę
temu. Chciałem go zabrać, ale tam dotąd podejść nie
można. Te zwierzęta strzelają bez przerwy, skoro
tylko ktoś odważy się pokazać w tej stronie; już sa-
nitarjuskę jedną zabili, a i doktor, widziałem, ranny
w głowę.

— A przecież trzeba go zabrać, może żyje jesz-
cze! — rzekł stanowczo podporucznik. — To dzielny
chłopiec... i takie dziecko jeszcze! Pójdę sam! — dodał
— wskażcie mi tylko kierunek.

Głosy protestu odezwały się ze wszystkich stron,
żołnierze otoczyli kołem swego dowódcę, nawet ci,
co się już do snu ułożyli, zerwali się z ziemi.

— Ja pójdę! — odezwał się naraz głuchy, stłumiony
głos i postać obcego jakiegoś żołnierza wysunęła się

z za pomnika. W mroku nie można było widzieć jego rysów, a jednak głos zdawał się podporucznikowi znany. Zanim miał czas podejść do niego, obcy żołnierz zamienił już kilka słów z tym, który widział, gdzie Władek upadł i zniknął w ciemnościach.

Pozostali nadsluchiwali w milczeniu. Po chwili strzelanina w stronie głównej alei wzmogła się do tego stopnia, że przeszła jakby w ryk burzy.

— Poszedł na pewną śmierć — mruknął jeden z żołnierzy.

— Wiecie co? — rzekł drugi. — To napewno ten, co zdobył na Pohulance karabin maszynowy. Poznałem go odrazu po tych nowiutkich, żółtych butach. U nas nikt nie ma podobnych.

— Co ty mówisz? — ucieszył się podporucznik. — Trzeba go o to zapytać, przedstawię go do odznaczenia, to szalona odwaga. Ciekawym, czy to z krakowskich może zuchów...

Ciężkie stąpanie odezwało się wpobliżu. Z zarośli cmentarnych wynurzyła się ciemna postać obcego. Na ramionach niósł ciało chłopca, z przewieszoną bezwładnie głową. Żołnierz podszedł do podporucznika, złożył ciało na ziemi i otarł czoło z potu.

— Żyje — rzekł swoim głuchym, jakby stłumionym głosem. — Rana na głowie niewielka, zemdlał raczej z wyczerpania.

Podporucznik nachylił się nad rannym.

— Ma tam który trochę wody? — zapytał.

Kilka manierek znalazło się pod ręką. Podporucznik obmył chłopcu czoło i oczy, opatrzył ranę bandarzami, które miał przy sobie i wlał mu trochę wody w usta. Władek przełknął, parsknął, otrząsnął się i usiadł. Głowa zakołysała mu się z ramienia na ramię, jakby mu ciążyła nad siły.

— Och, jak mi we łbie huczy! — rzekł wreszcie, otwierając oczy i patrząc po otaczających. — Głowę mam jak banię. Ale mnie łupnął! Myślałem, że już po mnie. Gdzie jesteśmy? — zapytał.

— Jesteśmy na górnym cmentarzu łyczakowskim.

— A Ukraińcy?

— Dostali w skórę, jak się patrzy. Jutro napewno wyrzucimy ich do reszty z miasta.

— A skąd ja się tu wziąłem? Upadłem przecież tam na dole, pamiętam dobrze.

— Przyniósł cię dobry towarzysz z narażeniem własnego życia. Acha, chodźno tu, mój zuchu! — zwrócił się podporucznik do obcego, który stał w cieniu zarośli, kryjąc twarz w kołnierzu płaszcza. — Mówią mi moi chłopcy, że to ty zdobyłeś na skraju Pohulanki karabin maszynowy, który nas prażył tak nie-
miłosiernie. Prawda to?

— Prawda — przytwierdził obcy.

— Dzięki tobie uszliśmy cało. Winniśmy ci wszyscy głęboką wdzięczność. Skąd się tam wziąłeś?

— Przyszedłem z dołu, z miasta.

— Do jakiej formacji należysz?

— Do żadnej, ja tak, na własną rękę...

— Hm, hm? — zadziwili się żołnierze.

— Na własną rękę? — powtórzył podporucznik. — No, no... I przyszedłeś tu za nami? Dlaczego?

— Szedłem wciąż na lewym flanku. Miałem po drodze dużo do roboty, bo byłem najbliżej placówek ukraińskich. Kiedy strzelanina przycichła, położyłem się za tym tu pomnikiem i już prawie zasypiałem... Nagle usłyszałem głośny spór o przyniesienie ранnego. Wyręczyłem tych, co zginąć nie powinni. Cieszę się, że temu właśnie chłopcu mogłem oddać przysługę.

— Jak się nazywasz? — rzekł ostro podporucznik,

podchodząc do obcego i usiłując w zmroku rozpoznać jego rysy.

Chłopiec cofnął się w głęboki cień pomiędzy grobowce i odrzekł głosem, w którym drżały łzy:

— Nieszczęśliwi nazwisk nie mają! Odnaczenia nie jestem godzien, naprawić pragnę ciężką przewinę!...

I nagle zniknął w zaroślach. Żołnierze skoczyli za nim, ale nie znaleźli go już wpobliżu. Władek, który przez cały czas rozmowy wyteżał osłabione swe oczy, usiłując dojrzeć rysy mówiącego, zerwał się teraz z ziemi.

— To Bogucki, to Julek Bogucki! Obywatelu podporuczniku, trzeba go dogonić, on może wie coś o Heli!

— To Bogucki?—zdziwił się podporucznik.—Rozumiem! Wrócił do nas i wstydzi się przeszłości. A może—tu zimny lęk przejął go dreszczem—może stało się co złego. Głos jego brzmiał tak dziwnie!... Przeprowadzić go, chłopcy!

Ale wszelkie poszukiwania speliły na niczem. Tajemniczy chłopiec przepadł bez śladu. Żołnierze strudzeni pokładli się na ziemi, Władek, dygocący z osłabienia i lekkiej gorączki postękiwał zcicha, podporucznik siedział na boku w głębokiej zadumie, usiłując odegnać z serca ciężar smutku, który przytłoczył je niepokonaną siłą.

Księżyc wzeszedł późno, zamglony i obcięty już z jednego boku. Bładą światłością przeniknąć usiłował morze błękitnej mgły, która okryła miasto nieprzeniknionym całunem. Strzelanina wybuchała jeszcze tu i owdzie odgłosem burzy letniej, poto, żeby za chwilę przycichnąć i przenieść się gdzieindziej. Cmentarz tonął w ciemnościach, z morza mgły wychylały się tylko czarne majaki krzyżów, wyciągających ramiona ponad głowami śpiących żołnierzy, jakby brały ich

w przemożną swą opiekę. Od strony miasta dolatywał przytłumiony szmer naprzykszonem, choć cichem brzęczeniem. To Ukraińcy szykowali się do odwrotu.

O dwunastej w nocy dano znać komendantowi, że wojska nieprzyjacielskie wycofują się z miasta jedyną drogą, jaka im jeszcze została, to jest w kierunku rogatek północnych. Po porozumieniu z przybyłym w nocy generałem Roją, postanowił komendant przypuścić szturm do środka miasta, aby Ukraińców zepchnąć z drogi i przypieczętować zwycięstwo śmiałym atakiem. Garść najdzielniejszych obrońców Lwowa w połączeniu z nadeszłymi świeżo posiłkami uderzyła nagle od strony teatru, wywołując straszliwe zamieszanie wśród Ukraińców i zamieniając regularny odwrót w paniczną ucieczkę.

Przed trzecią w nocy teatr i odwach na sąsiednim placu dostały się w ręce polskie. To zdecydowało o dalszym przebiegu bitwy. Telefony rozniosły do wszystkich grup bojowych rozkaz: Naprzód! Ryknęły znowu armaty, ostrzeliwując przedewszystkiem Cytadelę, która w ciągu całego dnia była ośrodkiem żartej walki, a zbocza jej, złane strugami polskiej krwi, świadczyły wymownie o niesłychanem bohaterstwie atakującej ją grupy. Wreszcie, na skutek znakomitej działalności artylerji i ofiarnego poświęcenia żołnierzy, dostała się i ta niezdobyta napozór twierdza w ręce polskie. Ukraińcy, zostawiając cały swój dobytek wojenny, w dzikim przerażeniu tłoczyli się na Żółkiewskie przedmieście, nie myśląc już o niczem, prócz ratowania życia.

O godzinie wpół do szóstej rano chorągiew ukraińska spadła z wieży ratuszowej, a na jej miejscu rozwinął się ku niebu sztandar czerwono-biały. Z Wysokiego Zamku waliły jeszcze baterje niemieckie, osła-

niające odwrót wojsk ukraińskich. Po ciężkiej walce udało się wreszcie zmusić je do milczenia. Z radosnym okrzykiem rzucili się chłopcy na armaty, obejmując je w posiadanie, a głośny okrzyk: hurra! obwieścił światu całkowite już opanowanie Lwowa. Komendant na czele grupy oficerów zaczął objeżdżać oswobodzone miasto. Ulice zaroily się od żołnierzy. Ze wszech stron napływały do śródmieścia mniejsze i większe grupy upojonych radością obrońców. Na zdobycznych wozach zwozili chłopcy bogate łupy, odebrane nieprzyjacielowi. Przedewszystkiem garnęli się do śródmieścia ci wszyscy, którzy przez długie trzy tygodnie walczyli po drugiej stronie, nie mogąc przesłać nawet wieści o sobie strwożonym swoim rodzinom. W brzasku dnia przebiegali ulice z oczami rozgorzałemi zapalem, z radosną pieśnią na ustach, pokryci znojem i kurzawą.

Wielu z pomiędzy tych bohaterów nie dosięgało wzrostem swoich karabinów. Patrząc na ich wątłe, drobne postacie, trudno było uwierzyć, że każda z tych piersi była puklerzem, o który daremnie rozbijała się w ciągu długich tygodni zająca przemoc wroga.

Podporucznik Krzycki ze szczytu wzgórza, położonego u góry cmentarza łyżakowskiego, na którym właśnie oddział swój do wymarszu zgromadził, patrzył w dół, oczami wilgotnemi od łez radości.

— Więc nie na marne poszły nasze wysiłki — myślał z dumą. — Oswobodziliśmy miasto, które bez nas byłoby na zawsze może przepadło dla Polski. Nie daremną była męczeńska śmierć twa, Adasiu, może twoja to właśnie przeczysta duszyczka triumf ten dla nas wyprosiła u Boga. Ach, teraz znaleźć jeszcze sposób na to, żeby w zbolełe serduszko Heli wlać trochę otuchy i pogody, rozjaśnić te przesmutne oczy

promykiem radości, zastąpić jej choć w części utraczonego przyjaciela... Wpadnę tylko na godzinę do domu — układał sobie — uścisknę matkę i siostry, a potem pójdę do wuja Heli dowiedzieć się, co się z nią dzieje. Przecież jako komendant oddziału mam obowiązek troszczyć się o każdego z moich żołnierzy. Jej zaś należy się specjalne wyróżnienie.

Przed oczyma stanęła mu znowu dziewczynka w chwili, kiedy, odchodząc drugi raz do miasta, obejmowała się i, dostrzegłszy podporucznika, skinęła wdzięcznie główką, z miłym uśmiechem na ustach. Fala ciepła oblała mu serce. W uniesieniu radości przycisnął ręce do piersi, wpatrzony w obraz miasta, wynurzającego się przed nim z cieniów nocy.

Morze skłębionej mgły opadło już, jak lekka, niebieska tkanina, a z niej wyłoniły się szeregi szarych dachów, wieżycy kościołów i ciemne bloki kamienic. Z wieży ratuszowej powiewał radośnie symbol wolności i triumfu. Wiatr niósł od śródmieścia falę uroczystego śpiewu.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Póki my żyjemy

rwiała się w niebo nuta, drgająca weselem. Podjęli ją żołnierze na wzgórzu. Władek wyrwał się naprzód, potrząsnął swoją obandażowaną głowiną i, wyrzucawszy czapkę w górę, schwycił ją z małą złością, a potem wałnął się pięścią w piersi i wrzasnął tak głośno: póki my żyjemy! aż śmiech się ozwał w szeregach.

Śpiew rósł, potężniał, płynął w powietrzu aż pod ciemną ścianę rozkołysanego lasu, a jakby na odzew triumfalny, uderzył gdzieś w mieście dzwon jeden, potem drugi, cały chór dzwonów, bijących gorącym tętnem swych serc spiżowych w krzyk radosny:

— Lwów wolny, wolny, wolny!

Zaledwie przebrzmiała jedna nuta, już gdzieś z boku zadźwięczała druga. To od Zielonego maszerowali żołnierze, śpiewając słowa Roty:

Nie damy, by nas gnębił wróg!
Tak nam dopomóż Bóg!

Oddziały polskie czarne od dymu, zziajane, ślaniające się na nogach z nadludzkich trudów, przeciągały w triumfie przez miasto. Dzwony dzwoniły coraz potężniej, coraz uroczyściej, zlewając się we wstrząsający, dziękczynny hymn. Serce ocalonego miasta, wybawione z dręczących okowów, głosem spizu rozegrało się w przestworzu.

A właśnie wschodziło słońce.



IX.

Oddział podporucznika Krzyckiego różnym krokiem maszerował w dół główną aleją Łyczakowskiego cmentarza. Do miasta, do miasta! Serca wyrywały się żołnierzom, każdy radby był już dopaść swego domu, chwycić swoich w objęcia i rzucić im radosne słowa:

— Patrzcie! oto obroniliśmy was, uratowaliśmy miasto od haniebnej przemocy; dzień największego święta nastał dziś dla Lwowa, dzień Wolności i Triumfu! Radujmy się!

Po drodze spotykali żołnierze co krok ślady zaciętych walk. Potrzaskane grobowce, głębokie leje od granatów pośród rozwalonych mogił, odłamki szrapneli rzucały się w oczy naokół, a pośród nich leżało tu i owdzie zwinięte w męce konania ciało nieszczęsnego jakiegoś bohatera, który śmiercią okupił święte dzieło wyzwolenia swoich współbraci z okrutnej niewoli.

Władek, idący na końcu szeregu, przystawał co chwila zaglądając do każdej dziury, spowodowanej wybuchem, zbierając odłamki pocisków i przyglądając się pracy sanitariuszek, które przebiegały cmentarz wzdłuż i wszerz, szukając, czy gdzie jeszcze ranni się nie znajdują. Nieopodal alei stała grupka, złożona z kilku osób, pośród których widniała biała przepaska lekarza. Wszyscy pochyłali się nad czymś

w ponurem skupieniu. Władek podbiegł w tamtą stronę i cofnął się przerażony. U stóp kamiennego grobowca, w ogromnej kałuży krwi, leżało ciało młodziutkiego chłopaczka z nogami oderwanymi wybuchem granatu. Młody sanitariusz zdławionym ze wzruszenia głosem opowiadał:

— Widzieliśmy, jak upadł. Był zupełnie przytomny i wołał o pomoc. Skoczył jeden z kolegów moich z ambulansu i padł z roztrzaskaną głową. Ciało jego tylko co odnieśli żołnierze do kaplicy. Podbiegł drugi i dostał ciężki postrzał w piersi. Teraz właśnie dogorywa już może w szpitalu. Piekielny ogień nie pozwolił nikomu ani kroku naprzód zrobić, musieliśmy patrzeć bezradnie zdala, jak biedny chłopczyzna próbował się podźwignąć i wołał żałośnie: mamó! mamó... Umarł wskutek upływu krwi — dokończył cicho.

Władek stał, jak przygwożdżony do ziemi, wpatrując się rozszerzonymi z przerażenia oczami w piękną, wpółuśmiechniętą twarz poległego chłopca. W tej chwili usłyszał obok siebie ciche, jakby zduszone łkanie. Obejrzał się i spostrzegł o kilka kroków od siebie młodego żołnierza, który płacząc gorzko tulił czoło do zimnego grobowca. Żołnierz miał na nogach wysokie żółte buty.

Władek jednym skokiem stanął przy nim.

— Julek! — zawołał. — Nie puszcze cię już teraz! Czemu uciekałeś przed nami? Żeby nie ty, leżałbym pewnie tu niedaleko, poszarpany na strzępy. Uratowałeś mi życie! Czemu tak rozpaczasz? — zapytał, nie wyuszczając z ręki poły płaszcza zaskoczonego chłopca.

Julek otarł dłonią oczy i szepnął:

— Płacze, że nie mnie ten los spotkał, że to ja właśnie powinienem być paść na tem miejscu! Jakież byłby to dla mnie dobrodziejstwo...

— Ach, nie mów tak! Zawiniłeś, to prawda, ale widzieliśmy wszyscy, jakim bohaterstwem okupiłeś swoją winę. Mój podporucznik chętnie weźmie cię pod swoją opiekę. Chodź zaraz do niego, on tak pragnął rozmówić się z tobą.

— Jesteś dobry chłopiec, Władku — rzekł Julek — nie darmo byłeś przyjacielem Adasia i Heli. Ale ty nie wiesz wszystkiego, nie wiesz, jak strasznie jestem nieszczęśliwy!.. Hela...

— Co się stało z Helą? — wykrzyknął Władek, chwytając Julka za ramię.

Julek opowiedział mu wypadki ostatnich dni głosem zachrypłym od wzruszenia. Władek spojrzał za swym oddziałem, który zniknął już wdali i skoczył naprzód.

— Chodź, Julek! trzeba powiedzieć to podporucznikowi! — zawołał.

— Albo nie — zatrzymał się, patrząc litośnie w stronę maszerujących żołnierzy. — Poco mu psuć radość? On się i tak aż nazbyt prędko o tem dowie, na swoje nieszczęście! Szkoda mi go — westchnął smutno. — Czemuż teraz do domu nie wracasz? — zapytał, zwracając się do zrozpaczonego chłopca.

— Cóż tam po mnie? Jeśli Hela już nie żyje, nie będę mógł nawet mieć tej pociechy, żeby mi przebaczyła — rzekł ponuro.

— A jeśli żyje, ucieszy się i wyzdrowieje prędzej. Kto nie boi się rzucać w pojedynek na dziesięciu wrogów, ten nie powinien tchórzyć przed złą wieścią. Chodź ze mną, pójdę z tobą do domu twego wuja i zaświadczę, jak dzielnie się sprawiałeś! Może to Heli ulgę przyniesie... Pamiętaj, że jej dobro powinno teraz być dla ciebie jedynym celem. Ja oddział mój później odnajdę, jestem ranny, więc jako maruder

mogę zostać w tyle. Chodź! — rzekł energicznie dzielny chłopak i, ujawszy towarzysza pod rękę, pociągnął go za sobą w stronę miasta.

Dla mieszkańców Lwowa ta doba ostatnia była męczarnią nad siły. Skoro nad ranem rozszalała się bitwa, skoro deszcz granatów i szrapneli zaczął się sypać na wszystkie strony, a świst pędzących pocisków, ryk armat, gwizd kul, dudnienie karabinów maszynowych splotły się w chaos piekielny, ludzie nie wiedząc, co się właściwie dzieje, ogłuszeni, zbolali, szarpani niepokojem i trwogą, pozasłaniali okna swoich domostw i pochowali się w najciemniejsze kąty swoich mieszkań. Trwając tak w bolesnej niepewności, w obawie i nadziei naprzemian, prosili Boga o jedno już tylko: o śmierć lekką od kuli, a nie od noża hajdamackiego.

Kiedy nad ranem nastała wreszcie cisza, a po niej odezwały się głosy dzwonów i pieśni polskich żołnierzy, ten i ów obudził się z niespokojnej drzemki, wyrzwał ostrożnie na ulicę, popatrzył, posłuchał...

I naraz gruchnął po mieście krzyk!

— Nasi na ulicach! miasto wolne, Lwów ocalony!

W pierwszych blaskach słońca wysypał się na ulice rój ludzi, pijanych radością. Obcy obcym padali w ramiona, płakali i całowali się serdecznie, biedny bogatemu ręce ścisnął, a bogacz biedaka w objęcia brał, czując, że to brat z bratem najwyższem szczęściem dziś się dzieli: wolnością, która krwią najdroższą zdobyta dziś została.

Radosny gwar ludzki przeniknął i do cichego mieszkania doktora. Pierwsza obudziła się Marysienka. Usiadła w swem siatkowem łóżeczku, spojrzała na rodziców, śpiących jeszcze mocno i zaczęła nadśluchiwać. W pokoju było ciemno, lampka nocna tliła się

jeszcze migotliwym blaskiem, ale przez szparę między materacami, któremi okno było założone, sączyło się już jasne światło dnia. Z za ściany dobiegał odgłos rytmicznego tupotu maszerujących żołnierzy, a potem nuta śpiewu. Wrażliwe uszko dziecięce pochwyciło natychmiast melodję znanej pieśni.

— La, la, la, la! — zaśpiewała nagle cienkim, dzwięcznym głosikiem.

Ojciec i matka zerwali się na równe nogi.

— Marysiu, co ty znowu? — zadziwiła się matka, przecierając zaspane oczy.

— Idom, idom ziolniezie! śpiwają ładnom piosnećkę, żiobać, mamusku! idom ziolniezie! — skakała po łóżku w koszulce, różowa i uśmiechnięta, pełna jakiejś dziwnej, dawno niedoznawanej radości.

Doktór narzucił na siebie ranne ubranie i podszedł do okna. Wysunąwszy jeden z materacy, zasłaniających szyby, wyjrzał ostrożnie na ulicę. W tej chwili wraz ze światłem wdarła się do pokoju nuta polskiej piosenki wojennej. Doktor pobladł ze wzruszenia i pochwycił w objęcia nadchodzącą ku niemu żonę.

— Maryniu! — rzekł zdławionym głosem — nasi chłopcy maszerują ulicą. Czy to być może? Cud się stał tej nocy, miasto wolne! Patrz, ilu ludzi przed domami, jak się cieszą, jak krzyczą...

— Tatusku, weź i mnie! Malisia tyś cie zióbacić ziolniezi, tatusku! — wyciągała marysienka obie rączki do ojca.

Doktór owinał ją kołderką, wziął na ręce i poniosł do okna. Marysienka jedną rączką trzymała się ojca, drugą objęła za szyję matkę i stali tak we troje, przytuleni do siebie, patrząc radośnie na wojsko, maszerujące ulicą.

W tej chwili dało się słyszeć ciche pukanie, do

pokoju zajrzała pielęgniarka, a widząc doktora ubranego przy oknie, rzekła:

— O, jak to dobrze! Proszę pana doktora do gabinetu, panienka ocknęła się w tej chwili, ale nie wiem, czy jest przytomna.

Doktor oddał dziecko w ręce żony i spiesźnie udał się do gabinetu. Na łóżku siedziała Hela w blasku słonecznych promieni, padających szeroką smugą przez odsłonięte okno. Włosy rozsypały jej się po ramionach, świecąc w słońcu, jak strugi płynnego metalu. Twarzyczka jej była śmiertelnie blada, a oczy rozszerzone jakgdyby zdumieniem. Zdawała się słuchać śpiewu za oknem z natężoną uwagą. Doktor radośnie pochylił się nad nią.

— Helu, dziecinko droga, obudziłaś się przecie, jak to dobrze! Lepiej się czujesz, prawda? kochanie moje, popatrz na mnie, poznajesz mnie przecież? — mówił z wzrastającym niepokojem na widok zmienionych rysów dziewczynki.

Hela zwróciła na niego źrenice z tą samą natężoną uwagą, z jaką pierwiej patrzała w okno. Ciemne jej oczy pełne były takiego blasku, że wuj zaledwie mógł wytrzymać jej spojrzenie.

— Poznajesz mnie? — zapytał po raz wtóry.

Hela patrzyła długo, wreszcie uśmiechnęła się zlekka i znów spojrzała w okno. Śpiew umilkł już, tylko miarowy stukot marszu dobiegał wyraźnie do uszu, a z nim radosny gwar rozprawiających na ulicy mieszczan.

— Co to? — zapytała Hela ochryplym, grubym, jakby nie swoim, głosem.

— To jest zwycięstwo! Miasto wolne, Ukraińcy uciekli... To wy, dzieci bohaterskie, ocaliliście Lwów, dzięki, dzięki wam zato!

Głos doktora załamał się w nagłym wzruszeniu; Hela słuchała uważnie, zrozumiała widocznie, bo naraż cudny, radosny uśmiech wypłynął jej na usta i opromienił twarzyczkę nadziejskim światłem.

W tej chwili drzwi gabinetu uchyliły się pocichu. Zajrzała przez nie Hania, dziwnie wzruszona i pomieszana, dając znaki doktorowi, żeby wyszedł do przedpokoju. Przez długą chwilę słyhać było przyciszoną, ożywioną rozmowę. Wreszcie doktor powrócił i usiadł na łóżku przy Heli, której tymczasem pielęgniarka podłożyła poduszki pod plecy.

— Słuchaj, kochanie — zaczął powoli doktor — jest tu ktoś, co bardzo chciałby cię zobaczyć...

Hela drgnęła lekko.

— Ten ktoś chciałby błagać cię o przebaczenie za winę, jakiej się dopuścił. Odpokutował ją już czynnym w obronie miasta udziałem. To Julek... — dodał ciszej.

Dziewczynka zmarszczyła brwi.

— On może nie był tak winny, jak sądziliśmy wszyscy — mówił doktor — był tylko nazbyt łatwo wierny i nieopatrny. Od wczorajszego ranka walczył po naszej stronie i odznaczył się niesłychaną odwagą. Zdobył karabin maszynowy i wyniósł ранego Władka z gradu szrapneli. Władek przyprowadził go tutaj i pragnąłby ci to opowiedzieć. Czy zechcesz ich zobaczyć?

Dziewczynka wpatrzyła się znów w przestrzeń dziwnym nateżeniem oczu, jakby coś niewidzialnego dojrzeć chciała. Wreszcie skinęła głową.

Na znak wuja do pokoju wsunął się Julek, zmierzowany, czarny, z zapadłymi oczami, a za nim Władek z głową obandażowaną i karabinem na ramieniu, dla większego rezonu. Julek podszedł powoli do łóżka,

nie mogąc oderwać przerażonych oczu od zmienionej twarzyczki siostry, ukląkł przy niej, chciał się odezwać, ale usta mu drżały tak mocno, że słowa wymówić nie mógł. Nagle złożył głowę na kołdrze i wybuchnął gwałtownym płaczem. Taka boleść niezmierna drgała w jego łkaniu, że Hela, zwróciwszy oczy na tę pochyloną głowę, podniosła z wysiłkiem bledziuchną swą dłoń i położyła mu ją na włosach.

— Biedny! — odezwała się znów ochrypłym, jakby obcym głosem.

Julek zsunął tę dłoń bezsilną ze swej głowy i, nie podnosząc czoła, przycisnął ją do ust w gorącym pocałunku.

— Przebacz mi, przebacz! — jękał wśród łkania.

— Przebaczam... ci... z całego serca. To dobrze, dobrze żeś wrócił... Taka... jestem... szczęśliwa... Zostaniesz... teraz... ze mną?... Prawda? O, jak to dobrze... wiedzieć, że ma się... znowu brata... — mówiła z przerwami, siłąc się widocznie na wydobycie głosu.

Ostry kaszel wstrząsnął jej piersią, na ustach pokazała się różowa piana. Pielęgniarka z niepokojem pochyliła się nad dziewczynką, ocierając jej usta chusteczką. Julek zatopił palce we włosach, usiłując stłumić w sobie jęk rozpacz.

— Nie mów, nie męcz się — prosił doktor, gładząc czoło Heli.—Leż spokojnie, cichutko! Musisz teraz prędko wyzdrowieć, żeby zobaczyć swoje dzieło: radość ocalonego miasta!

Hela spojrzała w stronę drzwi i spostrzegła stojącego nieopodal progu Władka. Radosny uśmiech wybiegł na jej usta.

— Przyniosłeś... mój karabin... to dobrze! daj mi go... taki dobry jesteś... o, jak się cieszę! — wyrzekła żywiej, wyciągając ręce.

Władek, który czuł w gardle straszliwe ściskanie i chciał swój męski charakter przed hańbą łez ocalić, podbiegł uszczęśliwiony, że rozmowa na inne tory się zwraca. Złożył karabin na łóżku obok Heli i, nie chcąc wywodzić jej z błędu, rzekł serdecznie:

— Tak, przyniosłem ci karabin, żeby ci było weselej. Zostaw go przy sobie, będzie ci się zdawało, że śpisz jeszcze w okopach. Dzielny żołnierz z ciebie! Mój podporucznik wciąż cię wszystkim za wzór stawia.

Twarzyczka Heli zajaśniała wielką uciechą. Objęła ręką karabin, przycisnęła rozpalony policzek do chłodnej lufy i zamknęła oczy. Przez chwilę siedziała nieruchomo, oparta o poduszki, jak woskowy posążek. Pielęgniarka ujęła jej bezwładną rękę i zaczęła puls liczyć, potem z widoczną trwogą spojrzała na doktora. Julek płakał cicho, z twarzą ukrytą w fałdach kołdry.

Naraz dziewczynka otworzyła oczy.

— Gdzie Adaś? — zapytała niespodzianie.

Doktor zatrwożył się i pobladł. Widocznie jednak była nieprzytomna! Zawahał się z odpowiedzią. Julek podniósł głowę z wyrazem najwyższego niepokoju. Władek chrząknął, kaszlnął i posunął się o krok naprzód.

— Gdzie Adaś? — powtórzyła natarczywie Hela, wbijając płonące źrenice w oczy Władka.

— Adaś... Adaś zaraz przyjdzie! — wyksztusił zmieszany chłopiec, czując, że kłamstwo w tej chwili jest rzeczą konieczną i usprawiedliwioną.

— Adaś... zaraz... przyjdzie... Będziemy razem się cieszyć... i Julek... i ty... i Adaś... Powiem mu, że Lwów... wolny... — wyszeptala jeszcze słabnącym głosem i żarem swych głębokich oczu wpatrzyła się w okno. Słońce świeciło cudnym, jakby wiosennym bla-

skiem. Błękit nieba lśnił świeżością pogodnego ranka. Przeplýwały po nim chmurki, jak lekkie, anielskie piórka. Twarzyczka Heli zaczęła pokrywać się przezroczystą bladością, oczy jej rozszerzyły się w napięciu oczekiwania.

Teraz słyhać znów tupot wielu nóg. Raz, dwa, raz, dwa. I znowu pieśń:

Kto ciebie pokocha, kto ciebie pokocha,
Ten już w grobie leży.

Ach, czemu Julek tak płacze? Czemu Władek oczy zakrył rękawem swego szarego płaszcza? Czemu głowa wujka tak nisko pochyła się nad nią? Kamienny ciężar zaczyna uciskać piersi Heli, tchu jej brak, w oczach robi się ciemno... Czemuż Adaś nie przychodzi? Czemu po niego nie poszła? Prawda, ktoś mówił, że Adasia już niema!... Kto to mówił? Lęk zwała się na serce Heli granitową masą, blade rączki kurczowym ruchem zaciskają się na kolbie karabinu. Pielęgniarka wlewa dziewczynce do ust łyżkę lekarstwa i zwilża jej skronie zimną wodą.

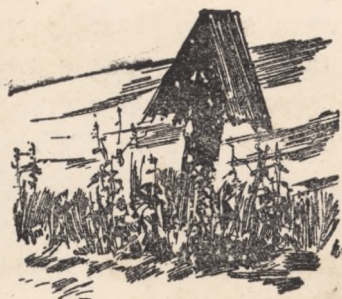
Struga blasków słonecznych oblała całe łóżko morzem światła. Twarz Heli rozjaśnia się naraz nieopisaną radością. Oto idzie już Adaś promienny, uśmiechnięty, cudny! Schodzi do niej po smudze słonecznych promieni, otulony w śnieżne skrzydła, oczy jaśnieją mu, jak dwie gwiazdy, na piersi ma różę, krwawą różę męczeństwa.

— Czy wiesz? — chce zapytać Hela, ale język odmawia jej posłuszeństwa, głowa opada wtył, na białe poduszki. Miękkie powiewne skrzydła obejmują rozpalone jej ciało rzeźwiącem dotknięciem, świat cały znika w tumanie wirujących blasków. Teraz szybuje Hela pod niebem, roziskrzonym w złotej łunie słońca.

— Dokąd płyniemy, Adasiu? — pyta oczami, które zwolna pokrywają się mgłą.

— Do kraju wolności, do kraju wiecznej wolności! — odpowiada jej z niezmierzonej dali głos dźwięczny, słodki.

Słońce wyciąga tysiąc promiennych ramion, gorącą pieśczętą oplata szumiące, białe skrzydła i wciąga je w swe złote koło, w świetlany krąg wiekuistego ognia...

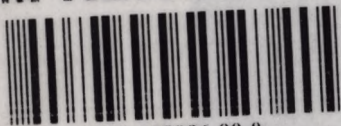


W Krakowie, dnia 16 maja 1919 r.



Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 328096



000-328096-00-0